MAGAZYN *razem z dodatkami*

● Karetka miała być ratunkiem, a stała się sceną tragedii Olka

● Dino podbiło Polskę, pracowników już niekoniecznie ● Jedenastolatki na Instagramie. Afera w szkole

PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu**

Express BYDGOSKI

Piątek 30.01.2026

Nr 24 (11212) Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Nr ISSN 1230-9192 Nr indeksu 350680

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNIAK

Wiceminister rolnictwa: **Każdy pies będzie zaczipowany** **str.28**

Kronika bydgoska. Pacjencie, ulecz się sam. System ci nie pomoże **str. 2**

KONTROWERSJE KTO KORZYSTA W BYDGOSZCZY Z TRAMWAJÓW, W CYRKU SIĘ NIE ŚMIEJE **STR. 6**

Jedzie tramwaj po... dziurach?

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

14 stycznia 2025, wykolejenie na ul. Jagiellońskiej

FOT. MICHAŁ SIEREK

11 lutego 2025 roku o godz. 15 tramwaj wjechał w Savoy

FOT. FB ZDMIKPBEZCENZURY

Zwalnianie, bujanie, do tego słynny „szynowąż", pożary torowisk, wykolejenia. W mediach społecznościowych mieszkańcy alarmują o kolejnych niebezpiecznych miejscach, jak np. na rondzie Fordońskim. Drogowcy zapewniają, że znają problem i starają się mu zaradzić.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI/ARCHIWUM

19 października 2025 r. pęknięcie szyny w ul. Focha

FOT. PAWEŁ HORODYSKI

30 grudnia 2025 r. - jak nie „szynowąż", to pożar izolacji

UOKiK ukarał prywatnego operatora parkingów. Ta firma działa również w Bydgoszczy **str. 3**

Szef Zarządu Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej tłumaczył się z przebiegu **Akcji „Zima"** **str. 4**

Na Glinkach może zniknąć część terenu leśnego. Firma, która prowadzi tam działalność, chce rozbudować swój zakład **str. 5**

W kwietniu ZUS wypłaci seniorom „trzynastki" Im wyższa emerytura, tym niższa będzie wypłata **str. 7**

eprasa.pl ab42b3e2ca

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA
● Andrzej Sikorowski spędził na estradzie 50 lat

PONIEDZIAŁEK
● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK
● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA
● Czy istnieje zdrowa pizza? Która jest najzdrowsza?

CZWARTEK
● Tak Polska Ludowa walczyła z bimbrownictwem

PIĄTEK
● Kierowca po narkotykach i rodzinna tragedia

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Beata Busz

BĘDZIE MANDACIK. DLA POLICJANTÓW

Przeglądając fejsbuka natrafiłam ostatnio na filmik ze stacji benzynowej. W roli głównej policjant, policjantka i rowerzysta. Akcja filmu, nagrywana prawdopodobnie przez znajomego rowerzysty, wyglądała tak:

- Dzień dobry, co się dzieje? - pyta policjant podchodząc do rowerzysty stojącego przy radiowozie i wypisującego jakiś druczek.

- Dzień dobry - odpowiada rowerzysta. - Wystawiamy mandat za parkowanie na zakazie.

- To pan mi wystawia mandat?! - dziwi się policjant.

- Nooo - odpowiada rowerzysta.

- Ja na chwilę podjechałem tylko z ludźmi, yyyy, siku zrobić - tłumaczy się zbity z pantałyku policjant.

Rowerzysta: - No niestety, zakaz to zakaz.

- Pan pokaże mi jakąś legitymację - policjant odzyskuje rezon.

Rowerzysta stanowczo: - Nie, my jesteśmy tutaj na służbie.

I tu wkracza do akcji towarzysząca policjantowi, już lekko zirytowana policjantka: - Widzi tu pan jakieś miejsce wolne do parkowania! Chyba nie ma miejsca! Na chwilę (stanęliśmy)! Nie macie dla nas litości...

Rowerzysta litości nie ma: - Mandat to będzie 10 przysiadów.

Czy kara była wykonana. Nie wiem. Tu filmik się urywa.

Za to nie mam złudzeń, że gdyby to jakiś kierowca zaparkował na zakazie, bo przypiliłaby go niecierpiąca zwłoki potrzeba, to policjanci nie mieliby żadnych skrupułów, by wlepić mu mandacik.

A ja pozdrawiam pana i panią policjantkę, którzy nie zatrzymali się w środę przed przejściem dla pieszych w gm. Osielsko, przy którym grzecznie stałam. Widziałam, jak dojeżdżają do ronda, potem z niego zjeżdżają i byłam pewna, że - zgodnie z przepisami - zatrzymają się i mnie przepuszczą. Ale jakże byłam naiwna. Ktoś może powiedzieć, że spieszyli się na akcję. Jednak jechali wolno i bez sygnału. Ktoś może stwierdzić, że nie widzieli stojącej przed zebrą kobiety z siatką. Jednak siedząca na fotelu pasażera policjantka spojrzała się na mnie z wyższością godną władzy. Zaklęłam sobie pod nosem - dobrze, że nie głośno - bo mogłabym dostać mandat. Nic tak mnie nie wkurza, jak łamanie prawa przez stróżów prawa.

KRONIKA BYDGOSKA

Pacjencie, ulecz się sam. System ci nie pomoże

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Czy zastanawiali się kiedyś Państwo nad realnym znaczeniem sformułowania „służba zdrowia”?...

Jasne, skojarzenia przychodzą od razu: lekarz, przychodnia, szpital... Ale co znaczy ta „służba”? Kto komu lub czemu tu służy? Niestety, lata mijają, a my wciąż mamy głównie owo – nomen omen – służebne podejście do systemu, którego powinniśmy być podmiotem, a nie przedmiotem. Szczęśliwie, nie jestem jeszcze, mimo seniorskiego z definicji wieku, osobą szczególnie uzależnioną od naszego systemu publicznej opieki (?...) zdrowotnej. Ale zdarza się, że trzeba ugiąć kolana. Ostatnio nawet dość dosłownie, bo ćwiczę na sobie dostępność do zabiegów rehabilitacyjnych.

Historia zaczęła się w... czerwcu ubiegłego roku. Stare (z definicji) plecy odmówiły posłuszeństwa. Rwa kulszowa. Z pomocą prywatnego ubezpieczenia paraliżujący ból udało się w miarę szybko opanować, w lipcu przyszedł więc czas na systemowe zwalczanie jego skutków – rehabilitację. Desperacja minęła, postanowiłam więc „wygodnie” poszukać miejsca zabiegów blisko domu,

FOT. ARCHIWUM PPG/W.RYCHLIŃSKI

Rehabilitacja dla pacjenta - ważna rzecz. Gdy już jej się doczeka

w Fordonie. Oszczędzę Państwu opowieści o tym, ile czasu siedziałam przy telefonie. Dostałam w końcu termin – początek... lutego 2026. Mamy XXI wiek, nowoczesny system opanowywania kolejek i nie ma opcji, że zablokuję ten termin i będę szukać gdzieś wcześniejszego szczęścia. Muszę usiąść na tym wirtualnym krześle (najlepiej nieruchomo, żeby nie przypominać plecom o sobie) i czekać do zimy. Doczekałam, choć po drodze okazało się, że kręgosłup jest mniejszym problemem od... łokcia, ale mniejsza z tym. Miła pani z fordońskiej przychodni rehabilitacyjnej powiedziała mi gdzieś w okolicach listopada, żeby lekarzowi na kwalifikacji zabiegów dorzucić ten łokieć do pleców i zobaczymy... Doczekałam, ale okazało się po tych prawie siedmiu miesiącach czekania, że priorytety się zmieniły i w lutym nie mogę w ogóle służyć rehabilitantom i sobie swoimi plecami oraz łokciem. Naoglądałam i nasłuchałam się różnych wywodów edukacyjnych, więc dzwonię, żeby zawczasu o tym poinformować. Może sprawię zamianą terminu niespodziankę komuś z marca czy kwietnia? Nie zablokuję miejsca, komuś ulżę, sobie pomogę...

Nie. Miły pan mnie poinformował, że system tego nie przyjmie. Mogę nie przyjść, ale muszę spadać na koniec kolejki. Na lipiec. Historia zatoczyła koło. Ręce opadają (bo jeszcze mogą).

Nie ucichły jeszcze echa wielkiego grania na rzecz WOŚP czy raczej, na naszą, naszego zdrowia rzecz. Przez 34 lata sama jestem w tłumie grających, choć co roku nachodzi mnie podobna refleksja - sukces tej idei lata temu wziął się ze spontanicznej chęci wsparcia niedoinwestowanego, fatalnego systemu służby zdrowia. Wszystkiego wtedy brakowało, wszystko było postawione na głowie, byliśmy z opieką zdrowotną w czarnej... Minęło kilkadziesiąt lat, a ciągle jeszcze tyyyyyle brakuje, by stanąć tu na nogi. Akcenty we wsparciu WOŚP się przesunęły na zakupy nie jakiegokolwiek sprzętu, a aparatury najnowocześniejszej na świecie lub też takiej, która się przez lata zużyła. Cóż z tego... Znany medialnie politolog, Marek Migalski, zmagający się od kilku miesięcy z chorobą nowotworową (dzieli się informacjami na ten temat, zachęcając do profilaktyki), zauważył, że „cała zebrana przez WOŚP do tej pory kasa to JEDNA SETNA wydatków na ochronę zdrowia tylko w tegorocznym budżecie”. Nikt nie chce umniejszać roli WOŚP i entuzjazmu większości z nas, ale warto pamiętać, że podstawą pomocy, wsparcia i opieki powinien być logiczny, przyjazny pacjentowi system.

Muszę usiąść na tym wirtualnym krześle (najlepiej nieruchomo, żeby nie przypominać plecom o sobie) i czekać.

Chore, gdy ciało bolące teraz można rehabilitować pół roku później. Chore, gdy odpowiedzialny pacjent chce pomóc innym, ale nic nie robi się, by to zadziałało. Kto może i tak pomoże sobie sam, za pieniądze. I to jest chore najbardziej. ©℗

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

-5°C
-9°C

Wiatr
wsch., 22 km/h
Ciśnienie
1014 hPa
Biomet
niekorzystny

Sobota

-7°C
-12°C

Niedziela

-8°C
-15°C

Imieniny obchodzą dziś: Maciej i Martyna. Jutro: Luiza i Marcelina

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”

FOT. JOANNA URBANIEC

Zuzanna Janin. Gwiazda „Szaleństwa Majki Skowron” upozorowała własną śmierć. Miała ku temu powód. Choć szerokiej publiczności dała się poznać dzięki serialowi „Szaleństwo Majki Skowron”, Zuzanna Janin szybko odsunęła się od świata filmu. Wybrała sztukę współczesną, która daje jej większą swobodę i pole do eksperymentu. Dziś jej prace znajdują się w wielu kolekcjach sztuki współczesnej w Polsce i za granicą.

Ponadto:
- Endometrioza to choroba bólu. Dotyka coraz więcej kobiet.
- Skrzydłokwiat - roślina która ucieszy oko i oczyści powietrze.
- Kto i kiedy może wystawić urzędowe pełnomocnictwo.

FOT. EAST NEWS

Kardynał Konrad Krajewski, jałmużnik papieski

Jako jałmużnik Ojca Świętego staram się biec do tych, którzy się źle mają, i im pomagać. To nie oni mają przyjść do nas, ale my do nich.

Puls, 20-21

eprasa.pl ab42b3e2ca

Jedno kliknięcie i już PESEL zastrzeżony

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Coraz więcej osób zastrzega PESEL. To dobry sposób, by ochronić swoje dane i pieniądze. Zastrzeżenie numeru PESEL można cofnąć w każdej chwili.

Według najnowszego Raportu Związku Banków Polskich tylko w trzecim kwartale 2025 roku odnotowano ponad 3,5 tys. prób wyłudzenia kredytów na łączną kwotę 78,3 mln zł. Oznacza to, że co 36 minut próbowano wyłudzić pieniądze. Uchronić przed tym może zastrzeżenie numeru PESEL. Swój można zablokować nie tylko w aplikacji, ale również w systemie mObywatel oraz w urzędzie gminy. Po aktywowaniu blokady nikt - nawet właściciel numeru - nie może:

- zaciągnąć kredytu (w tym również zakupić sprzętu w systemie ratalnym),
- wypłacić gotówki w kwocie przekraczającej trzykrotność płacy minimalnej,
- otworzyć rachunku bankowego,
- zawnioskować o wydanie duplikatu karty SIM,
- załatwić u notariusza spraw związanych z nieruchomościami (np. kupić lub sprzedać mieszkania).

Zastrzeżenie numeru PESEL można również wyłączyć w dowolnej chwili z poziomu aplikacji. Zmiana działa natychmiast. Po załatwieniu sprawy (np. po wypłacie większej sumy pieniędzy) można znowu włączyć ochronę po 30 minutach.

- Taką operację można powtarzać dowolną liczbę razy w ciągu doby, 7 dni w tygodniu - wyjaśniają w Ministerstwie Cyfryzacji.

Zastrzeżony numer PESEL nie wpływa na sprawy urzędowe (np. wzięcie ślubu, zameldowanie się czy wyrobienie dokumentów), sprawy zdrowotne (np. wizyty u lekarza, pobyt w szpitalu czy wykupienie recepty), udział w wyborach, ważność dokumentów (np. dowodu osobistego, paszportu czy prawa jazdy), korzystanie z profilu zaufanego, podróżowanie (np. przekraczanie granicy, podróże lotnicze czy kupowanie biletów lotniczych), wykonywanie czynności służbowych (np. podpisywanie umów w pracy), korzystanie z usług poczty . ©℗

Postrach parkingów ukarany. UOKiK: „mandaty nakładają wyłącznie służby"

Adam Willma
adam.willma@polskapress.pl

APCOA Parking Polska, jeden z największych operatorów płatnych parkingów przy sklepach, szpitalach i dworcach, została ukarana przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Decyzja dotyczy sposobu obsługi reklamacji oraz treści kierowanych do kierowców wezwań do zapłaty.

APCOA Parking Polska znalazła się w zainteresowaniu Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów po analizie praktyk stosowanych wobec klientów. Chodziło o ograniczony dostęp do procedury reklamacyjnej oraz o komunikaty wysyłane do osób kwestionujących zasadność tzw. opłat dodatkowych.

Reklamacje pod kontrolą operatora

Z ustaleń UOKiK wynika, że kierowcy mogli składać reklamacje wyłącznie przez formularz internetowy albo listownie. Jednocześnie spółka informowała, że rozpatrzenie sprawy może potrwać dłużej niż 30 dni. Taki zapis pozostaje w sprzeczności z przepisami konsumenckimi, które jasno określają maksymalny termin odpowiedzi.

FOT. PAWEŁ DUBIEL

Wątpliwości UOKiK wzbudziła m.in. treść korespondencji kierowanej do klientów

Wątpliwości urzędu wzbudziła także treść korespondencji kierowanej do klientów. Osoby składające reklamację w sprawie opłaty dodatkowej otrzymywały informacje sugerujące, że brak zapłaty może skutkować kosztami windykacji lub postępowania egzekucyjnego. Zdaniem UOKiK taki przekaz mógł wywoływać presję i fałszywe wyobrażenie o konsekwencjach prawnych.

Nie tylko kara finansowa

Prezes UOKiK Tomasz Chróstny zdecydował o nałożeniu na spółkę kary w wysokości 822 850 zł. Po uprawomocnieniu decyzji APCOA Parking Polska będzie musiała zapłacić grzywnę oraz poinformować klientów o rozstrzygnięciu urzędu. Poszkodowani będą mieli możliwość dochodzenia swoich roszczeń na drodze sądowej.

Urząd przypomina przy tym, że wezwanie do zapłaty wystawiane przez prywatnego operatora parkingu nie jest mandatem. Mandaty mogą nakładać wyłącznie uprawnione służby, a nie firmy obsługujące parkingi.

Zwrócili pieniądze blogerowi

Problem funkcjonowania prywatnych parkingów od lat jest przedmiotem dyskusji internetowych. Jedną z nich nagłośniły media ogólnopolskie: Emil Rau zaparkował na parkingu obsługiwanym przez APCOA przy sklepie, pobierając bilet uprawniający do bezpłatnego postoju. Nie wpisał jednak numeru rejestracyjnego pojazdu. Po powrocie znalazł wezwanie do zapłaty opłaty dodatkowej w wysokości 150 zł.

W odpowiedzi na reklamację operator wskazywał na niezgodność numeru rejestracyjnego z danymi na bilecie i brak podstaw do uchylenia opłaty. W korespondencji pojawiły się również informacje o możliwych konsekwencjach braku zapłaty. Dopiero po kolejnej wymianie pism spółka odstąpiła od dochodzenia należności, zaznaczając, że była to decyzja jednostkowa.

Nie tylko APCOA

UOKiK wskazuje, że podobne wątpliwości dotyczą także innych operatorów. Wezwania do zmiany praktyk otrzymały m.in. ATPark z Jaworza oraz Europark z Warszawy.

Przychód firmy APCOA wyniósł w poprzednim roku ponad 103 mln zł.©℗

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN
0011467472

Morskie wiatraki pod lupą

W tym roku na Bałtyku zacznie działać pierwsza polska morska farma wiatrowa – Baltic Power. To ważny krok w rozwoju krajowej energetyki i projekt, który budzi duże zainteresowanie. Wraz z nim pojawia się wiele obiegowych opinii. Sprawdzamy, które z nich mają potwierdzenie w faktach, a które są tylko mitami – oraz co morska energetyka wiatrowa oznacza dla gospodarki, środowiska i odbiorców energii.

Czy morska energetyka wiatrowa jest stabilna i efektywna?

Zanim wyznaczy się lokalizację morskich farm wiatrowych, prowadzone są wielomiesięczne badania wietrzności. Pozwalają sprawdzić, jak zmieniają się warunki w różnych porach roku i czy dana lokalizacja jest stabilna oraz opłacalna. Dlatego opinie niestabilności morskiej energetyki trudno uznać za uzasadnioną. W rzeczywistości warunki na morzu są bardziej przewidywalne niż na lądzie, a nowoczesne turbiny mogą być nawet dwa razy bardziej wydajne niż lądowe. Nie ma też ryzyka, żeby turbiny „kradły sobie wiatr". Takie kwestie są eliminowane już na etapie projektu, m.in. dzięki odpowiednim odległościom. Stabilny i mocny wiatr na morzu umożliwia produkcję dużej ilości energii przez większość roku. Dlatego Baltic Power nie zastąpi w całości dotychczasowych źródeł energii, ale jest ważnym elementem miksu energetycznego.

Z punktu widzenia fizyki, nie ma też możliwości, aby energia, która pochodzi z farm wiatrowych –morskich i lądowych – była słabsza niż ta z elektrowni węglowych. Elektrony dostarczane do gniazdek odbiorców są identyczne, niezależnie od miejsca wytworzenia.

Koszty prądu z morskich elektrowni wiatrowych

Często podnoszony argument o wysokich kosztach morskiej energetyki wymaga rozróżnienia dwóch perspektyw. Pierwsza to cena energii dla odbiorcy. Gdyby Baltic Power już dziś dostarczała prąd do sieci, jego cena byłaby o około 10 proc. niższa niż ta notowana na rynku SPOT. Drugi poziom to bilans dla całej gospodarki – nowe miejsca pracy, rozwój krajowego przemysłu, napływ kapitału oraz uniknięte emisje, które zmniejszają koszty związane z opłatami klimatycznymi. Przykładem jest fabryka gondoli turbin Vestas w Szczecinie.

Skąd naprawdę pochodzą turbiny Baltic Power?

Wokół inwestycji pojawił się także mit o wykorzystywaniu „używanych turbin z Niemiec". W rzeczywistości takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Turbiny są projektowane od podstaw pod konkretne warunki lokalizacji i nie mogą być przenoszone z jednej farmy na drugą. W Baltic Power zastosowano nowe turbiny duńskiego producenta Vestas, a ich kluczowe elementy – gondole – produkowane są w Szczecinie. To przykład tego, jak globalna technologia zaczyna być realnie osadzona w polskim przemyśle.

Baltic Power a turystyka, środowisko i lokalne społeczności

Obawy dotyczące wpływu farm wiatrowych na turystykę i środowisko naturalne pojawiają się niemal zawsze. Tymczasem Baltic Power powstaje aż 23 km od brzegu, co oznacza, że turbiny dla wypoczywających na plażach turystów będą ledwo widoczne. Ich pracy nie będzie słychać z plaży. To oznacza, że obecność farm nie wpłynie na ich doświadczenia, a finalnie na ruch turystyczny w pobliskich miejscowościach. Co więcej, inwestycja nie koliduje też z miejscami uwielbianymi przez windsurferów czy kitesurferów, którzy coraz chętniej wybierają właśnie polskie wybrzeże jako swój kierunek.

Nie tylko turyści są w tej inwestycji brani pod uwagę. Na etapie budowy projekt objęty jest szczegółowymi badaniami środowiskowymi, a prace na morzu monitorują wyspecjalizowane jednostki. Stosowane są rozwiązania m.in. ograniczające hałas pod wodą w trakcie instalacji fundamentów, takie jak kurtyny powietrzne, które chronią życie morskie oraz zapewniają komfort życia mieszkańców. Na farmie będzie również zainstalowany monitoring ruchu ptaków migrujących. Jak to działa? Jeśli radar wykryje stado ptaków zbliżających się do turbin, system na czas ich spodziewanego przelotu wstrzyma pracę turbiny, by ptaki mogły bezpiecznie przelecieć przez teren farmy.

Projekt od początku rozwijany jest też w dialogu z branżą rybacką. Z początkiem 2026 wystartowała druga runda naboru wniosków

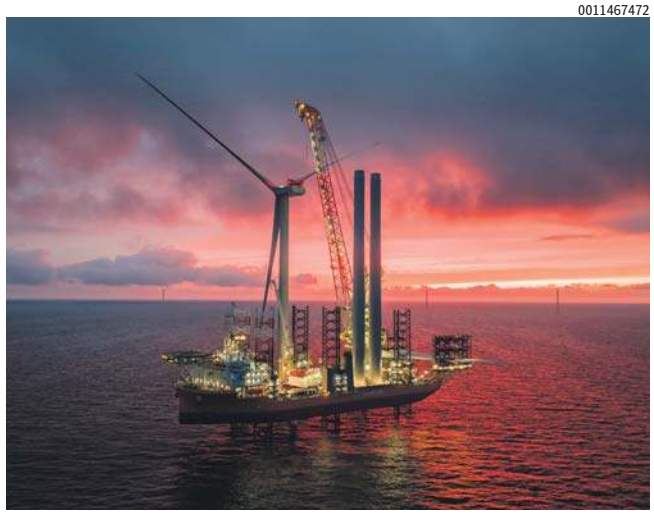

o rekompensaty dla rybaków, których działalność została ograniczona w trakcie prac instalacyjnych, wyprzedzając obowiązujące regulacje.

Kto korzystana energii z morza?

Choć morska energetyka wiatrowa to sektor o międzynarodowym charakterze, w Baltic Power znaczący udział mają polskie firmy. Lokalny wkład do projektu wynosi co najmniej 21 proc. w całym cyklu życia farmy – od projektowania i budowy, po 30 lat eksploatacji. W Polsce wyprodukowano elementy konstrukcyjne, gondole, części turbin, kable lądowe, komponenty stacji elektroenergetycznych, a krajowe firmy odpowiadały za budowę lądowej stacji elektroenergetycznej w gm. Choczewo i bazy serwisowej w Łebie. Zapewniały także usługi logistyczne, transportowe, realizowały badania geotechniczne.

Baltic Power nie jest więc jedynie inwestycją energetyczną. To projekt, który realnie wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski, wspiera rozwój nowego przemysłu i sprzyja długofalowej stabilizacji cen energii – niezależnie od narracji krążących dziś w debacie publicznej. Co więcej, Baltic Power to dopiero pierwszy projekt tego typu w naszym kraju. Jego moc – blisko 1,2 GW – to ważny krok, a potencjał polskiej części Bałtyku sięga nawet ponad 30 GW, z czego na 18 GW są już przyznane koncesje.

eprasa.pl ab42b3e2ca

Bydgoszcz

Bydgoszcz kolejową stolicą Polski

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

Firmy kolejowe rosną w siłę i zobaczyliśmy to na targach Kolejnet w Bydgoszczy. Za góra pięć lat na polskie tory wyjadą naprawdę szybkie pociągi - „obiecał" to naszej redakcji producent Pendolino.

29 stycznia w Bydgoskim Centrum Targowo - Wystawienniczym spotkali się przedstawiciele branży kolejowej z całej Polski i nie tylko.

- To już trzecia edycja targów Kolejnet, z każdą jest nas coraz więcej, rośniemy w siłę. W Bydgoszczy jest ponad 150 wystawców, gościmy nawet 1000 osób - powiedział nam Sławomir Jankowski, prezes bydgoskiej firmy PIXEL (producent zaawansowanych systemów informatycznych, biletowych i monitoringu dla transportu publicznego), przewodniczący Rady Izby w Polskiej Izbie Producentów Urządzeń i Usług na Rzecz Kolei. - Spotykamy się, rozmawiamy, wymieniamy informacje, wiedząc, co dzieje się na tym rynku. Teraz to dobry moment dla firm z branży, jest dofinansowanie i kolej może się rozwijać.

Z kolei Artur Fryczkowski, wiceprezes firmy Alstom (produkcji pociągów dużych prędkości, np. Pendolino, metra, tramwajów i lokomotyw) zdradził nam, kiedy na polskie tory wyjadą naprawdę szybkie pociągi.

- Myślę, że to jest kwestia czterech, może pięciu lat - mówił Artur Fryczkowski, a zapytany przez nas o największe w tej chwili wyzwania dla branży kolejowej, stwierdził, że to są właśnie przygotowania do uruchomienia pociągów szybkich prędkości: - Oczywiście, mówimy również o infrastrukturze na 320 kilometrów na godzinę - taką prędkość będą rozwijać takie koleje. Czyli, branża będzie się mierzyć z zupełnie nowymi wyzwaniami.

Targi Kolejnet to wydarzenie stworzone dla firm działających w sektorze kolejowym oraz tych, które dopiero rozważają wejście na ten dynamicznie rozwijający się rynek.

Formuła zapewnia uczestnikom możliwość bezpośrednich rozmów i poznania partnerów biznesowych w komfortowych warunkach.

Kolejnet gromadzi przedstawiciele wszystkich sektorów kształtujących branżę - od produkcji i utrzymania taboru, przez budowę i modernizację infrastruktury, po energetykę, telekomunikację i informatykę kolejową.

Udział w wydarzeniu to dla firm niepowtarzalna okazja do identyfikacji potencjalnych wspólników, przeprowadzenia rozmów z wybranymi partnerami oraz budowania długofalowych relacji biznesowych. To także szansa na promocję produktów i usług przed kluczowymi decydentami i ekspertami z rynku.

Oczywiście, mieliśmy na targach Kolejnet silną reprezentację kujawsko-pomorskiego biznesu. Wśród wystawców znaleźli się: PESA, PIXEl, Darpol, Stomil czy Kolejowe Zakłady Łączności oraz marki rozpoznawalne w całej Polsce i poza jej granicami - m.in. PKP Intercity, WARS, Harting, Instytut Badawczy Łukasiewicz, Politechnika Poznańska.

Podczas targów uczestnicy mogli podziwiać wystawę makiet kolejowych i spotkać pasjonatów kolei prezentujących swoje zbiory.©℗

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Targi Kolejnet gromadzą przedstawicieli branży kolejowej z różnych dziedzin

Jak jest zima, to jest zimno, a jak jest mróz to i ślisko?

Jarosław Więcławski
jarosław.wieclawski@polskapress.pl

Na sesji Rady Miasta Bydgoszczy w środę (28 stycznia) dyskutowano o działaniach w ramach akcji „Zima" 2025/2026. Choć do końca sezonu jeszcze daleko, drogowcy wydali już na ten cel prawie 11,5 mln zł, czyli więcej niż planowano.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

- Umowy zostały zawarte, ale ludzie do pracy nie przychodzą - skomentował podczas sesji Rafał Bruski, prezydent Bydgoszczy

Wniosek o poszerzenie porządku obrad o informację prezydenta na temat akcji „Zima" złożył Jędrzej Gralik z Bydgoskiej Prawicy. - Nie chodzi o informację, ile ton soli czy piachu zostało wysypane na ulice. Podczas tej zimy nie borykamy się z dużą ilością śniegu, ale dużym oblodzeniem - stwierdził. Przypomniał, że były dni, gdy mieszkańcy mieli problem, aby dostać się na przystanki. Dopytywał czy miasto było przygotowane na takie warunki i jakie wnioski wyciągnięto z dotychczasowych działań.

Jeszcze zanim prezentację na temat akcji „Zima" przedstawił dyrektor ZDMiKP, głos zabrał prezydent Bydgoszczy. - Skrótowo powiem: jest jeden problem. Brakuje rąk do pracy na chodnikach. Drogowcy podadzą szczegóły. Umowy zostały zawarte, ale ludzie do pracy nie przychodzą - skomentował Rafał Bruski, prezydent Bydgoszczy.

Wojciech Nalazek z ZDMiKP przypomniał, że w 2024 roku odbył się przetarg na zimowe utrzymanie ulic na terenie Bydgoszczy w latach 2025-2029. Wyłoniono jedną firmę do utrzymania zimowego jezdni i cztery do ciągów pieszych, parkingów, SPP, schodów, przystanków autobusowych i tramwajowych oraz ścieżek rowerowych.

– Celem akcji „Zima" jest utrzymanie przejezdności i użytkowania głównych ciągów komunikacyjnych wraz z infrastrukturą przystankową. Bardzo trafne jest to „głównych ciągów". Dzisiaj szereg komentarzy, które widzimy w prasie i social mediach dotyczą ulic, za które nie odpowiadamy bądź nie są objęte pierwszym priorytetem odśnieżania - stwierdził dyrektor.

Dodał, że w zależności od warunków atmosferycznych, w mieście wprowadzane są odpowiednie stany gotowości. - W najwyższym (stan A) dyżurny w naszej jednostce pracuje 24 godziny na dobę. Dla osób zgłaszających interwencje udostępniono trzy telefony i adres mailowy. Mamy stały podgląd aktualnej przewidywanej prognozy pogody. Współpracujemy z jednym z lokalnych biur meteo. Mamy łączenie z systemami w regionie. Wiemy o nadchodzących zjawiskach atmosferycznych z dużym wyprzedzeniem - mówił Wojciech Nalazek.

Czym zimniej, tym drożej

Zaznaczył, że działania prowadzone są profilaktycznie: przed wystąpieniem opadu lub po jego ustaniu. Akcja „Zima" obejmuje 358 km dróg i powierzchnie blisko 3 mln mkw. Aby zapewnić lepszą komunikację z mieszkańcami, utworzono specjalną zakładkę na stronie ZDMiKP, publikowane są poranne i wieczorne komunikaty o działaniach, a informacje przekazywane są także w aplikacji Dbamy o Bydgoszcz.

Jak przekazał na sesji dyrektor ZDMiKP, na działania w tym sezonie wydano ok. 11,5 mln zł, w tym blisko 8,5 mln zł na koszty działań mechanicznych na jezdni i ponad 3 mln zł na działania ręczne na ciągach pieszych. Akcja „Zima" trwa do końca marca, a już przekroczono zaplanowane wydatki. W budżecie, co Radiu Tok FM przekazała rzeczniczka drogowców, przewidziano na ten cel 8 mln zł.

Propozycje poprawek

Radni Bydgoskiej Prawicy dopytywali o możliwość zastosowaniu kilku rozwiązań, aby poprawić bezpieczeństwo na ulicach miasta. Jędrzej Gralik zaproponował uruchomienie punktów, w których mieszkańcy mogliby pobierać sól czy mieszankę do posypywania chodników. Katarzyna Zaczek pytała czy z uwagi na brak rąk do pracy możliwe jest zaangażowanie do akcji więźniów. Grażyna Szabelska dopytywała czy w dniach, gdy sytuacja jest cięższa, można uruchomić dodatkowe środki.

- Każdy z nas może zwiększyć swoje bezpieczeństwo. Oczywiście to, co należy do obowiązków miasta i do obowiązków właścicieli nieruchomości, co ustawa nakazuje, jak powinien być teren uprzątnięty, to jedno. Widzę po postach z wczoraj i przy poprzedniej akcji „lód", dwa tygodnie temu, że zostały wykupione wszystkie nakładki antypoślizgowe - mówił Jakub Mikołajczak, przewodniczący klubu radnych Koalicji Obywatelskiej, zachęcając, aby każdy zakupił taki sprzęt.

Wszystkie ręce na pokład

- Oczywiście, że można więcej, ale tylko w sytuacji, kiedy mamy kryzys. Tak jak mamy akcje kryzysowe wprowadzane odgórnie. To nie jest problem Bydgoszczy, bo od 16 listopada nie mieliśmy problemów z przejezdnością komunikacji, co zdarzało się w większych miastach. Wyszliśmy z tego obronną ręką. Nie poradziliśmy sobie z gołoledzią na chodnikach. Nasze firmy zawiodły. Dostały upomnienia i kary pieniężne - odpowiadał radnym Wojciech Nalazek.

Dwa-trzy lata temu akcja pomocy więźniów zarządowi dróg skończyła się na Bartodziejach w zakładach bukmacherskich.

- Mieliśmy do czynienia z więźniami 2-3 lata temu. Trzeba załatwić im transport i po nich jechać. Potem trzeba ich ubrać w odzież zimową ochronną, wyposażyć w sprzęt, zapewnić posiłek regeneracyjny, a potem ich odwieźć. Pilnować nie musimy, bo jest stróż. Akcja pomocy więźniów zarządowi dróg skończyła się na Bartodziejach w zakładach bukmacherskich. Policjanci ich szukali, bo część się oddaliła - opowiedział dyrektor ZDMiKP.

Zaznaczył, że drogowcy nie są w stanie odpowiadać za wszystkie działania, tak jak nie wyobraża sobie, aby np. sprzedawali piasek. - Mamy wiele innych jednostek w mieście, wydziały zarządzania kryzysowego itd. To są działania kryzysowe. Albo włączamy się wszyscy, albo czekamy aż ci panowie z Toruńskiej coś zrobią - stwierdził. Przy Toruńskiej mieści się siedziba drogowców.

- Czy istnieje formuła na ogłoszenie tego jako formalnego stanu kryzysu w mieście, nie na całą Polskę? Ten stan automatycznie uruchomiałaby inne służby i ekstra środki, które ściągnęłyby rozwiązanie tego kryzysu tylko z ZDMiKP i przeniosły odpowiedzialność również na inne wydziały - dopytywała Grażyna Szabelska.

- Zima nie jest kryzysem. To pora meteorologiczna, która występuje w przyrodzie cyklicznie. W naszej strefie klimatycznie, cytując „sorry, taki mamy klimat", występuje co roku. Zmienia swój charakter, nieraz jest bardziej uciążliwa, nieraz mniej, ale to jest naturalne - zwrócił się do niej Jakub Mikołajczak.©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

Przy ulicy Glinki może zniknąć część lasu

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Rada Miasta Bydgoszczy przyjęła projekty dwóch uchwał dotyczących przystąpienia do sporządzenia miejscowych planów zagospodarowania. Dokumenty są ze sobą powiązane. Z planu „Kapuściska-Hubala-Dobrzańskiego" wyłączono teren przy Glinki 155. Firma, która prowadzi tam działalność, chce rozbudować zakład, co najpewniej będzie wiązać się z wycinką terenów leśnych.

Pierwszy przyjęty przez radnych projekt zmienia uchwałę o przystąpieniu do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Kapuściska-Hubala-Dobrzańskiego" z marca 2022 roku. Dokument dotyczył terenu położonego na północ od ul. Glinki, na wschód od Szpitalnej i na południe od Wojska Polskiego. W trakcie prac nad dokumentem wpływały wnioski dotyczące terenów przy ul. Solnej. Chodziło w tym przypadku o to, aby zmienić ich funkcję z usługowej (jak zostało to przyjęte w Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego) na mieszkaniową.

- Chcielibyśmy przychylić się do tego, ale istniejące zapisy w Studium nam to utrudniają. Dlatego prace nad sporządzeniem tego planu miejscowego zostały wstrzymane do czasu uchwalenia Planu ogólnego, aby procedować te dwa dokumenty w zgodności ze sobą - tłumaczyła Anna Rembowicz-Dziekciowska.

Plan ogólny to dokument, który zastąpi Studium. Gminy mają obowiązek ich przyjęcia do końca czerwca 2026 roku, choć prawdopodobnie termin ulegnie przesunięciu o kolejne dwa miesiące.

Przyspieszyć rozbudowę

Wstrzymanie prac nad planem miejscowym „Kapuściska-Hubala-Dobrzańskiego" umożliwia zmiany również na innym terenie, dlatego zdecydowano się na wyłączenie z niego fragmentu terenu (ok. 9,6 ha) i przystąpienie do sporządzania planu „Glinki 155". Pod tym adresem działa firma Polon-Alfa.

- Spółka wystąpiła o to, aby ten plan był procedowany i sporządzony, bo nie ma ona możliwości jakiejkolwiek rozbudowy bez planu miejscowego - wyjaśniła Anna Rembowicz-Dziekciowska.

FOT. DARIUSZ BLOCH, ZDJĘCIE ARCHIWALNE

Choć to dopiero start prac nad przygotowaniem planu, już na tym etapie na sesji RMB wskazano wątpliwości. Mieszkańcy szczególnie obawiają się ewentualnej wycinki - radni pytali o to podczas sesji.

- Tereny ją otaczające, na wschód od spółki, w stronę parku przemysłowo-technologicznego, są terenami leśnymi. Zmiana przeznaczenia terenów leśnych na cele nieleśne może nastąpić tylko i wyłącznie w trybie planu miejscowego - mówiła dyrektor MPU.

- Mieszkańcy Kapuścisk są bardzo wrażliwi na wszelkie próby wycinania terenów leśnych w tym obszarze. Nie powinno nas to dziwić. Przez lata byli narażani na negatywne oddziaływanie środowiska, z różnych przyczyn, głównie pozachemowskich - mówiła Grażyna Szabelska, radna Bydgoskiej Prawicy. Dopytywała czy rozpoczęcie prac nad planem w konsekwencji będzie oznaczać wycinkę lasów na tym terenie, dodając, że jeśli tak, to na pewno wzbudzi słuszne protesty mieszkańców.

Podobne zdanie wyraziła radna Joanna Czerska-Thomas. - Rozwój firmy to tylko coś czemu można przyklasnąć, ale z drugiej strony ta otulina i bariera między firmami, a mieszkańcami jest bardzo ważna. W wielu krajach się ją rozbudowuje, a nie kurczy. To naturalna bariera chroniąca mieszkańców przed hałasem, zanieczyszczeniem i pogorszeniem jakości życia - stwierdziła.

To dopiero start prac

Anna Rembowicz-Dziekciowska odpowiadając na pytania radnych podkreśliła, że przyjęcie uchwał oznacza dopiero przystąpienie do sporządzania planu i żadne decyzje nie zapadły.

Dopiero w trakcie sporządzania dokumentu ustalone zostanie, czy będzie zgoda na zmianę przeznaczenia i jeśli tak, to w jakim zakresie. Wówczas będzie czas również na zgłaszanie ewentualnych zastrzeżeń. - Wnioskodawca złożył wniosek, abyśmy objęli tą uchwałą również tereny na północ od jego terenów, też leśnych. Jednoznacznie zajęłam stanowisko, że nie chciałabym takiej uchwały rekomendować radnym, bo to stanowi barierę między funkcjami mieszkaniowym, a produkcyjnymi Tu mówimy o terenie, który jest położony między zakładem produkcyjnym w kierunku parku przemysłowo-technologicznego. Ten teren w Studium jest przeznaczony pod tego rodzaju funkcje - zaznaczyła dyrektor MPU.

- Idziemy w stronę parku, ale ta wycinka lasów i rozwój firmy odbyłaby się także w kierunku przedszkola – zwróciła uwagę Grażyna Szabelska. – Projekt planu będzie musiał być uzgodniony z organami ochrony środowiska. Jakie będą tam zapisy chroniące przedszkole przed ewentualną uciążliwością, nad tym też państwo będziecie mogli czuwać - dodała.

Za przyjęciem projektu uchwały dotyczącego terenu przy ul. Glinki głosowało 12 radnych, pięciu wstrzymało się od głosu, a radne Grażyna Szabelska i Joanna Czerska-Thomas były przeciw.©℗

REKLAMA 0011460132

Katowice stolicą architektury i designu. Jubileuszowa edycja 4 Design Days przyciągnęła ponad 5 tysięcy uczestników

Ponad 5 tysięcy uczestników, blisko 250 prelegentów, 42 debaty i sesje tematyczne oraz dwa dni intensywnych rozmów o przyszłości architektury, miast i jakości przestrzeni – tak wyglądała jubileuszowa, dziesiąta edycja 4 Design Days, która odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Wydarzenie od lat gromadzi architektów, projektantów, urbanistów, przedstawicieli samorządów, inwestorów, deweloperów, administrację publiczną oraz środowiska biznesowe. Tegoroczna edycja po raz kolejny potwierdziła, że 4 Design Days to dziś jedna z najważniejszych w Polsce platform debaty o przestrzeni, mieście i odpowiedzialnym projektowaniu.

Program jubileuszowej odsłony skoncentrowany był wokół wyzwań, z którymi mierzy się współczesna architektura: odporności na kryzysy klimatyczne i energetyczne, projektowania regeneracyjnego, adaptacji istniejącej zabudowy, wpływu przestrzeni na relacje społeczne, a także roli nowych technologii – od danych po sztuczną inteligencję – w procesach projektowych i inwestycyjnych.

– *Architektura nie może być dziś wyłącznie estetyczną odpowiedzią na potrzeby rynku. Musi stać się narzędziem budowania jakości życia i odporności miast* – podkreślał podczas jednej z sesji David Sim, jeden z gości specjalnych wydarzenia i autor książki Soft City.

Wśród międzynarodowych prelegentów znaleźli się również m.in. Jonas Norsted z norweskiej pracowni Atelier Oslo, Jeanette Frisk – współzałożycielka kopenhaskiego arki_lab, specjalizująca się w projektowaniu partycypacyjnym oraz Roger Riewe – współtwórca uznanego biura Riegler Riewe Architekten. Towarzyszyło im szerokie grono polskich architektów, urbanistów i ekspertów, których dorobek realnie kształtuje współczesną przestrzeń.

Integralną częścią programu było także wydarzenie towarzyszące Property Forum: Pomysł na Miasto, poświęcone rynkowi nieruchomości oraz wyzwaniom stojącym przed polskimi miastami. Dyskusje dotyczyły m.in. rewitalizacji terenów poprzemysłowych, współpracy samorządów z sektorem prywatnym, długofalowego planowania przestrzennego oraz odpowiedzialności inwestycyjnej.

– *Miasta potrzebują dziś nie doraźnych decyzji, lecz spójnej wizji rozwoju, która łączy interes publiczny, ekonomię i jakość przestrzeni* – mówiła podczas jednej z debat Jeanette Frisk.

Jednym z najważniejszych momentów jubileuszowej edycji była Gala Property Design Awards, podczas której nagrodzono najlepsze realizacje architektoniczne i wnętrzarskie w Polsce. Jury doceniło projekty biurowe, mieszkaniowe, hotele, obiekty publiczne oraz przestrzenie komercyjne, podkreślając znaczenie jakości, odpowiedzialności środowiskowej i społecznej w projektowaniu. Z okazji 10-lecia przyznano nagrody specjalne dekady. Tytuł Projektu Miastotwórczego Dekady otrzymała Strefa Kultury w Katowicach, Budynkiem Dekady został Varso Tower w Warszawie, a Rewitalizacją Dekady – Hala Koszyki. Architektem Dekady został Przemo Łukasik, a Designerem Dekady – Oskar Zięta. Specjalne wyróżnienie przyznano Davidowi Simowi.

Drugiego dnia wydarzenia odbył się finał prestiżowego konkursu Dobry Design, promującego marki i projektantów, którzy łączą estetykę z funkcjonalnością, trwałością produktów oraz troską o zrównoważony rozwój. Konkurs od lat wskazuje kierunki, które wyznaczają standardy współczesnego polskiego wzornictwa.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days po raz kolejny pokazała, że Katowice stały się jednym z kluczowych miejsc w Polsce dla rozmowy o architekturze, designie i mieście. To nie wydarzenie o chwilowych trendach, lecz o długofalowych kierunkach, które realnie wpływają na to, jak projektujemy przestrzeń, w której żyjemy, pracujemy i funkcjonujemy na co dzień.

eprasa.pl ab42b3e2ca

Trzęsie i rzuca, tutaj obowiązuje ograniczenie prędkości tramwajów... do 10 km/h

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

Kto jeździ w Bydgoszczy tramwajami, w cyrku się nie śmieje. Zwalnianie, bujanie, do tego słynny „szynowąż", pożary torowisk, wykolejenia. W mediach społecznościowych mieszkańcy alarmują o kolejnych niebezpiecznych miejscach, jak np. na rondzie Fordońskim. Drogowcy zapewniają jednak, że znają problem i starają się mu zaradzić.

FOT. ZDMIKPBEZCENZURY

FOT. ZDMIKPBEZCENZURY

Takie przerwy na rondzie Fordońskim wychwycili twórcy fanpejdża ZdmikpBEZCenzury

FOT. ZDMIKPBEZCENZURY

Drogowcy twierdzą, że monitorują problem

Nienajnowsze bydgoskie torowiska nie wytrzymują obciążeń generowanych przez nowoczesne tramwaje Pesy i zwiększony ruch. W ubiegłym roku informowaliśmy o kilku wykolejeniach, ostatnio paliły się torowiska. Zimą i latem, wskutek naprężeń, wyskakuje słynny już w Polsce „szynowąż" przy kościele Klarysek, w kilku miejscach tory wyglądają fatalnie, są zniszczone, krzywe.

Motorniczowie muszą zwalniać, jak choćby na moście Pomorskim, na moście Bernardyńskim, na Jagiellońskiej koło Pałacu Młodzieży i koło Media Markt, na Wojska Polskiego na wiadukcie nad Jana Pawła II, czy na Gdańskiej/Kamiennej...

„Czekamy na tragedię?"

Kilka dni temu do naszej redakcji napisał pan Remigiusz Wróblewski.

„Rozpadające się szyny, prowizoryczne spoiny spawalnicze, które pękają pod ciężarem taboru, oraz głębokie wyrwy w nawierzchni przy rozjazdach - tak wygląda codzienność pasażerów bydgoskiej komunikacji tramwajowej na rondzie Fordońskim. Mimo wielokrotnych sygnałów kierowanych do ZDMiKP oraz Prezydenta Miasta, realnych działań naprawczych brak. Czekamy na tragedię?".

Czytelnik powołuje się na zdjęcia opublikowane na FB na stronie Zdmikp Bydgoszcz - Bez cenzury (strona powstała, bo ZDMiKP ma wyłączone komentarze).

„Widoczne na fotografiach ubytki w stalowych szynach oraz wykruszone łaty w torowisku to bezpośrednia recepta na wykolejenie tramwaju. To nie jest już kwestia estetyki czy komfortu jazdy. To kwestia tego, czy pasażer bezpiecznie dotrze do pracy i domu. Każdy przejazd tramwaju przez te rozjazdy to ryzyko pęknięcia szyny i wypadku, który w gęstym ruchu miejskim może mieć tragiczne skutki" - pisze.

Pan Remigiusz utyskuje dalej na urzędniczy paraliż oraz zapowiada, że jeśli miasto nie przedstawi natychmiastowego harmonogramu ratunkowych prac remontowych, sprawa zostanie skierowana do Urzędu Transportu Kolejowego (UTK) z wnioskiem o całkowite wyłączenie zniszczonych odcinków z ruchu ze względu na realne zagrożenie katastrofą w ruchu lądowym.

ZDMiKP: rondo Fordońskie pod kontrolą

Zdjęcia na rondzie Fordońskim, przy okazji innego artykułu, robiliśmy jesienią. Faktycznie, od tego czasu stan torów jeszcze się pogorszył. Zapytaliśmy więc ZDMiKP, czy ma jakiś plan na naprawę tego miejsca i wysłaliśmy zdjęcia przesłane przez pana Remigiusza.

Katarzyna Muszyńska, rzeczniczka ZDMiKP wyjaśnia: „W tegorocznym budżecie zarezerwowano prawie 9 mln zł na remonty infrastruktury torowej, w tym także środki na remont rozjazdów na rondzie Fordońskim. Obecnie trwają ustalenia z naszym wykonawcą, którym są Miejskie Zakłady Komunikacyjne, w zakresie zamówienia niezbędnych elementów torowiska u ich producenta oraz określenia harmonogramu napraw. Wymienione zostaną zwrotnice, krzyżownice oraz szyny. Aby zapewnić bezpieczeństwo do czasu kompleksowej naprawy, w tym miejscu obowiązuje ograniczenie prędkości do 10 km/h. Na bieżąco prowadzone są także doraźne prace naprawcze, a stan torowiska jest pod stałym nadzorem służb utrzymaniowych Miejskich Zakładów Komunikacyjnych pełniących całodobowe dyżury. Obecnie działania remontowo-naprawcze mają na celu jak najszybsze przywrócenie pełnej funkcjonalności tego ważnego węzła."

Szykują się kompleksowe naprawy

W dniu, w którym otrzymaliśmy odpowiedź od pani rzecznik, na stronie ZDMiKP pojawił się też materiał o zaplanowanych remontach w 2026 r. Wynika z niego, że drogowcy w planie mają prace na skrzyżowaniu Kamiennej i Gdańskiej, rondzie Fordońskim, Jagiellońskiej oraz Nakielskiej.

Jak informuje ZDMiKP, w ostatnich latach na prace utrzymaniowe związane z infrastrukturą torowo-sieciową wydano ponad 70 mln zł. Część torowisk modernizowana jest także z funduszy unijnych.

„W ostatnich latach zmodernizowaliśmy i wyremontowaliśmy łącznie 51 kilometrów tras. Cała bydgoska sieć to 95 km toru pojedynczego. Przygotowany plan tegorocznych remontów został tak opracowany, aby prace były jak najmniej uciążliwe (...). Z uwagi na trwającą rozbudowę pętli Las Gdański i związane z tym wyłączenia ruchu tramwajowego na odcinku ulicy Gdańskiej od ulicy Chodkiewicza do Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku wymienimy około stumetrowy odcinek torów przy skrzyżowaniu ulic Kamiennej i Gdańskiej. Kontynuowane będą również ubiegłoroczne prace związane z infrastrukturą torową na ulicy Jagiellońskiej. Remont przejdzie kolejny odcinek pod Trasą Uniwersytecką. Planujemy też naprawę fragmentu torowiska na ulicy Nakielskiej oraz wymianę około 30 iglic na węzłach rozjazdowych zlokalizowanych w różnych częściach miasta. Przygotowujemy się również do ogłoszenia przetargu dotyczącego naprawiania szyn, ich szlifowania, a także wymiany słupów trakcyjnych" - można przeczytać na stronie ZDMiKP.

Kasa z UE nie na bieżące remonty

Zarząd informuje też, że w ostatnim czasie wymieniono rozjazdy na pętli Łęgnowo, naprawiono (m.in. wymiana czworaka) węzeł Klaryski, wymieniono część podkładów na Jagiellońskiej, naprawiono lewy tor na Focha przy Operze Nova i naprawiono styki szyn na skrzyżowaniu Gdańskiej i Śniadeckich.

„Obecnie trwa również modernizacja torowisk na ulicy Toruńskiej (koszt 131 mln zł), a także rozbudowa pętli Las Gdański (16 mln zł). Dodatkowo na etapie projektowania jest modernizacja ronda Jagiellonów oraz torowiska wzdłuż Alei Kardynała S. Wyszyńskiego. W tym roku rozpoczną się także prace związane z budową torowiska na Szwederowo. Te duże zadanie inwestycyjne są możliwe do realizacji przy wykorzystaniu funduszy europejskich. Nie ma możliwości wykorzystywania tych środków na bieżące remonty".

„Jednym z naszych priorytetów jest jak najszybsze zlecenie projektu i odbudowy torowiska na Babiej Wsi, które jest alternatywą umożliwiającą prowadzenie prac remontowych i inwestycyjnych w ciągu ulicy Jagiellońskiej. Czekamy aż właściciel terenu zgodnie z decyzją Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego zabezpieczy wykop. Jest to niezbędny warunek do rozpoczęcia prac projektowych przy odbudowie torowiska. Narzucony przez PINB termin na zabezpieczenie wykopu to styczeń 2027 roku." - informuje ZDMiKP.

W tym ostatnim przypadku już dziś jednak wiadomo, że inwestor raczej nie dotrzyma tego terminu... Czy to oznacza, że stanu torów na ulicy Jagiellońskiej nie uda się poprawić w 2026?©℗

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

14 stycznia 2025 - wykolejenie tramwaju na Jagiellońskiej w Bydgoszczy. Ruch wznowiono po 7 godzinach

FOT. MICHAŁ SIEREK

11 lutego 2025 po godz. 15 tramwaj, któr wiózł około 50 pasażerów, wbił się w budynek po dawnym Savoyu

eprasa.pl ab42b3e2ca

W kwietniu ZUS wypłaci „trzynastki". Im wyższa emerytura, tym niższa będzie „trzynastka"

Małgorzata Stempinska
maciej.czerniak@polskapress.pl

Jak do roku, ZUS wypłaci „trzynastki" wraz ze świadczeniem za kwiecień. Nie trzeba składać wnioku. Wyliczyliśmy, ile wyniesie trzynasta emerytura.

Kontynuujemy nasz cykl artykułów „Porfel Seniora". Dziś piszemy o trzynastej emeryturze, której wielu seniorów z naszego regionu już z niecierpliwością wypatruje.

- Powiem szczerze, że choć jeszcze pieniędzy nie mam na koncie, to już je rozdysponowałam. Mąż także - śmieje się pani Jolanta, emerytka z Bydgoszczy.

Jak dodaje, z mężem zaplanowali sobie majówkę w górach. - To nasz wyjazd na rocznicę ślubu. Mamy już wpłaconą zaliczkę w pensjonacie w Zakopanem. Będzie romantyczna kolacja i inne atrakcje. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy oszczędzać. W końcu wpadną nam dwie „trzynastki" - mówi nasza Czytelniczka.

Zakład Ubezpieczeń Społecznych wypłaca świadczenia w kilku terminach tj.: 1., 6., 10., 15., 20., i 25 dnia miesiąca.

Wszystkim uprawnionym ZUS wypłaci „trzynastkę„ wraz z kwietniową emeryturą lub rentą. To znaczy, że emeryci i renciści otrzymają jeden przekaz lub przelew w swoim terminie płatności, który będzie sumą obu świadczeń. Pierwsze „trzynastki" wpłyną na konta seniorów z Pomora i Kujaw w środę - 1 kwietnia.

Aby dostać dodatkową gratyfikację, nie trzeba składać wniosku. ZUS wypłaci „trzynastki" z urzędu.

Tyle w 2026 roku wyniesie „trzynastka"

Według rządowych prognoz, wskaźnik waloryzacji ma wynieść 4,88 proc. Oznacza to, że trzynasta emerytura w 2026 roku wyniesie 1970,60 zł brutto.

Z trzynastej emerytury jest potrącana zaliczka na podatek dochodowy oraz składka na ubezpieczenie zdrowotne. Kwota netto „trzynastki" jest uzależniona od kwoty pobieranego

FOT. FREEPIK.COM

Do każdego uprawnionego emeryta i rencisty zostanie wysłana decyzja o przyznaniu dodatkowego rocznego świadczenia pieniężnego

świadczenia podstawowego. Im wyższa jest emerytura czy renta, tym niższa będzie „trzynastka".

Niektórzy otrzymają dwie „trzynastki"?

Są osoby, które dostają więcej niż dwa świadczenia, np. emeryturę z ZUS i KRUS lub emeryturę wraz z rentą wypadkową. Czy w takim razie dostaną dwie „trzynastki"?

Krystyna Michałek, regionalny rzecznik ZUS województwa kujawsko-pomorskiego, wyjaśnia, że w przypadku zbiegu prawa do kilku świadczeń osobie uprawnionej przysługuje tylko jedna „trzynastka".

Emerytom, którym KRUS wypłaca emeryturę rolniczą, a ZUS emeryturę pracowniczą, dodatkowe roczne świadczenie pieniężne wypłaci Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

- Również do renty rodzinnej, do której uprawniona jest więcej niż jedna osoba, przysługuje jedno dodatkowe roczne świadczenie pieniężne. Jest ono podzielone na równe części dla wszystkich uprawnionych - tłumaczy Krystyna Michałek.

Za dużo dorabiają, to nie dostaną trzynastki

ZUS wypłaci trzynastą emeryturę osobom, które na 31 marca będą miały prawo do wypłaty jednego z długoterminowych świadczeń takich jak np.:

- emerytury i renty w systemie powszechnym,
- e merytury i renty rolników, służb mundurowych,
- emerytury pomostowe,
- świadczenia i zasiłki przedemerytalne,
- renty socjalne,
- nauczycielskie świadczenia kompensacyjne,
- rodzicielskie świadczenia uzupełniające oraz
- renty inwalidów wojennych i wojskowych.

„Trzynastki" nie dostaną m.in. sędziowie, prokuratorzy w stanie spoczynku oraz sportowcy, którzy pobierają emeryturę olimpijską.

Dodatkowe pieniądze nie wpłyną też na konta osób, które na 31 marca będą mieć zawieszoną wypłatę swojego świadczenia z ZUS, np. z powodu zbyt wysokich dodatkowych zarobków. Co ważne, to ograniczenie ma zastosowanie tylko do osób, które nie osiągnęły jeszcze ustawowego wieku emerytalnego - 65 lat dla mężczyzn i 60 lat dla kobiet. Natomiast seniorzy, którzy przekroczyli te progi wiekowe, nie są objęci limitami i otrzymają trzynastą emeryturę bez względu na osiągane dodatkowe dochody.

Do każdego uprawnionego emeryta i rencisty zostanie wysłana decyzja o przyznaniu dodatkowego rocznego świadczenia pieniężnego. Razem z tą decyzją zostanie przekazana decyzja o podwyższeniu świadczeń od 1 marca 2026 roku, czyli tzw. decyzja waloryzacyjna. ©℗

1 lutego wchodzi KSeF. Przedsiębiorcy mają wątpliwości? Mogą zapytać nasze ekspertki

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

Nowy obowiązek dla firm od 1 lutego - KSeF. Ważne! Do końca 2026 roku żaden przedsiębiorca nie zostanie ukarany za pomyłki i błędy popełnione w związku z korzystaniem z KSeF.

- Czekają nas dwa etapy wdrażania systemu KSeF, pierwszy, podstawowy to 1 lutego 2026 roku, ale w przypadku wystawiania faktur będą do tego zobowiązani podatnicy, których sprzedaż w 2024 roku wynosiła co najmniej 200 mln zł. Jednak, jeśli chodzi o przyjmowanie faktur obejmie to wszystkie podmioty, które wykorzystują faktury w biznesie. Drugi etap to zaś 1 kwietnia 2026 roku i będzie już dotyczył wszystkich przedsiębiorców - powiedział w rozmowie z naszą redakcją Grzegorz Łysio, dyrektor Izby Administracji Skarbowej w Bydgoszczy.

Dyrektor mówi, że system na pewno zlikwiduje dodatkowe obowiązki, które obecnie występują. Wyeliminuje z obrotu noty korygujące. Nie będzie już też duplikatów faktur, które są teraz najczęściej wystawiane, gdy zaginął oryginał.

Akcja w regionie. Środy z KSeF do 11 lutego

Natomiast, jeśli faktura będzie dostępna w trybie online, archiwizowana w KSeF, to dostęp do niej będzie na bieżąco i będzie ją można pobrać w każdym momencie. System eliminuje też praktykę anulowania faktury VAT. Jeżeli zostanie wystawiona nie uda się jej wycofać, ewentualnie będzie można zrobić korektę.

Z korzyści, które pojawią się w Krajowym Systemie e-Faktur, przedsiębiorcy szybciej otrzymają zwrot podatku VAT z urzędu skarbowego, z ustawowego terminu 60 do 40 dni. Ponadto faktur wystawionych w KSeF nie trzeba będzie przechowywać w formie papierowej, znajdą się w systemie elektronicznym. Dla odbiorców korzyść to możliwość importowania danych z faktur, które uzyskają od swoich kontrahentów bezpośrednio do systemu finansowo-księgowego,

FOT. 123RF

1 lutego startuje Krajowy System e-Faktur (KSeF). Dotknie on w pierwszym etapie konkretną grupę przedsiębiorców

czyli bez konieczności przepisywania lub, potocznie mówiąc, bez wklepywania tych danych do komputera. Istotne jest również dla podatników i KAS to współpraca podczas kontroli podatkowej. Moment, w którym KAS uzyska dostęp do faktur online wyeliminuje konieczność dostarczania ich fizycznie.

Do 30 stycznia praca urzędów skarbowych (z wyjątkiem wyspecjalizowanych) będzie wydłużona do godz. 20.00. Do 11 lutego trwa akcja Środy z KSeF – KSeF w pigułce – to bezpłatne, kompleksowe szkolenia prowadzone stacjonarnie lub online przez wszystkie izby administracji skarbowej i urzędy skarbowe w Polsce, w godz. 10.00-12.00.

Każdy kto jeszcze nie wziął udziału w szkoleniu, albo chce usystematyzować swoją wiedzę - może w prosty i szybki sposób uzyskać najważniejsze informacje, dotyczące zmian od 1 lutego:

- co to jest KSeF i kogo dotyczy;
- najważniejsze terminy, obowiązki i wyłączenia;
- jak uzyskać dostęp do KSeF i nadać uprawnienia;
- tokeny i certyfikaty KSeF;
- bezpłatne narzędzia Ministerstwa Finansów – jak korzystać;
- jak przygotować firmę na do korzystania z KSeF.

Przygotowane szkolenia mają na celu przekazanie wiedzy w uporządkowanej formie.

Stanowisko KSeF w Galerii Focus

Stanowisko KSeF można również spotkać do końca lutego w każdą środę i każdą sobotę w Galerii Focus w Bydgoszczy oraz innych galeriach regionu.

Więcej informacji oprócz ww. strony www.ksef.podatki.gov.pl można uzyskać za pośrednictwem infolinii Krajowej Informacji Skarbowej (KIS) pod numerem: 22 330 03 30, która od 26 stycznia w zakresie KSeF jest czynna całodobowo! ©℗

DYŻUR

Hanna Olczak, kierownik referatu czynności analitycznych i sprawdzających

Sylwia Lewandowska, kontroler skarbowy w tym samym referacie

Mają Państwo wątpliwości i pytania, związane z KSeF? Co to jest i kogo dotyczy? Jakie są najważniejsze terminy, obowiązki i wyłączenia? Jak [uzyskać dostęp do KSeF i nadać uprawnienia, tokeny i certyfikaty? Jak korzystać z bezpłatnych narzędzi Ministerstwa Finansów i przygotować firmę na do korzystania z KSeF. Nasze ekspertki z III Urzędu Skarbowego w Bydgoszczy czekają na pytania we wtorek, 3 lutego, w godz. 11.00 - 13.00 pod numerem bezpłatnej infolinii 800170 755. Zapraszamy! Pytania można też wysłać na agnieszka.domka@polskapress.pl

eprasa.pl ab42b3e2ca

12 lutego ważny wyrok dla kredytów z WIBOR-em. Będą masowe pozwy?

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Orzeczenie TSUE zmieni zasadniczo mechanizmy sporów wokół kredytów złotowych, podobnie jak przed laty wyrok TSUE w sprawie frankowiczów? Wyrok zostanie ogłoszony 12 lutego.

W tej sprawie opinię wydała już rzeczniczka generalna TSUE. Według niej kluczowe jest czy bank w sposób prosty i zrozumiały poinformował klienta o wszystkich ryzykach związanych z kredytem złotowym z WIBOR. Podkreśliła jednak, że ocena sądu nie może dotyczyć samego wskaźnika WIBOR jako takiego ani metody jego ustalania.

Sąd ma sprawdzać, czy konkretny warunek w umowie był uczciwy i czy konsument świadomie zgodził się na ryzyko. Nie ma jednak uprawnień do kwestionowania legalności samego wskaźnika. Można to rozumieć, że ewentualne podważenie umowy będzie mogło opierać się na braku precyzyjnego poinformowania o wszystkich ryzykach związanych z kredytem złotowym z WIBOR, a nie na wadliwości konstrukcji WIBOR-u.

- W 90 procentach wyroki TSUE są potwierdzeniem opinii, a tutaj rzecznik generalna TSUE wskazała, owszem, postanowienia dotyczące zmiennego oprocentowania mogą być badane, ale sądy nie mogą podważać samego mechanizmu stawki WIBOR – komentował na ostatniej konferencji prasowej Związku Banków Polskich (27 stycznia), jego prezes, dr Tadeusz Białek. - Przypomnę, że WIBOR funkcjonuje na podstawie licencji, czyli decyzji administracyjnej wydanej przez nadzór, a u nas to KNF. Nie ma też obowiązku, wbrew temu, co próbują dowodzić kancelarie, jakoby bank miał obowiązek przedstawiania szczegółowej metodologii wyznaczania wskaźnika. Pani rzecznik wyraźnie wskazała, że wymóg przejrzystości nie oznacza takiego obowiązku. To trochę tak, jakby oczekiwać, że klient, który kupuje samochód w salonie miałby znać szczegółową budowę jego silnika, a chce wiedzieć np. czy auto jest na benzynę, czy na ropę. Stosując to do kredytów to klient musi wiedzieć czy to oprocentowanie zmienne, czy stałe. W bankowych umowach jest to, co bank musi w nich zawrzeć. Każdy wskaźnik wiernie odzwierciedla stopę referencyjną banku centralnego.

Prezes ZBP powiedział, że bankowcy spodziewają się, że TSUE potwierdzi opinię rzecznika. Nie ma na pewno podstaw do scenariuszy masowych fali pozwów. Taki obraz próbują, oczywiście, kształtować kancelarie, szukając dodatkowej puli spraw do zagospodarowania, tworząc fałszywy obraz podważalności umów.©℗

ZUS wyjaśnia: dodatki wliczają się do limitu renty wdowiej

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Dodatki, które otrzymujemy do emerytury, cieszą, ale też mogą pozbawić prawa do renty wdowiej. Trzeba bowiem pilnować limitu.

Skontaktowała się z nami pani Janina z okolic Bydgoszczy. - Mam 76 lat. Moja emerytura to 4827 zł brutto. Ze względu na wiek dostaję też dodatek pielęgnacyjny w wysokości 348,22 zł. Mam też przyznany ryczałt energetyczny wynoszący 312,71 zł. Mąż zmarł niedawno. Chcę wnioskować o rentę wdowią. Czy dodatki są wliczane do limitu renty wdowiej? Czy mi się będzie należeć renta? - dopytuje nasza Czytelniczka.

Przekroczony limit, to nie będzie świadczenia

Krystyna Michałek, regionalny rzecznik ZUS województwa kujawsko-pomorskiego, zaznacza, że rentę wdowią mogą otrzymać osoby, które osiągnęły powszechny wiek emerytalny – co najmniej 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn, pozostawały we wspólności małżeńskiej do dnia śmierci małżonka, nabyły prawo do renty rodzinnej po zmarłym małżonku nie wcześniej niż 5 lat przed osiągnięciem wskazanego wieku emerytalnego oraz nie zawarły nowego związku małżeńskiego.

FOT. FREEPIK.COM

Łączna kwota renty wdowiej nie może przekroczyć trzykrotności najniższej emerytury, czyli 5636,73 zł brutto

Łączna kwota renty wdowiej nie może przekroczyć trzykrotności najniższej emerytury, czyli 5636,73 zł brutto. Limit obowiązuje do 28 lutego 2026 roku. Po tegorocznej waloryzacji będzie wyższy.

Jeśli suma połączonych świadczeń przekracza limit, świadczenia są pomniejszane o kwotę przekroczenia. Natomiast, gdy sama renta rodzinna lub własne świadczenie jest równe limitowi albo go przekracza, renta wdowia – mimo spełnienia warunków – nie przysługuje. W takiej sytuacji nadal wypłacane jest jedno świadczenie: wyższe lub wybrane przez zainteresowanego.

Do limitu renty wdowiej wlicza się świadczenia wypłacane łącznie, na przykład emeryturę i rentę rodzinną po zmarłym małżonku, świadczenia wypłacane przez instytucje zagraniczne, a także inne niż jednorazowe świadczenia i dodatki, takie jak dodatek pielęgnacyjny czy ryczałt energetyczny, przyznane na podstawie ustawy emerytalnej lub odrębnych przepisów. - Pobierana przez Czytelniczkę emerytura w wysokości 4827 zł oraz dodatki: pielęgnacyjny 348,22 zł i ryczałt energetyczny 312,71 zł dają łącznie 5487,93 zł, a więc kwotę mieszczącą się w obowiązującym limicie. Oznacza to, że Czytelniczka może złożyć wniosek o rentę wdowią wraz z wnioskiem o rentę rodzinną po zmarłym małżonku. Jeśli spełnia wszystkie warunki wymagane do przyznania renty wdowiej, w jej przypadku – po zastosowaniu limitu – uzyska dodatkowo 148,80 zł - wyjaśnia Krystyna Michałek.

Ponad milion wniosków o rentę wdowią

Od stycznia do 31 grudnia 2025 roku w całej Polsce do ZUS wpłynęło ponad 1 mln 156 tys. wniosków o rentę wdowią. Najwięcej złożono w województwach śląskim, mazowieckim i wielkopolskim, a najmniej w podlaskim, lubuskim i opolskim. W Kujawsko-Pomorskiem do placówek ZUS wpłynęło 65,5 tys. wniosków.

Na koniec grudnia 2025 roku z renty wdowiej korzystało już ponad milion osób. Wypłaty świadczeń łączonych z rentą rodzinną wyniosły 3 mld 516 mln zł, z czego 317,7 mln zł stanowiło 15 proc. drugiego świadczenia.

W województwie kujawsko-pomorskim renta wdowia trafiła do 57,4 tys. osób, a kwota wypłat wyniosła 198,9 mln zł, w tym 18,5 mln zł w ramach 15 proc. drugiego świadczenia. Dzięki rencie wdowiej uprawnieni zyskali średnio 350,63 zł miesięcznie, a w regionie 348,48 zł.

Warto wiedzieć, że od decyzji odmownej w sprawie przyznania renty wdowiej można się odwołać do sądu okręgowego właściwego dla miejsca zamieszkania - sądu pracy i ubezpieczeń społecznych.

Odwołanie składa się za pośrednictwem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w ciągu miesiąca od dnia doręczenia decyzji.
©℗

Podejrzany o usiłowanie zabójstwa małżeństwa był i jest poczytalny

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Paweł W., podejrzany o usiłowanie zabójstwa przy ul. Kociewskiej w Toruniu, ma zaburzenia osobowości i jest uzależniony m.in. od alkoholu i internetu, ale był poczytalny. Odpowie przed sądem.

Trudno pojąć przyczyny tragedii, jakiej doświadczyli Marta i Filip Szymczukowie z Torunia. 25 maja 2025 roku znajomy z klubu sportowego „Interpadel", po imprezie w tym lokalu przy ul. Kociewskiej, celowo wjechał w nich samochodem. Przeżyli, ale odnieśli ciężkie obrażenia. Chciał ich zabić - ustaliła prokuratura i taki zarzut postawiła mężczyźnie.

Czym się kierował Paweł W. i co siedziało w jego głowie? Kłopot z odpowiedzią na to pytanie mieli także psychiatrzy. Po standardowym, jednorazowym badaniu nie byli w stanie orzec, czy był poczytalny. Mężczyzna wysłany został z aresztu na miesięczną obserwację psychiatryczną. Zakończył ją z końcem października ub.r. Potem prokuratura czekała na kluczową ekspertyzę biegłych o poczytalności.

Opinia wreszcie dotarła. Prokurator rejonowa Joanna Becińska przekazała nam jej najważniejsze ustalenia i wnioski.

- Po miesięcznej obserwacji biegli psychiatrzy sporządzili opinię na temat podejrzanego Pawła W. Diagnoza mówi o mieszanych zaburzeniach osobowości, uzależnieniu od alkoholu, telefonu, mediów społecznościowych i internetu - mówi prokurator rejonowa Joanna Becińska.

Kluczowy wniosek opinii jest natomiast taki: w krytycznym momencie, czyli 25 maja 2025 roku, Paweł W. był poczytalny. Miał zdolność pokierowania swoim postępowaniem i zdolność rozpoznania swoich czynów. Może także obecnie brać udział w toczącym się postępowaniu i w przyszłości stanąć przed sądem; może też przebywać w warunkach zakładu karnego.

Co oznacza to w praktyce? To, że Paweł W. będzie normalnie sądzony. Prokuratura Rejonowa Toruń Wschód nie kryje, że kończy już śledztwo. Niedługo powinien pojawić się akt oskarżenia. Choć - to zawsze możliwe - jakieś wnioski dowodowe na finał zawsze zgłosić może obrońca Pawła W., po końcowym zapoznaniu się z całym zgromadzonym materiałem sprawy.

Paweł W. ma 35 lat, pochodzi spod Chełmży. W Toruniu pracował jako analityk danych, głównie zdalnie. Hobbystycznie zaglądał do klubu sportowego „Interpadel" na Kociewskiej. Tu poznał Martę i Filipa, ale nie byli żadnymi bliskimi znajomymi.

FOT. AGNIESZKA BIELECKA

W maju 2025 roku znajomy z klubu „Interpadel" miał celowo wjechać w małżeństwo autem

Teraz na tym mężczyźnie ciąży prokuratorski zarzut usiłowania zabójstwa i spowodowania ciężkich obrażeń ciała. Grozi mu wieloletnie więzienie, a formalnie nawet dożywocie. Od 25 maja 2025 roku, nieprzerwanie, jest tymczasowo aresztowany. Prokuratura Rejonowa Toruń Wschód śledztwo przedłużyła do 19 lutego.

Marta Szymczuk to znana i lubiana w Toruniu lekarka. Jej mąż Filip związany był z prywatnym biznesem. Wychowują małe bliźniaczki. Od 25 maja ub.r. nie pracują zawodowo i nie wiadomo, czy i kiedy w ogóle będą. Na razie walczą o odzyskanie zdrowia.

Filip Szymczuk z całych sił walczy o to, by kiedyś chodzić. W listopadzie, gdy rozmawialiśmy, nadal poruszał się na wózku. Systematycznie jednak się rehabilituje i nie traci hartu ducha. Marta Szymczuk też ucierpiała. Straciła miedzy innymi zęby. Wszystko jednak co z nimi związane musiała odłożyć na później. W pierwszej kolejności poddawała się kolejnym operacjom i zabiegom chirurgicznym.Kolejny zabieg na nogę zaplanowany ma na wiosnę br., jak niedawno przekazywał nam jej mąż. ©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

„Na początku graliśmy tylko piosenki Beatlesów, bo tę twórczość po prostu uwielbiamy”

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Duet, a tak właściwie, to na co dzień znamy ich z różnych przedsięwzięć solowych w innych projektach: Paweł Błędowski i Łukasz Jemioła.

FOT. NADESŁANE

Zwierzenia przy muzyce Błędowski & Jemioła na antenie Radia PiK w piątek o godzinie 20.05

Co takiego się wydarzyło, że postanowiliście stworzyć duet, który już jakiś czas istnieje?
Paweł Błędowski: Chyba najfajniejsze w tym wszystkim jest to, że w ogóle z Łukaszem tego duetu nie planowaliśmy. Zaczęło się od jakiegoś spotkania w garderobie, przy okazji koncertu, na którym wspólnie występowaliśmy, ale nie razem na scenie. I przerzucaliśmy się piosenkami Beatlesów. Najpierw zaczęliśmy występować i graliśmy tylko piosenki Beatlesów, bo tę twórczość po prostu uwielbiamy.
Łukasz Jemioła: … i to jest też fajne nawiązanie do tej tradycji, że możemy śpiewać sobie w dwugłosie, tylko dwie gitary, dwa głosy. Tak od słowa do słowa, od piosenki do piosenki zaczęliśmy też przynosić swoje utwory. Każdy z nas od wielu lat komponuje swoje piosenki i teraz jest płyta. Bardzo nas to cieszy.

Nazwaliście ten poprzedni projekt „The Beatles akustycznie”. Jak rozumiem sami siebie tak nie nazywaliście, bo to byłoby niegrzeczne.
PB: Bardzo byśmy chcieli należeć do tego zespołu, niestety nie było nam to dane i musieliśmy poczekać troszkę, żeby rodzice nas urodzili, żebyśmy mogli podrosnąć, nauczyć się grać na gitarze, ale to są dwa osobne projekty, natomiast jeden na drugi wpływa.
ŁJ: To znaczy nasze autorskie piosenki jak Paweł przed chwilą powiedział, wzięły się z Beatlesów, a brzmienie, jakim gramy Beatlesów, już w tej chwili wynika trochę z tego, jak brzmimy jako duet.

Brzmicie różnorodnie jako duet.
PB: To chyba zaleta, bo jak to kiedyś mawiał taki mój znajomy, „łatwiej jest uprawiać wyłącznie ziemniaka, tylko po co, skoro można mieć cały ogród”. To znaczy jak sama powiedziałaś, byliśmy i jesteśmy w różnych projektach muzycznych, natomiast tutaj skupiamy się na graniu akustycznym i takim bardzo naturalnym, to znaczy używamy bardzo mało, jeżeli w ogóle, takich wzmacniaczy „smaków muzycznych”, jeżeli tak można to nazwać. Staramy się jak najbardziej mieć takie brzmienie, żeby słuchacz miał wrażenie, że po prostu siedzimy obok niego i gramy dla niego na gitarach i śpiewamy coś, co chcemy opowiedzieć.

Jak słuchałam waszej płyty, to stwierdziłam, że ona jest różnorodna, ale też trochę nierówna, jakby pokazywała z różnych stron Wasze zainteresowania. Opowiedzcie trochę o sobie, co robicie. Który to jest dziennikarzem Radia Lublin?
PB: To ja. W ogóle przed mikrofonem radiowym siedzę już od chyba 2002 roku. Zaczęło się od radia akademickiego. Poza tym troszkę działam na uczelni, ale głównie moje życie kręci się wokół muzyki.

A ja myślałam, że jednak wokół radia?
PB: Oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Wokół Radia też, ale ponieważ jestem w redakcji muzycznej, więc tak naprawdę muzyka jest tym głównym źródłem zainteresowania, początkiem wszystkiego. Wszystko się bierze u mnie w życiu z muzyki.
ŁJ: A ja się nazywam się Łukasz Jemioła i mnie z tego radia akademickiego, które Paweł wspomina, wyrzucono kilka lat później. Właściwie wtedy nieopatrznie puściłem piosenkę „Kalifornia” w radiostacji, która była zupełnie rockowa. To mi wcale nie przeszkadzało, bo ja pojmuję muzykę i dzielę ją tylko na dobrą i złą, subiektywnie oczywiście dla mnie, bo nie istnieje obiektywna prawda. Natomiast gatunek nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ja się zajmuję, właściwie wyłącznie muzyką. Granie koncertu to jest moja praca. Raz w tygodniu jestem nauczycielem, co bardzo ciekawie zmienia mi perspektywę i ja się też dużo uczę.

Nauczycielem czego – gitary?
ŁJ: Muzyki, chociaż teoretycznie znam się też na dziennikarstwie i polityce, ale o tym mam nadzieję, nie będziemy rozmawiać. Natomiast i tak ta perspektywa szkolna pozwala mi na kontakt z młodymi ludźmi. Pozwala mi szerzej też spojrzeć na muzykę, dowiaduję się o wykonawcach, którzy mają miliardy wejść, a ja w ogóle nie wiem, że oni istnieją. Z drugiej strony, ja młodemu pokoleniu mogę powiedzieć na przykład o Beatlesach, których oni nie kojarzą absolutnie. No i tak jak już powiedziałem, zajmuję się w 99 procentach graniem na gitarze i śpiewaniem różnych utworów.(…)

REKLAMA 0011470386

eprasa.pl ab42b3e2ca

Propaganda, że Polacy są przeciwni szczepieniom, to absolutna nieprawda

Katarzyna Nocuń
PAP

Rozmowa z Pawłem Grzesiowskim, Głównym Inspektorem Sanitarnym.

Jakie są efekty kontroli kart szczepień?
Od kwietnia do końca lipca 2025 r. pracownicy 318 stacji powiatowych i 16 stacji wojewódzkich przy wsparciu punktów szczepień, przejrzeli łącznie ponad 7,3 mln kart szczepień. Po wprowadzeniu danych do cyfrowej bazy, ujawniliśmy blisko 500 tys. kart do weryfikacji. To sytuacje, w których na przykład nie było kontaktu z rodziną dziecka, albo dziecko było zgłoszone do poradni, ale nie miało wypełnionej karty szczepień. Teraz trwa drugi etap kontroli, sprawdziliśmy już 30 proc. tych przypadków. Na ostatnim etapie kontroli, jeśli okaże się, że rodzice uchylają się od szczepienia dziecka, czyli nie ma przeciwskazań medycznych do szczepienia, a brak szczepienia nie wynika z wyjazdu czy zmiany lekarza, będziemy uruchamiać postępowanie administracyjne w celu uzupełnienia szczepień.

W ostatnich latach były informacje, że wyszczepialność dzieci drastycznie spada. Potwierdziły się?
Na podstawie pierwszej części kontroli, czyli bez zweryfikowanych jeszcze 500 tys. kart, można stwierdzić, że szczepienia w pierwszych pięciu latach życia dziecka są na bardzo wysokim poziomie. Właściwie wszystkie obowiązkowe szczepienia są realizowane na poziomie 89-95 proc. To średnia krajowa. Analiza wykazała, że propaganda antyszczepionkowa głosząca, że odmowy szczepień dzieci lawinowo rosną, jest nieprawdziwa. Okazuje się, że mniej więcej z każdego rocznika około 5-10 proc. dzieci w Polsce nie jest szczepionych, z czego część dzieci z przyczyn medycznych. Wstępnie szacujemy, że około 4-5 proc. nie jest szczepionych w wyniku braku zgody rodziców. Mit, że rok rocznie ta liczba narasta jest nieprawdziwy.

Na takie wzrosty wskazywały także dane Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego Państwowego Zakładu Higieny – Państwowego Instytutu Badawczego.
Liczby niezaszczepionych dzieci przedstawiane m.in. przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego Państwowy Zakład Higieny – Państwowy Instytut Badawczy były niekompletne i prezentowane w niewłaściwy sposób. Wykresy pokazywały dane skumulowane, czyli sumowano liczby niezaszczepionych dzieci w danym roku z danymi z poprzednich lat bez ich weryfikacji. Dlatego wykresy sugestywnie rosły, ale nie odzwierciedlały rzeczywistego trendu.
Po zbadaniu kart szczepień możemy powiedzieć, że każdego roku, w danym roczniku jest podobny procent niezaszczepionych dzieci. Jeśli przyjąć, że mamy 5 proc. niezaszczepionych dzieci z powodu uchylania się rodziców, to przy liczbie urodzeń rocznie ok. 250-300 tys., oznacza około 10-15 tysięcy niezaszczepionych dzieci rocznie. Skumulowane dane z 18 roczników, to może być w sumie około 200 tys. dzieci niezaszczepionych w wieku 0-18 lat.
Ponadto, w części nie są to jednak dzieci całkowicie niezaszczepione. Jako dziecko niezaszczepione kwalifikowaliśmy takie, które nie dostało co najmniej dwóch szczepień przez co najmniej rok od upływu terminu, w którym to szczepienie powinno otrzymać. Jeśli sześciolatek nie dostał szczepienia przypominającego, to nie kwalifikowaliśmy go jako przypadku, w którym rodzice uchylają się od wykonania szczepienia u dziecka. Takie przypadki oznaczaliśmy jako „do wyjaśnienia".
Propaganda antyszczepionkowców, że rok do roku rośnie liczba osób odmawiająca szczepień, że Polacy są przeciwni szczepieniom - to absolutna nieprawda. Mamy to bardzo mocno potwierdzone.

Co z odpornością populacyjną?
Biorąc pod uwagę zaszczepienie 18 roczników dzieci można powiedzieć, że polskie społeczeństwo jest odporne w zakresie 12 chorób objętych obowiązkowymi szczepieniami populacyjnymi. Jednak trzeba podkreślić, że są regiony, województwa, w których wszczepialność jest poniżej 90 proc., ale trwa jeszcze weryfikacja brakujących danych, więc ostateczne wskaźniki wyszczepialności mogą okazać się wyższe. Mając na uwadze posiadane informacje, możemy przyjąć, że w większości chorób, przeciw którym szczepimy, mamy utrzymaną odporność populacyjną. Najtrudniejsza jest sytuacja w zakresie szczepień przeciw różyczce, odrze i śwince w województwach wschodnich od Podlasia przez Lubelszczyznę do Podkarpacia. Tam wyszczepialność jest

FOT. GOV.PL

Paweł Grzesiowski: - szczepienia w pierwszych pięciu latach życia dziecka są na bardzo wysokim poziomie.

o kilka procent niższa niż w większości kraju.

Co więcej można wyczytać z badania?
Ujawniliśmy zjawisko słabszej wyszczepialności - na poziomie osiemdziesięciu kilku procent - u sześciolatków. Dzieci w tym wieku powinny otrzymać dwa szczepienia przypominające, przeciw błonicy, tężcowi, krztuścowi, polio, różyczce, odrze i śwince. To ważne wnioski przede wszystkim dla pracowników realizujących zadania w zakresie medycyny szkolnej. Bardzo ciekawe jest to, że 14-latkowie są lepiej wyszczepioną grupą, niż sześciolatkowie, czyli na poziomie blisko 90 proc. To oznacza, że dzieci, które kończą podstawówkę, są wychwytywane przez system i otrzymują szczepienia przypominające. W przypadku sześciolatków, musimy uruchomić działania systemowe, aby przed rozpoczęciem nauki w szkole, podczas bilansu 6-latka realizowano szczepienia przypominające.

Kontrola NIK w 2025 r. pokazała, że dane o szczepieniach są niepełne, że nie wiemy tak naprawdę, ile dzieci jest zaszczepionych. Badanie GIS to potwierdziło?
Tak, nasza kontrola potwierdziała, że część punktów szczepień nie sprawozdawała wszystkich dzieci nieszczepionych, z różnych powodów, w związku z tym, Inspekcja Sanitarna dysponuje niepełnymi danymi. Wielu lekarzy wskazuje na zły odbiór przez rodziców raportowania braku szczepień do Inspekcji, bo oznacza to represje w postaci kar finansowych. Podczas pierwszego etapu kontroli, wykryliśmy blisko pół miliona kart niezaszczepionych dzieci, które nie zostały przekazane do sprawozdań. Mamy teraz sporo pracy do wykonania, bo część z tych dzieci będziemy musieli odnaleźć, gdyż punkty szczepień nie mają kontaktu z rodzicami. W części przypadków będziemy bezradni, bo jeśli nie ustalimy adresu zamieszkania dziecka, to nie mamy innej możliwości weryfikacji, czy dziecko zostało zaszczepione czy nie.

Co z procedurą administracyjną wobec rodziców, którzy nie szczepią dzieci? Podkreślał pan, że jest nieskuteczna. Coś się zmieni?
Mając na uwadze zarówno wyniki kontroli, jak również wieloletnie doświadczenia, podtrzymuję opinię, że administracyjnie nakładane grzywny to anachroniczna procedura. Podlega zaskarżeniu do sądu administracyjnego, a sprawy toczą się latami. Dzieci w tym czasie często kończą 18 lat i nie są szczepione. Efektywność tej procedury nie przekracza 5 proc., co potwierdza konieczność jej zmiany. Wszyscy widzimy, że obecnie prowadzone postępowania administracyjne są tu nieskuteczne i kosztowne dla podatników. Dlatego we współpracy z Ministerstwem Zdrowia przygotowaliśmy projekt, który zakłada, że w przypadku niezgłoszenia się z dzieckiem na szczepienie, będzie uruchamiane postępowanie mandatowe. Mandat, w odróżnieniu od grzywny, jest formą uproszczoną, która ma dać rodzicom sygnał, że powinni zgłosić się na szczepienia. Dodatkowym mechanizmem uszczelnienia nadzoru nad szczepieniami będzie cyfryzacja kart szczepień, która zwolni lekarzy z raportowania dzieci nieszczepionych, a więc poprawi relacje z rodzicami, którzy mają wątpliwości w kwestii szczepień.

Kiedy będą obowiązywały elektroniczne karty szczepień?
Prowadzenie elektronicznej karty szczepień jest możliwe już dziś. Wszystkie szczepienia zalecane muszą być dokumentowane cyfrowo, ale przepisy nie obejmują szczepień obowiązkowych. Mamy obecnie system ewidencji papierowej, z którego chcemy się całkowicie wycofać. Mam nadzieję, że opracowany w GIS projekt w tej sprawie, który jest prowadzony przez Ministerstwo Zdrowia, będzie procedowany w pierwszym półroczu 2026 r. Mamy szerokie plany wobec cyfrowej książeczki szczepień, która umożliwi powiadamianie o szczepieniu np. SMS-em. Cyfrowa książeczka szczepień dostępna na Internetowym Koncie Pacjenta pozwoli także na wymianę informacji o skierowaniach na szczepienia, odroczeniach szczepień, niepożądanych odczynach poszczepiennych (tzw. NOP-ach), badaniach kwalifikacyjnych na jednej platformie.

Idzie ostry mróz. W weekend w nocy możliwe nawet - 20 stopni

Agnieszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Zima nie odpuszcza. Końcówka stycznia w Kujawsko-Pomorskiem będzie wyjątkowo mroźna. Na pocieszenie, w pierwszy i drugi tydzień ferii ma padać śnieg.

- Ostatnie dni stycznia znów upłyną pod znakiem znacznego ochłodzenia - ostrzega Bogdan Bąk, meteorolog z Bydgoszczy.

Najbliższa sobota i niedziela zapowiadają się z dwucyfrowym mrozem zarówno w dzień, jak i w nocy.

- Można spodziewać się, że we wschodniej części województwa termometry pokażą poniżej - 20 stopni Celsjusza, a w centrum i na zachodzie do - 18 stopni Celsjusza - uściśla Bogdan Bąk.

Siarczysty mróz przez wyż znad Rosji

Taki mróz to efekt oddziaływania wyżu znad północnej Rosji.

- Ten układ ciśnienia dość regularnie pojawia się pod koniec stycznia i towarzyszą mu siarczyste mrozy - wyjaśnia bydgoski meteorolog.

- Na szczęście, w przyszłym tygodniu wyż powróci w swoje okolice i wtedy nad region zacznie napływać znacznie cieplejsze powietrze.

- Przez kolejne 9-10 dni temperatura w dzień będzie wzrastała od -6 do 0 st. C, a w nocy spadała od -8 do -4 st. C - dosaje Bogdan Bąk.

Ale w tym czasie pojawią się też dni z silniejszym wiatrem (4-6 lutego), przez co temperatura odczuwalna będzie o kilka stopni niższa. Wiatr może też powodować zawieje śnieżne, bo 4,5, 6 i 10 lutego prognozowane są przelotne opady śniegu.

Liczą na nie uczniowie, którzy w Kujawsko-Pomorskiem rozpoczynają ferie 2 lutego. W tym czasie w naszym regionie będzie około 330 turnusów wypoczynkowych, skorzysta z nich łącznie 10 104 osób.

W połowie ferii pogoda ma się zrobić przyjemniejsza, ale mróz będzie trzymał, nie ma więc obaw, że budowa tymczasowych lodowisk w naszym województwie pójdzie na marne.

Uwaga na ciśnienie

- Mróz nie będzie dokuczliwy. Od 7 lutego zobaczymy więcej pogodnego nieba - dodaje Bogdan Bąk.

I jeszcze ważna informacja dla meteopatów, wrażliwych na zmiany ciśnienia atmosferycznego: 1, 2, 3, 8 i 9 lutego będzie ono wysokie, w poniedziałek 2 lutego wyniesie 1032 hPa. W pozostałe dni ciśnienie na powinno dostarczać problemów. ©℗

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI

Najbliższy mróz to efekt wyżu znad północnej Rosji

eprasa.pl ab42b3e2ca

REKLAMA

0011464188

Jak obniżyć koszty utrzymania mieszkań – innowacyjne rozwiązania dla budynków wielorodzinnych

Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa „Zrzeszeni" od 2023 r. na szeroką skalę wdraża rozwiązania i programy obniżające koszty podgrzewania ciepłej wody użytkowej i ogrzewania mieszkań. Rok 2023 był przełomowy dla wielu spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych. Na przełomie grudnia i stycznia opublikowano nową taryfę cenową za ciepło systemowe w Bydgoszczy. Podwyżki były drastyczne, np. w Osowej Górze koszty podgrzewania ciepłej wody użytkowej i ogrzewania wzrosły nawet 2,5-krotnie. Dla mieszkańców Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej „Zrzeszeni" był to prawdziwy szok.

Wówczas postanowiono poszukać rozwiązania, które zapewni mieszkańcom długofalowe obniżenie kosztów, zarówno ogrzewania oraz podgrzewu ciepłej wody.

Rozważano różne scenariusze, w tym: docieplenie budynków czy modernizację węzłów cieplnych. Żadne jednak nie gwarantowało tak szybkiego i wymiernego efektu jak pozyskiwanie energii cieplnej z energii słonecznej. „Słońce nie wystawia faktur – to był punkt wyjścia".

Zarząd MSM „Zrzeszeni" postawił na rozwiązania OZE: kolektory słoneczne i magazyny ciepła – zbiorniki wody użytkowej oraz panele fotowoltaiczne z magazynami energii do zasilania pomp ciepła.

Od pilotażu do ponad 30 instalacji: Skalowanie sukcesu

MSM „Zrzeszeni" zarządza 83 budynkami, w których znajduje ponad 2600 mieszkań. Tak duży projekt musiał zostać rozłożony na etapy.

Pilotaż objął początkowo cztery instalacje. Kolektory słoneczne pojawiły się na dachach, a w węzłach cieplnych zamontowano magazyny ciepła – zbiorniki c.w.u. Mieszkańcy praktycznie nie odczuli niedogodności związanych z pracami, a Zarząd szybko zyskał pewność, że system działa zgodnie z założeniami. W projektach zastosowano nowatorskie rozwiązania, zgodnie z wytycznymi i koncepcją Zarządu Spółdzielni.

Obecnie MSM „Zrzeszeni" posiada 33 instalacje kolektorów słonecznych i 1 wykorzystującą do podgrzewu c.w.u. pompę ciepła wraz z panelami fotowoltaicznymi i magazynami energii (zrealizowane, bądź na etapie odbiorów).

Instalacje działają zarówno na nowszych budynkach, jak i tych najstarszych w zasobach Spółdzielni. Uzyskane efekty są w każdym przypadku równie zadowalające. W roku 2026 planowane jest wykonanie 20 kolejnych instalacji (8 opartych na kolektorach słonecznych, 12 opartych na pompach ciepła i panelach fotowoltaicznych).

Cały program, obejmujący docelowo wszystkie budynki, to inwestycja liczona w milionach złotych.

Finansowanie – klucz do akceptacji mieszkańców

Najczęściej zadawane pytanie brzmiało: Kto za to zapłaci? Odpowiedź Zarządu uspokoiła mieszkańców: model 50/50. Połowę kosztów pokryły granty OZE, czyli program TERMO finansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach KPO. Druga połowa to środki z funduszu remontowego. Co najważniejsze z tego tytułu mieszkańcy nie wnosili żadnych dodatkowych opłat.

Co więcej, wyliczenia pokazały, że kolektory słoneczne i magazyny ciepła dają nawet trzykrotnie większe oszczędności przy tych samych nakładach niż same tradycyjne docieplenie budynków. To rozwiało wszelkie wątpliwości.

W słoneczne dni instalacje kolektorów słonecznych zapewniają 100% ciepłej wody w budynku. To najlepsza odpowiedź na pytanie: czy było warto?.

Kolejnym rozwiązaniem współpracującym z odnawialnymi źródłami energii i akceptowanym przez mieszkańców jest wprowadzenie tzw. harmonogramu podgrzewu ciepłej wody użytkowej. W budynkach Spółdzielni maksymalny podgrzew wody jest realizowany wtedy, kiedy mieszkańcy tego potrzebują i następuje wzmożony pobór c.w.u. Harmonogramy dzienne i tygodniowe ustalane są indywidualnie dla poszczególnych budynków.

W zakresie ogrzewania Zarząd MSM „Zrzeszeni" monitoruje pracę węzłów cieplnych, a na części budynków zainstalowano system inteligentnego zarządzania, tzn. LEANHEAD BUILDING. Algorytm sterujący pracą węzłów reaguje z wyprzedzeniem na zmieniające się warunki atmosferyczne, wykorzystując krótkoterminowe (niezwykle dokładne) prognozy pogody i odpowiedź wnętrza budynków, odczytując pomiary temperatury i wilgotności z czujników zamontowanych w mieszkaniach. Pozwoliło to w znaczący sposób zmniejszyć moc zamówioną i uzyskać kolejne oszczędności.

Już po roku funkcjonowania skojarzonych rozwiązań i projektów, dane były jednoznaczne:

Spadek zużycia energii cieplnej z sieci miejskiej (liczony rok do roku, 2023 do 2024) to ponad 4.000 GJ, oszczędności w skali Spółdzielni to kilkaset tysięcy złotych, obniżenie ceny podgrzewu wody o około 40%, zmniejszenie opłat dla gospodarstw domowych w skali roku (średnio na 4-osobową rodzinę) to 700-1.200 zł.

Aktualnie MSM „Zrzeszeni" jest w trakcie realizacji nowej inwestycji przy ul. Kapeluszników 12 w Bydgoszczy. Ruszyła budowa budynków (A i B) w których zlokalizowanych będzie 36 mieszkań, 26 miejsc parkingowych w garażu wielostanowiskowym i 18 komórek lokatorskich. W projekcie budynku zastosowano rozwiązania zmierzające do ograniczenia kosztów utrzymania, głównie kosztów ogrzewania i podgrzewu ciepłej wody użytkowej. Zastosowano zwiększone ocieplenie, trzyszybowe okna z ciepłym montażem oraz niskoparametrowe ogrzewanie podłogowe w całym budynku. Indywidualny system sterowania ciepłem poprzez regulatory pokojowe umożliwi mieszkańcom sterowanie ogrzewaniem niezależnie w każdym pomieszczeniu. Możliwe będzie ustawianie harmonogramów godzinowych i dziennych. Budynki będą wyposażone w panele fotowoltaiczne i magazyny energii elektrycznej, a źródłem pozyskiwania energii cieplnej będą trzy pompy ciepła pracujące w układzie kaskadowym – jedna z priorytetem ciepłej wody użytkowej. Zamontowane zostaną też bufory – magazyny ciepła o dużej pojemności. Wszystko po to, aby maksymalnie ograniczyć koszty pozyskiwania energii cieplnej. Ma być TANIO! Zarówno podczas eksploatacji mieszkań, jak i podczas ich zakupu. MSM „Zrzeszeni" oferuje prawdopodobnie najniższą cenę nowych mieszkań w tym standardzie w Bydgoszczy. Cena mieszkania to 8.370 zł/m².

eprasa.pl ab42b3e2ca

Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ
OPOWIEŚĆ O KACIE Z DEDYKACJĄ DLA BYDGOSZCZY

Wczoraj w księgarniach pojawiła się książka z nietypową dedykacją. Książki zazwyczaj dedykuje się bliskim - rodzicom, partnerom, dzieciom czy mentorom. Autor tej publikacji wybrał inaczej. Na stronie z dedykacją pojawia się tylko jedno słowo: „Bydgoszczy". Byłoby to bardziej zrozumiałe, gdyby autor mieszkał w tym mieście. Ale nie mieszka. W ostatnim rozdziale wyjaśnia jedynie, że w Bydgoszczy mieszka jego dalsza rodzina i wśród ofiar kata jest należący do jego familii ksiądz Antoni Kozłowski z parafii w Zabartowie koło Więcborka.

Dedykacja staje się zrozumiała dopiero wtedy, gdy zorientujemy się, komu poświęcony jest tom o mocnym tytule: „Polakożerca". Filip Gańczak, były reporter „Newsweeka", obecnie pracownik naukowy Instytutu Pamięci Narodowej, specjalizuje się w tematyce stosunków polsko-niemieckich. Jako naukowiec zachował jednakże nerw reporterski. Był on mocno odczuwalny w debiutanckiej książce z 2008 r., biografii liderki Związku Wypędzonych w Niemczech - Eriki Steinbach. Czuć go też w „Polakożercy", którego bohaterem jest generał-porucznik SS, a wcześniej dowódca Selbschutzu Westpreussen, czyli niemieckiej formacji „samoobrony" w Prusach Zachodnich - Ludolf von Alvensleben.

FOT. JAROSŁAW RESZKA

Willa przy ul. Wyspiańskiego 10, której parter w 1939 roku zajął Ludolf von Alvensleben

Na jednym z archiwalnych zdjęć dołączonych do książki widzimy wysokiego mężczyznę w mundurze, który stoi obok wartownika przed wejściem do eleganckiej willi. To zdjęcie z wczesnej jesieni 1939 roku, zrobione na bydgoskiej Sielance. W tym miejscu, na parterze willi przy ulicy Wyspiańskiego 10 siłą uwił sobie gniazdko oprawca, odpowiedzialny za śmierć przynajmniej kilkunastu tysięcy Polaków na Kujawach, Pomorzu Gdańskim i Nadwiślańskim. Zwykł on przeglądać listy zatrzymanych Polaków i wstawiać krzyżyki lub swoje inicjały przy nazwiskach osób, które jego zdaniem należało uśmiercić. A i mieszkańcem Sielanki był szczególnym. Jego sąsiad z piętra willi, polski młynarz, zeznał po wojnie, że „Alvensleben często zaczepiał przechodniów, pytając, kim są i czego szukają. Jeśli przekonał się, że miał do czynienia z Polakami - bił ich w twarz".

„Bubi", jak w rodzinie nazywano hitlerowskiego prominenta, karierę zawdzięczał przyjaźni z naczelnym dowódcą SS, Heinrichem Himmlerem, któremu był bezwzględnie oddany i wierny do końca. Bez wsparcia Reichsführera „Bubi" zapewne pozostałby niezaradnym, tonącym w długach dziedzicem dóbr wokół zamku Schochwitz, leżącego o kwadrans drogi autobusem od centrum saksońskiego miasta Halle. Dobra te nabył jego pradziadek, pruski generał w okresie wojen napoleońskich. Generałami byli też dziadek i ojciec „Bubiego".

W czasie pisania „Polakożercy" reporterska żyłka Filipa Gańczaka każe mu penetrować nie tylko biblioteki i archiwa. Odwiedza zamek Schochwitz i rozmawia z jego współczesnymi właścicielami. Podróżuje też do Włoch, gdzie uciekający przed powojenną sprawiedliwością „Bubi" spędza ostatnie chwile w Europie przed podróżą transatlantykiem do Ameryki Południowej. Autor pojawia się wreszcie w prowincji Córdoba w Argentynie, gdzie osiedlił się zbrodniarz i na wolności dokonał żywota w wieku 69 lat, pokonany nie przez prokuratorów, lecz raka płuc. Na jednym ze zdjęć generała z ostatnich lat jego życia widzimy, jak zmaga się z dużą rybą podczas wędkowania...

Filip Gańczak łączy nerw fotoreportera z rzetelnością naukowca. Dzięki skrupulatnej kwerendzie archiwów, przeprowadzanej w kilku krajach, autor rejestruje zbrodnie „Bubiego" nie tylko w Bydgoszczy i okolicach (m.in. Fordon, Karolewo, Inowrocław czy Rudzki Most pod Tucholą), lecz także udział w eksterminacji ludności Ukrainy, dokąd generał został skierowany po agresji III Rzeszy na Związek Sowiecki. Jeszcze bardziej zajmujące w tej książce okazują się dociekania, w jaki sposób udało się zbrodniarzowi uniknąć procesu zaraz po wojnie, a potem ekstradycji z Argentyny. Filip Gańczak dowodzi, że mała w tym zasługa samego „Bubiego", który do śmierci pozostał człowiekiem mało zaradnym, a większa tych, którzy tylko pozornie usiłowali go postawić przed Temidą.

„Polakożerca" to lektura obowiązkowa dla lokalnych patriotów w Bydgoszczy. ©℗

Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

SZÓSTA ROCZNICA BREXITU

Jutro, 31 stycznia 2026, minie szósta rocznica wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. To wydarzenie polityczne nastąpiło mimo licznych przesłanek, które wskazywały, że do niego nie dojdzie. Ja sam w felietonie opublikowanym w „Gazecie Krakowskiej" w dniu 22.06.2016 (w przeddzień decydującego referendum!) relacjonowałem wyniki analiz prowadzonych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, aby przewidzieć wynik głosowania. Wniosek uzyskany za pomocą programu UNU metodą „hive mind" („rozum ula") wskazywał niedwuznacznie: ludzie Brexit odrzucą. Opisałem to dokładnie w felietonie „Czy sztuczna inteligencja odgadła Brexit?" (jest w internecie).

Okazało się, że nie odgadła.

23.06.2016 w referendum, które ogłosił premier David Cameron (zresztą gorliwy przeciwnik Brexitu) prawie 52% głosujących wypowiedziało się za wystąpieniem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej.

Jak do tego doszło?

Głównym „rozgrywającym" był Dominic Cummings. Wypuścił on na ulice Londynu czerwony autobus z napisem, że po wyjściu z Unii co tydzień brytyjski fundusz zdrowia otrzyma 350 mln funtów. Było to nieprawdziwe, ale skuteczne!

Rzymianie w rozważaniach prawnych mieli skuteczną dewizę: cui bono, qui prodest (czyja korzyść, tego sprawka). Zatem popatrzmy, kto na Brexicie skorzystał.

Brytyjczycy nie. Oczywiście tych 350 mln funtów tygodniowo na rozwój lecznictwa nie dostali, a na utracie różnych korzystnych kontraktów z krajami Unii Europejskiej zdecydowanie stracili. Unia Europejska też została osłabiona, co z pewnością nie było korzystne.

A więc kto?

Przy kampanii przekonywania Brytyjczyków do Brexitu wykorzystano dane na temat ich przekonań i preferencji dostarczone przez firmę Cambridge Analytica. A skąd ta firma miała owe dane? Otóż dostarczył je Aleksander Kogan, Rosjanin pracujący w Cambridge, który zdobył je sprytnymi sztuczkami na Facebooku. Miał dane 50 milionów ludzi!

Dane te wykorzystano w ten sposób, że do użytkowników Facebooka wysyłano wiadomości dostosowane do ich wykrytych (przez Kogana) fobii i preferencji. Na przykład człowiek, który obawiał się imigrantów, dostawał wiadomości, że Unia zamierza pozbyć się napływających masowo muzułmanów, ułatwiając im wjazd do Wielkiej Brytanii. Osoby troszczące się o zdrowie dostawały fotografie czerwonego autobusu z wiadomym napisem. Wykorzystywano wiedzę o sympatiach między użytkownikami oraz o ich zaufaniu do osób publicznych (na przykład polityków czy aktorów), powołując się na ich rzekome opinie. Cummings wydał na tę akcję w sumie 3,9 mln funtów, czyli większość funduszy, jakie miał do dyspozycji (7 mln funtów). Resztę wydał na usługi firmy AggregateIQ pracującej na rzecz Cambridge Analytica.

Firmie Cambridge Analytica wytoczono proces, w trakcie którego okazało się, że z jej szefami komunikowali się przedstawiciele rosyjskiego koncernu naftowego Łukoil. Czy to miało jakieś znaczenie? Z całą pewnością odpowiedzieć nie można. Ale o prawdopodobieństwie można dyskutować.

Jeszcze jeden fakt. Firma Cambridge Analytica podlegała spółce SCL, w której władzach zasiadał między innymi generał Michael Flynn. Był on szefem wywiadu USA w Iraku i Afganistanie, a potem doradcą Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ale tym doradcą był tylko niecały miesiąc, bo kontrwywiad USA szybko ujawnił jego liczne kontakty z rosyjskim ambasadorem w Waszyngtonie. Same kontakty pewnie by jeszcze nie spowodowały tej drastycznej dymisji, ale Flynn sam się pogrążył, składając na temat tych kontaktów kłamliwe zeznania. W USA krzywoprzysięstwo jest karane szczególnie drastycznie, więc dostojny doradca z dnia na dzień stał się nikim.

O sprawy Brexitu go nie pytano. Zresztą pewnie też by skłamał...

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

W Bydgoszczy na Starym Rynku podczas 34. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W całym mieście w zbiórkę zaangażowanych było blisko 700 wolontariuszy

eprasa.pl ab42b3e2ca

PULS
#201

Na psa los...

BT

eprasa.pl ab42b3e2ca

Express Bydgoski
Piątek, 30.01.2026

HORROR W SCHRONISKACH? A MOŻE SMUTNA RZECZYWISTOŚĆ?

Schroniska dla zwierząt to miejsca, w którym jedni zostawiają serce i czas, dbają, doglądają i przytulają. Dla innych to sposób na zarabianie pieniędzy. Umożliwia im to system, który preferuje oszczędzanie, a nie zapewnienie zwierzętom godnego życia. Dziś pokazujemy ten problem ogólnie, w całej Polsce, a za tydzień w reportażu przyjrzymy się wnikliwie i na chłodno temu, co działo się w schronisku w naszym regionie - w Ostrowitem, w gminie Golub-Dobrzyń

Dorota Kowalska

Najpierw był Bytom, potem Sobolewo, teraz Ostrowite (gmina Golub-Dobrzyń). Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Bytomiu sprawuje opiekę nad stu pięćdziesięcioma psami i setką kotów. Jest prywatne, wcześniej przez lata działało jako placówka publiczna.

Kilka dni temu pod schroniskiem pojawiła się Dorota Rabczewska, wcześniej do Bytomia zjechała celebrytka Laluna, znana chociażby z programu „Królowe życia". Wtedy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wolontariusze chcieli wtargnąć do placówki siłą i zabrać zwierzęta. Wezwano policję.

Doda też podgrzewała atmosferę. - Moi fani to również mieszkańcy Bytomia. Zawsze pomagam swoim fanom, bo oni też mi pomagają. Zwierzęta są dla mnie numer jeden. Pani Ania, która jest kierowniczką, nie ma ani pół emocji na twarzy - mówiła.

Dalej było o tym, że mieszkańcy miasta muszą zareagować, że taka osoba nie może prowadzić schroniska. - To powinno być miejsce, w którym zwierzęta nie wegetują, nie cierpią, nie są narzędziem do interesów, tylko gdzie mogą znaleźć ukojenie i adopcję. A ja wysyłam ciuchy tydzień temu, a ona ich jeszcze nie ubrała. Teraz na szybko je ubiera - tłumaczyła Rabczewska.

Wcześniej spotkała się z prezydentem Mariuszem Wołoszem oraz wspomnianą już wcześniej kierowniczką schroniska. Wołosz zapewnił, że umowa z operatorem została rozwiązana 15 stycznia, że teraz najważniejsze jest to, aby zaopiekować się zwierzętami.

W międzyczasie Doda pokazywała na zdjęciach psiaki: zaniedbane, chude, pokaleczone. Miały pochodzić z bytomskiego schroniska.

- Proszę się zrzec stanowiska. Jesteś okropna, w piekle spłoniesz. Mi się chce płakać - mówiła piosenkarka w kierunku kierowniczki schroniska.

Ta zdecydowanie odpierała zarzuty. Podkreślała, że takich psów nigdy u niej nie było.

- Mam na wszystko dokumenty. Spotkamy się w sądzie - rzuciła w stronę Dody.

I dodała, że od kontroli i wydawania ocen są odpowiednie instytucje.

Ale według raportu, który przygotowało dwoje bytomskich radnych - Beata Adamczyk-Nowak z Koalicji Obywatelskiej i Maciej Bartków z Prawa i Sprawiedliwości - w bytomskim schronisku dochodziło do nieprawidłowości.

- Pojawiły się informacje o eutanazji zwierząt w celach zarobkowych, przemocy i zaniedbaniach w opiece. Zwierzęta trzymane były we własnych odchodach - twierdzi Maciej Bartków.

Z notatki, którą pod koniec grudnia podczas wizyty w schronisku sporządzili pracownicy Wydziału Inżynierii Środowiska Urzędu Miejskiego w Bytomiu, wynika, że zaobserwowali przypadki biegunki u psów w wielu kojcach, skrajnie niezadowalający stan sanitarny kwarantanny, rażący brak czystości w szczeniakarni, widoczne urazy u zwierząt.

Ale Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach poinformował, że przeprowadzane w ostatnich latach kontrole wykazywały jedynie uchybienia infrastrukturalne.

„Warunki bytowania zwierząt są zgodne z obowiązującym prawem. To nie ulega żadnej wątpliwości. Niezgodne z naszymi ustaleniami są stwierdzenia, które pojawiają się w mediach społecznościowych, że była to mordownia, że dochodziło do znęcania się nad zwierzętami, że psy stamtąd znikają itd. Liczne kontrole nigdy tego nie wykazały" - podkreślił Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach.

Właściciel z zarzutami

Kilka dni później przyszedł czas na Sobolewo. W sobotę, 26 stycznia, o zamknięciu Schroniska dla Zwierząt „Happy Dog" poinformowali premier Donald Tusk i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Powód? Nieusunięcie uchybień przez właściciela placówki. W azylu przebywało wówczas około sto osiemdziesiąt psów i kilka kotów.

Grunt, na którym znajduje się schronisko, należy do gminy. Dzierżawca, czyli prowadzący placówkę Marian D., został jakiś czas temu oskarżony o znęcanie się nad zwierzętami. Proces trwa wiele lat i wciąż się nie zakończył. Mężczyźnie zarzuca się m.in. stosowanie przemocy wobec zwierząt, trzymanie ich w za ciasnych kojcach oraz niedokarmianie.

FOT. MAŁGORZATA GENCA

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt

Mieszkańcy i aktywiści od dawna apelowali do wójta Sobolewa Macieja Błachnio o rozwiązanie umowy z Marianem D. Bezskutecznie.

W sobotę sforsowali płot i zaczęli spontanicznie zabierać psy. Część z nich trafiła do prywatnych domów. W sieci pojawiły się pytania, dlaczego zwierzęta były wydawane bez żadnych procedur. Niektórzy obawiali się, że trafiły w ręce osób, które nie będą umiały poradzić sobie z czworonogami.

I tu do akcji wkroczył poseł Łukasz Litewka, od początku zaangażowany w to, co działo się wokół schroniska w Sobolewie.

„Nikt nie był w stanie zapanować nad tłumem, ale to tłum ludzi, którzy kochają zwierzęta. One przeszły piekło, nigdzie nie będzie im gorzej. Weszliśmy do obozu i zobaczyliśmy maszynkę do mielenia mięsa, pałki do bicia zwierząt, na których była krew. Guzy, rany, ropy. Ludzie wchodzili do klatek, przytulali psy, błagali o smycz - wynosili je, bo nie wyobrażali sobie, by te zwierzęta zostały tam jeszcze nawet jedną noc" - napisał na platformie X. „Nie wińcie ich, wińcie tych, którzy przez lata nie otworzyli drzwi schroniska. Bo to miejsce nigdy schroniskiem nie było, było mordownią" - dodał, publikując przy okazji zdjęcie jednej z kobiet, która błagała go o smycz, by móc wyprowadzić z klatki przerażonego psa.

Jak poinformował potem wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski, sto czterdzieści sześć psów, które zostały, przekazano do schroniska w Wojtyszkach prowadzonego przez Instytut Ochrony Zwierząt.

A miejsc, które budzą wątpliwości, przybywa. Bo podobne sceny miały miejsce w ostatni weekend w prywatnym schronisku Zielone Pole w Ostrowitem (gmina Golub-Dobrzyń). W wyniku kontroli zleconych przez MSWiA stwierdzono tu uchybienia. Obiekt znalazł się pod szczególnym nadzorem wojewody, na miejsce przyjechali wolontariusze oraz celebryci, w tym Doda.

Przygotowujemy reportaż o tym, co się działo w schronisku Zielone Pole, który opublikujemy w kolejnym wydaniu Pulsu, 6 lutego.

Po kontrolach schronisk na reakcję polityków nie trzeba było długo czekać. Tym bardziej że wszystko dzieje się w środku zimy, wyjątkowo mroźnej i śnieżnej. I tak, kilka dni po medialnym szumie wokół zwierzaków, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zwróciło się do wojewodów o przekazanie informacji na temat liczby schronisk w ich regionach.

Podsekretarz stanu w MSWiA Wiesław Leśniakiewicz zaapelował też o zwrócenie uwagi podczas kontaktu z właścicielami schronisk na potrzebę odpowiedniego zabezpieczenia zwierząt.

Trochę faktów

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt. W 2022 roku przebywało w nich ponad 84 tysiące psów i 34 tys. kotów.

W Aleksandrowie Łódzkim radzą sobie ze zwierzakami świetnie: każdy psiak w ich gminie musi zostać zaczipowany, to obowiązek. Bo bez identyfikacji nie ma odpowiedzialności. Dopóki pies jest niczyj, można go porzucić bez żadnych konsekwencji. Od lat bezpłatnie sterylizują i kastrują zwierzęta. Rozmawiają z ludźmi, tłumaczą, dlaczego to się opłaca.

- Rocznie korzysta z tej możliwości wielu właścicieli psów i kotów, w każdym razie około sześciuset zwierząt w ciągu roku jest sterylizowanych i kastrowanych. Jak na gminę z 35 tysiącami mieszkańców to całkiem dobry wynik - mówi Katarzyna Rezler, działaczka prozwierzęca, pełnomocnik burmistrza Aleksandrowa Łódzkiego ds. zwierząt i realizacji programu przeciwdziałania bezdomności. A tak na marginesie, mają bardzo mało bezdomnych zwierząt w swojej gminie.

Tak, oczywiście słyszała o schroniskach w Bytomiu i Sobolewie. Jak takim sytuacjom przeciwdziałać?

- Przede wszystkim trzeba określić minimalną stawkę dzienną, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota. To mo-

eprasa.pl ab42b3e2ca

głoby być na przykład 12 złotych plus koszty weterynaryjne, które oczywiście pokrywa gmina jako właściciel zwierzęcia. Zwierzę powinno być czipowane przy przyjęciu do schroniska, a jego wizerunek publikowany. Każde schronisko powinno prowadzić rejestr zwierząt, które do niego trafiły w ciągu na przykład ostatniego miesiąca. Wtedy właścicielom łatwiej byłoby znaleźć swojego psa, co dzisiaj wcale nie jest takie proste - tłumaczy Katarzyna Rezler.

Bo problem jest systemowy. Bytom czy Sobolowo nie są wyjątkami - zwierzaki cierpią także w innych schroniskach. Chodzi oczywiście o pieniądze.

- Gmina ma ustawowy obowiązek opieki nad bezdomnymi zwierzętami, ale bardzo często ogranicza swoją rolę do zlecenia tego zadania w drodze przetargu. W praktyce wygrywa najtańsza oferta, a kryterium ceny dominuje nad jakością opieki, zapleczem weterynaryjnym czy doświadczeniem kadry - wyjaśnia Katarzyna Rezler.

Wiadomo - system premiuje oszczędzanie, a nie dobro zwierząt. I nie jest to często winną konkretnych ludzi, ale obowiązującego modelu. Gmina znajduje schronisko, które oferuje najlepszą dla niej ofertę, czyli najtańszą.

- Widzimy stawki rzędu 8, 10 czy 15 zł dziennie za psa, często z deklaracją, że obejmują również opiekę weterynaryjną. To są stawki całkowicie nierynkowe. Za takie pieniądze nie da się zapewnić diagnostyki, leczenia, dobrej karmy, ogrzewania czy pracy ludzi. Leczenie bywa wtedy symboliczne albo odkładane w czasie - opowiada Katarzyna Rezler.

Ale bywa jeszcze gorzej. Zdarza się, że gmina płaci jednorazowo 1200, 2000 czy 2500 zł za konkretnego zwierzaka. W tej kwocie ma się zmieścić dożywotnia opieka nad zwierzęciem: wyżywienie, leczenie, praca opiekunów, utrzymanie infrastruktury. Ci, którzy mają zwierzęta, doskonale wiedzą, że to niewykonalne, nie da się za takie pieniądze utrzymać zwierzaka. Więc dobrze, gdy zwierzę żyje krótko albo najzwyczajniej w świecie znika.

Kontrole schronisk problemu nie rozwiązują.

- Bardzo często są zapowiadane i koncentrują się na infrastrukturze i dokumentach. Sprawdza się ogrodzenia, metraż boksów, zgodność papierów, a nie to, czy pies jest faktycznie leczony, czy eutanazja była zasadna, czy dokumentacja medyczna nie jest fikcją. Papier przyjmie wszystko, zwierzę głosu nie ma - tłumaczy Katarzyna Redzler.

I dodaje, że kiedy w schroniskach dzieje się źle, odpowiedzialność za nieprawidłowości powinny ponosić schronisko i gmina. Schronisko jest niejako wykonawcą zlecenia, ale gmina opiekunem prawnym zwierzęcia. Jeżeli wie, a powinna wiedzieć, że w schronisku dzieje się źle i nic z tym nie robi, ponosi współodpowiedzialność za taki stan rzeczy.

FOT PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Pikieta przed schroniskiem w Sobolewie. To jeden z przypadków, gdy piekło zwierząt nagłośniła Doda

Psów i kotów jest za dużo

Niby coraz bardziej rozumiemy zwierzęta. Większość Polaków wierzy, że te odczuwają ból tak jak ludzie. Stajemy się też coraz bardziej wrażliwi na krzywdę wyrządzaną psom i coraz chętniej im pomagamy. Ponad 36 procent badanych, którzy wzięli udział w ankiecie „Jak Polacy traktują zwierzęta?", przeprowadzonej w 2019 roku, zadeklarowało, że gdy widzi psa przywiązanego do łańcucha, próbuje rozmawiać z jego właścicielem. Niemal tyle samo osób - blisko 35 procent -powiadamia lokalną organizację pomocową o błąkającym się po ulicy czworonogu. Aż 87 procent ankietowanych na pytanie „Czy pomagasz zwierzętom?" odpowiedziało twierdząco, a 10 procent zadeklarowało, że jest wolontariuszem w schronisku dla zwierząt.

To deklaracje. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie. Rzeczywistość jest jednak zupełnie inna.

- Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Gdyby zwierzęta mówiły, byłoby o tyle dobrze, że usłyszelibyśmy prawdę, bo my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są - mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt.

I pyta, dlaczego walczymy o zdjęcie łańcuchów z psich szyi. Te psy mają przecież opiekunów. Czy powinny z nimi być? A psy w boksach metr na metr na końcu działki, na której stoi pałac - czy powinny tam być? Nie. Mamy dużą prowincję, na której psy traktowane są beznadziejnie - tak mówi. Chociaż zdarzają się przypadki w miastach, kiedy pies jest zamykany na balkonie. Żyjemy w naszych bańkach. Nasi znajomi mają psy, kochają je, my kochamy swoje i wydaje nam się, że cały świat taki jest. Nie jest.

- Uważam, że trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinno ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, nie łańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierząt było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa - uważa Dorota Sumińska.

Schronisk wciąż przybywa, bezdomność wśród zwierząt rośnie. Mamy coraz więcej psów i kotów, których nikt nie chce.

- Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie przez obligatoryjną kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej - ocenia Sumińska.

I tłumaczy, że Fundacja Karuna stworzyła program „Kastrujemy bezdomność". Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzać obowiązkowo. Dlaczego?

- Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt - im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała rzesza instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze - odpowiada.

Więc obowiązkowa kastracja i sterylizacja, czipowanie zwierząt, minimalna stawka dzienna, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota, publikowanie wizerunków zwierzaków, które trafiają do schronisk, wreszcie rzetelne kontrole tych placówek - to pierwszy krok do tego, aby porzuconym zwierzakom żyło się choć trochę lepiej.

Najważniejszy jest człowiek

Schronisko w Korabiewicach, gmina Puszcza Mariańska, godzinę drogi od Warszawy. Zwierząt mają tu teraz około trzysta pięćdziesiąt, w tym około sto dziewięćdziesiąt piesków, trzydzieści trzy koty. Mają dwadzieścia sześć koni, prawie trzydzieści kóz, krowy, świnie, drób. Schronisko należy do Fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva. - Fundacja Viva przejęła je w 2012 r. Wcześniej schronisko było w opłakanym stanie, działy się tu potworne rzeczy: znęcano się nad zwierzętami, nie karmiono ich, nie wydawano do adopcji, nie było żadnej opieki weterynaryjnej. Zwierzęta przechodziły gehennę. Nam udało się to schronisko wykupić i od 2012 roku prowadzimy je najlepiej jak potrafimy - mówi Karolina Wiewiórkowska, kierowniczka placówki.

Podpisali umowy z kilkoma gminami. Ale pieniądze, które dostają od gmin, mają pokrywać wyłącznie koszty odłowienia i przetrzymywania zwierzęcia w schronisku. To nie są duże kwoty. Tak naprawdę często dokładają do utrzymania, a przede wszystkim do opieki weterynaryjnej, więc nawet tu, jak tłumaczy, nie wychodzą na zero.

- Pomagają nam przede wszystkim darczyńcy, którzy są z nami od wielu, wielu lat. Chętnie reagują na nasze apele, wspierają w kryzysowych sytuacjach, ale też w codziennym utrzymaniu schroniska - opowiada Wiewiórkowska.

Sami też nie siedzą z założonymi rękami. Organizują dni otwarte, przeróżne imprezy i tak najbliższa odbędzie się 8 lutego - 14. urodziny schroniska, 9 kwietnia - trzecia edycja gry terenowej (to trochę taki bieg przełajowy z miejscami, w których odpowiada się na pytania, wykonuje wyznaczone zadania). Wygrywa ta ekipa, która zdobędzie najwięcej punktów. Fajna rodzinna zabawa. Można przyjechać na cały dzień i się nie nudzić. 7 czerwca będzie Dzień Dziecka - stawiają wtedy na najmłodszych, przygotowują dla nich mnóstwo atrakcji.

- Potem we wrześniu mamy „Jesień życia w schronisku". Wtedy skupiamy się na starszych pieskach, pokazujemy je gościom, a 18 października czwartą edycję „Biegu po karmę". To ogromna impreza, bierze w niej udział coraz więcej biegaczy. I na koniec, w grudniu, robimy kiermasz świąteczny - można na nim zjeść bigos, kupić jakieś drobiazgi - tłumaczy.

Podczas każdej imprezy oprowadzają gości po schronisku, przedstawiają im zwierzęta, opowiadają o nich i o tym, jak funkcjonują.

- Jeżeli chociaż jedna osoba zakocha się w jakimś psiaku i będzie chciała wziąć go do domu, to dla nas wielka radość - mówi Wiewiórkowska. To się zresztą często zdarza, a przy okazji zbierają datki na schronisko, edukują, tłumaczą, jak dbać o zwierzęta, jak zapobiegać bezdomności. U nich każdy pies ma imię, każdego znają od pyska po ogon. Psy są porządnie przebadane, zaopiekowane.

- Najważniejsi jest zespół, bez niego nie ma dobrego schroniska - tłumaczy Karolina Wiewiórkowska. - Na umowach o pracę bądź na umowach zlecenie pracuje u nas ponad dwadzieścia osób. To fenomenalni, empatyczni, oddani zwierzakom ludzie, żadne przypadkowe osoby. Chcą tutaj być i wiedzą, po co tutaj są. Schronisko to smutne miejsce, prawda? Więc oni chcą nieść tym zwierzakom jak najlepszą opiekę, uczynić ich życie lepszym - dodaje.

Pomagają im wolontariusze: prawie dwieście osób. Przyjeżdżają bardzo regularnie: wyprowadzają psy, a przede wszystkim promują zwierzaki do adopcji. Wykonują kawał dobrej roboty, na którą oni, pracownicy, nie mają czasu. Wszyscy tworzą zgrany team, wszyscy kochają zwierzaki.

I tak na koniec

Szum wokół schronisk ma swoje dobre i złe strony. Zwraca uwagę na problem, ale i przeszkadza.

- Emocje są zrozumiałe, ale hejt, próby samosądu często szkodzą zwierzętom. Paraliżują adopcje, zamykają schroniska na wolontariuszy, tworzą chaos. Potrzebujemy kontroli obywatelskiej opartej na wiedzy i dokumentach - mówi Katarzyna Rezler.

Tak naprawdę najważniejszy jest człowiek. Na zmiany systemowe przyjdzie nam pewnie jeszcze poczekać, jeśli w ogóle do nich dojdzie. Więc, póki co, dobrze by było, aby zwierzętami w schroniskach zajmowali się tylko ci, którzy naprawdę tego chcą, rozumieją, że pies czy kot to żywa istota, która odczuwa ból, strach, smutek, potrafi się cieszyć, przywiązać, na swój psi czy koci sposób kochać. I jest całkowicie od nas zależna.

PAP

Współpraca: Ireneusz Stajer

eprasa.pl ab42b3e2ca

Przemoc w rękawiczkach. Karetka miała być ratunkiem, a stała się sceną tragedii Olka

Miał 19 lat i plany: matura, studia... Błagał ratowników: „Nie chcę do taty!" Usłyszał: „A gdzie jest tata?" Odpowiedział: „Nie żyje". Medycy byli niewzruszeni. Chwilę później... Olek był u taty

Aleksandra Pasis

Wołał o tlen, a dostał milczenie i gniew. To nie był film. Grudziądz pamięta, prawda ma twarz. Śmiech zamiast pomocy, słowa jak nóż" - to fragment tekstu piosenki Emasika, która powstała spontanicznie, w czasie marszu pamięci tragicznie zmarłego Olka, który odbył się tydzień temu. Ulicami Grudziądza przeszło kilkaset osób.

Parę dni później przechodzę w miejscu, gdzie doszło do feralnej interwencji: przy przystanku obok I LO. Robię zdjęcia mnóstwa zniczy, które płoną pod muralem poświęconym Olkowi. Słyszę, jak obok mnie pasażerowie czekający na autobus żywo dyskutują: - Panie, był pan na marszu? - kobieta pyta starszego mężczyznę. Senior odpowiada: - Nie byłem. Wzburzona grudziądzanka opowiada: - Ja byłam! To milczenie było głośniejsze niż krzyk. Czy pan sobie wyobraża, że ci lekarze, zamiast do tchawicy, intubowali Olka do przewodu pokarmowego?!

Za chwilę słyszę znajome dźwięki „The Sound of Silence". Kątem oka widzę, że inna pasażerka ogląda w telefonie wideorelację z marszu opublikowaną przeze mnie na portalu naszej gazety. Wybrałam do niej właśnie ten podkład muzyczny...

Widać, że mimo upływu czasu mieszkańcy Grudziądza pozostają poruszeni tą sprawą.

„To nigdy nie powinno się wydarzyć"

- Ta rana wciąż krwawi. To nigdy nie powinno się wydarzyć - powtarza zrozpaczona mama Olka, Małgorzata Shahbazyan.

Choć od śmierci Olka minęły dwa lata, to dopiero teraz cała Polska dowiedziała się o dramacie jej syna. - Nie miałam innego wyjścia - tłumaczy. - Czekam już dwa lata na sprawiedliwość. Winni śmierci mojego syna wciąż nie stanęli przed sądem, dlatego postanowiłam działać i zwróciłam się do mediów.

Nagrania z monitoringu karetki oraz z kamer nasobnych policjantów opublikowała telewizja TVN. To był zapis brutalnego potraktowania cierpiącego z bólu 19-latka, który potrzebował natychmiastowej pomocy po tym, jak uciekając policjantom, nadział się na metalowy pręt ogrodzenia boiska I LO przy ul. Sienkiewicza w Grudziądzu.

FOT. SCREEN/UWAGA TVN

Nagrania z karetki, w której Olek prosił o tlen, a dostał pogardę i był szarpany przez medyków obiegły całą Polskę

FOT. ALKESANDRA PASIS

W miejscu tragedii przyjaciele Olka wykonali mural. Po marszu pamięci zapłonęło tu mnóstwo zniczy

Policjanci próbowali pomagać rannemu chłopakowi, ale robili to dość chaotycznie. Jeden z nich krzyczał: „Krwawi w ...uj!" Wezwali karetkę. Patrol, który zatrzymał Olka, a powodem miało być popełnienie wykroczenia i wyrzucenie „czegoś" podczas ucieczki. Policjanci byli z Bydgoszczy, nie znali Grudziądza, więc o adres pytali przechodniów. Wreszcie, gdy ambulans dojechał (bez sygnałów, choć wezwanie było pilne), mundurowi, przekazując skutego w kajdankach Olka, stwierdzili, że „pajacuje".

Przysięgali okazywać pacjentom szacunek

To, co działo się w karetce, którą przyjechało dwóch ratowników i lekarz, trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć. To były sceny, jakich nikt nie mógł się spodziewać: znęcania, męczenia, poniżania.

„Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Mistrzów nadany mi tytuł lekarza i w pełni świadomy związanych z nim obowiązków przyrzekam: (...) służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu; według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich dobro i okazując im należny szacunek (...)".

To tekst przysięgi lekarskiej. Lekarze, którzy stanęli na drodze Olka, bez wątpienia nie wypełnili jej słów.

Na nagraniach zobaczyliśmy chłopaka wielokrotnie błagającego o tlen, mówiącego, że dusi się. Bez reakcji ratowników. Za to szarpano go za ucho, ubranie, szydzono. Jeden z medyków wytarł zakrwawione rękawiczki o ubranie 19-latka i z ironią w głosie stwierdził: „Pobrudziło się". Załoga karetki nie reagowała na poruszające do szpiku kości słowa Olka: „Nie chcę do taty". Jeden zapytał „A gdzie jest tata?". Usłyszał: „Nie żyje".

Tę gehennę młodego chłopaka mogli przerwać lekarze z SOR-u szpitala w Grudziądzu, którym został przekazany.

Nie pomogli.

Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu Olka było wykrwawienie. Wykazała też, że chłopak nie zażył żadnych zakazanych substancji.

Powołani przez prokuraturę biegli wydali druzgocące opinie, wytykające zaniedbania medyków. Aktem oskarżenia objęto trzech lekarzy. Redakcja „Gazety Pomorskiej" informowała o tym jako pierwsza już w sierpniu ubiegłego roku. O narażenie rannego Aleksandra na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu zostali oskarżeni:

- Sławomir B. jako lekarz zespołu ratownictwa medycznego odstąpił od zebrania prawidłowego wywiadu, w tym obejrzenia miejsca zdarzenia i obrażeń rannego, a także podczas transportu do szpitala odstąpił od niezbędnych czynności medycznych. Sławomir B. nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, złożył wyjaśnienia, które oceniono jako w większości sprzeczne ze zgromadzonym materiałem dowodowym.
- Maksim D., lekarz SOR-u, który odstąpił od samodzielnej oceny sytuacji rannego oraz od wykonania USG uda.
- Marek O., anestezjolog z SOR-u; dopuścił do nieprawidłowej intubacji rannego (zamiast do tchawicy intubowany chłopaka do przewodu pokarmowego).

Maksim D. i Marek O. nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień.

Z informacji uzyskanych z Prokuratury Okręgowej w Toruniu wynika, że dowodami przemawiającymi za sprawstwem oskarżonych były m.in. dokumentacja medyczna, zeznania świadków, opinie medyczne, zapisy korespondencji.

Medycy są oskarżeni z art. 160 paragrafy 2 i 3 Kodeksu karnego. Grozi im do pięciu lat pozbawienia wolności.

Agata Kurkowska, dyrektor szpitala w Grudziądzu, poproszona przez nas w sierpniu 2025 roku o zajęcie stanowiska wobec aktu oskarżenia trzech lekarzy odpowiedziała jednym zdaniem: „Szpital nie jest stroną postępowania i nie komentuje spraw dotyczących indywidualnych pracowników".

Proces miał się rozpocząć w listopadzie 2025 r. Nie zaczął się do dziś.

Gdy w styczniu tego roku cała Polska zobaczyła wstrząsające nagrania z karetki, dyrektor Kurkowska na drugi dzień współpracę z zespołem ratownictwa medycznego zakończyła. Takich konsekwencji nie wyciągnęła wobec anestezjologa i lekarza SOR-u.

W ludziach zawrzało

Pod adresem medyków wylała się fala krytyki, ale i hejtu. W sieci padały surowe oceny:

Ewa: „Widziałam nagranie z karetki. To zwykli zwyrole, a nie ratownicy".

Piotr: „Cały czas wierzę, że winni poniosą surową karę".

Madzia: „Tu zawinili ludzie, którzy mieli nieść pomoc. Bezduszność,obojętność w tych ratownikach".

Maria: „Bólu po stracie dziecka nic nie ukoi. STOP przemocy! Nie ma zbrodni bez kary! Nie ma zgody na takie traktowanie drugiego człowieka!"

Szpital zwołał konferencję prasową, na której nie pojawiła się dyrektor Kurkowska, a przyszedł prezydent Grudziądza Maciej Glamowski i kilku lekarzy. Wygłosili oświadczenia, których głównym przesłaniem było to, że... na medyków i szpital wylał się hejt. Prezydent Glamowski wyszedł z sali, unikając pytań dziennikarzy. Wyszli też lekarze.

Szpital i prezydent ratują wizerunek

Do dziś żadnych konsekwencji nie poniosła dyrektor szpitala Agata Kurkowska za to, że wciąż zatrudniała medyków, którzy dopuścili się tak karygodnych zachowań, a w przypadku lekarzy - popełnili krytyczne błędy, które wykazali biegli.

Prezydent Grudziądza, by ratować wizerunek, zlecił kontrolę w szpitalu. - Dalsze działania, także dotyczące ewentualnych kwestii personalnych, podjęte zostaną niezwłocznie po jej przeprowadzeniu - wyjaśnia Karol Piernicki, rzecznik prezydenta.

Kontrola ma objąć zakresem przestrzeganie obowiązujących procedur i przepisów prawa przy udzielaniu pomocy przez zespoły ratownicze. Wykonują ją dwie urzędniczki z ratusza.

W szpitalu powołano pełnomocnika ds. praw pacjentów. Została nim Magda Rohde, pielęgniarka. Będzie otrzymywała dodatek do wynagrodzenia.

Powstał też zespół do spraw etyki, którego szefem został dyrektor ds. lecznictwa. W jego skład wchodzi jeszcze osiem osób. Członkowie zespołu dodatkowego wynagrodzenia nie będą pobierać.

Pilną kontrolę w zakresie prowadzonej akcji ratunkowej Olka zarządził też wojewoda.

Prokuratura badała też zachowanie policjantów podczas interwencji. Umorzyła postępowanie. Zażalenie na tę decyzję latem ubiegłego roku złożyła mama Olka. 27 stycznia 2026 Sąd Rejonowy w Toruniu zdecydował, że właściwym do rozpoznania będzie Sąd Rejonowy w Grudziądzu.

W internecie trwa zbiórka na pomoc prawną dla rodziny Olka. Bliscy dążą do tego, aby nie tylko lekarz, ale też ratownicy z karetki usłyszeli zarzuty. Kilka dni temu zatrudnili adwokata.

- Najważniejsze w życiu to być dobrym, potrafić sobie podawać ręce, a nie noże. Myślę, że jak Olek patrzy na nas, to jest szczęśliwy, bo widzi, że sprawiedliwości staje się zadość - mówi Lidka, siostra Olka. ©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

JEDENASTOLATKI NA INSTAGRAMIE. AFERA W SZKOLE, RODZICE W KROPCE

W szkole w Toruniu - klasowa afera. Ktoś podszył się na Instagramie pod 11-letnią uczennicę i porozsyłał innym 11-latkom erotyczne fotki i treści o seksie. W akcji już są: wychowawczyni, pedagog i policja. A rodzice w szoku: - Jak to możliwe, skoro konta na Insta w tym wieku mieć nie można, a tak w ogóle to „moje dziecko ma w telefonie kontrolę rodzicielską?!"

Małgorzata Oberlan

FOT. 123RF

Jedenastolatki formalnie konta na Instagramie mieć nie powinny, ale nierzadko... mają. I więcej z tego wynika złego niż dobrego. „Kontrola rodzicielka" w smartfonie dziecka też sprawy nie rozwiązuje - dzieciaki potrafią to obejść/zdjęcie ilustracyjne

Ponieważ niektóre posty obrażały koleżanki, najpierw zrobiła się afera między dziewczynkami. Potem do akcji wkroczyli rodzice. Rzekoma sprawczyni tego zamieszania - 11-letnia Marysia - dziwnym trafem postuje z Instagrama nawet wtedy, gdy mama zabiera jej na długo telefon.

- Ewidentnie ktoś podszył się pod nią na tym Instagramie, zhakował jej konto. Mam nawet podejrzenia, która z koleżanek. Zrobiłam zrzuty, byłam 19 stycznia na komisariacie policji - relacjonuje pani Monika. Jej córka bardzo przeżyła ataki ze strony koleżanek i wszystko, co się później wydarzyło.

Matki w szoku. „Przecież jest kontrola w telefonie"

Szkoła zareagowała. Były spotkania z pedagogiem, psychologiem, zaangażowana jest doświadczona wychowawczyni. 19 stycznia odbyło się w szkole zebranie z matkami dziewczynek. Celem było wyjaśnienie sytuacji i próba dojścia do tego, co i kto te „seks-treści" z konta Marysi rozpowszechnił.

- Niektóre mamy były w szoku. Niektóre chyba nie wiedziały, że ich dziewczynki są takie aktywne w mediach społecznościowych. Mówiły, że mają „kontrolę rodzicielską" założoną, że ich dzieci „tam nie zaglądają" i tak dalej. O tym samym zapewniała mama tej dziewczynki, którą osobiście podejrzewam o rozsyłanie tych treści - opowiada pani Monika.

Ona swojej córce wierzy i wraz z mężem od początku całej afery starają się Marysię wspierać. Rozmawiają, tłumaczą, ograniczają do minimum korzystanie z netu i telefonu („żeby żyła normalnym trybem teraz"); zabezpieczyli krytyczne treści pod kątem ewentualnej pracy policji. Ewentualnej, bo najpierw wyglądało na to, że mundurowi do akcji nie wkroczą.

- 19 stycznia na komisariacie w Toruniu spotkałam się z policjantką, która takimi sprawami się właśnie zajmuje. Radziła, by dać czas jeszcze szkole na działanie, bo jak formalnie sprawa zostanie policji zgłoszona, to uruchomiona zostanie w przyszłości cała machina: sąd rodzinny, kurator, itd. Wtedy zatem zawiadomienia ostatecznie nie złożyłam. Ale teraz już wiem, że sprawę policji zgłosi sama szkoła - mówi pani Monika 27 stycznia. Dodając, że jej Marysia policji się nie obawia - nie zareagowała źle np. na oddanie telefonu do badania, co pewnie nastąpi.

Do szkoły pani Monika pretensji nie ma. Nie było zamiatania problemu pod dywan. Po spotkaniu z samymi rodzicami odbyło się kolejne - już z udziałem dziewczynek. Sprawy wyjaśnić dalej się nie udało, ale z pewnością zaangażowanie wychowawczyni, pedagoga i szkolnego psychologa uczuliło dzieciaki na wiele kwestii i - daj Boże - czegoś na przyszłość je nauczyło. Rodziców zresztą chyba też.

Kontrola rodzicielska nie działa? „Wszystko da się ominąć"

Jedno pani Monika przyznaje, bijąc się w piersi: podobnie jak inni rodzice do wybuchu tej afery nie do końca zdawała sobie sprawę, co jedenastolatki potrafią robić w sieci. Aby zmierzyć się z problemem, musiała „wgryźć się w tego Instagrama". W tajniki takie jak odczytywanie historii całej aktywności i omijanie różnych blokad wtajemniczyła ją siostrzenica, starsza nastolatka.

Formalnie konto na Instagramie mogą mieć „dopiero" trzynastolatki. Jak się jednak okazuje, tak samo jak przy kontach na innych platformowych społecznościowych, tak i tutaj dzieciaki potrafią tę granicę wieku ominąć. Potem natomiast wiele z nich też szybko uczy się omijać „kontrolę rodzicielską" czy inne rodzicielskie „blokady".

- Jak? Chyba nie ma sensu podawać wskazówek w artykule. Zresztą, dzieciaki potrafią je same znaleźć, jak się uprą. Gdzie? W internecie. Przecież tam jest wszystko - mówi Paweł, doświadczony pracownik działu IT w dużej korporacji. - Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę „jak zdjąć kontrolę rodzicielską", „jak ominąć weryfikację wieku" itp. Potem nastolatki szybko uczą się też radzić sobie z kontami zablokowanymi - niektóre zakładają po kilka nowych i korzystają. Dlaczego rodzice tego nie wiedzą? Cóż, przecież najczęściej jeśli sami mają problem cyfrowy, to o pomoc proszą własne dzieci, bo sami nie ogarniają.

Regulaminy mediów społecznościowych są jasne: wstęp od 13. roku życia. A jak wygląda rzeczywistość? Średni wiek debiutu to 11 lat, a niemal 20 procent dzieci zakłada konta jeszcze przed dziewiątymi urodzinami.

Raport Centralnego Ośrodka Informatyki (COI) pokazuje się, że w cyfrowym świecie nasze dzieci często są pozostawione same sobie. W 40 proc. polskich domów nie obowiązują żadne zasady dotyczące korzystania z internetu. I tylko jedna trzecia nastolatków przyznaje, że rodzice realnie monitorują to, co robią w sieci.

Choć większość platform (poza wersjami Kids) wymaga ukończenia 13 lat, aż 74 proc. dzieci zakłada tam konta wcześniej. Średnia to 11 lat, ale spora grupa (18 proc.) wchodzi w ten świat, nie mając nawet 9 lat (za: Radio Proste Rozmowy).

Z kolei jak wynika z raportu „Internet dzieci", współtworzonego m.in. przez Monikę Rosę we współpracy z Państwową Komisją do spraw Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich Poniżej Lat 15 (PKDP), Gemiusem, PBI i Uniwersytetem Warszawskim, z mediów społecznościowych korzysta 1,4 mln dzieci w wieku od 7 do 12 lat. Młodsze grupy wiekowe nie zostały objęte badaniem. (za: natemat.pl)

Jak zatem widać, historia ze szkoły w Toruniu nie jest żadnym wyjątkiem. Bo tam, gdzie jest dostęp dziecka do mediów społecznościowych, tam automatycznie pojawiają się problemy. Bywa, że jeszcze poważniejsze niż ten opisany i kończące się wielkimi dramatami.

Social Media w Polsce od 15 lat? Eksperci: będą trudności z wyegzekwowaniem

Do końca lutego br. klub Koalicji Obywatelskiej ma przedstawić projekt ustawy ograniczającej dostęp do mediów społecznościowych dla osób poniżej 15. roku życia.

Inicjatorami tego projektu poselskiego są były minister edukacji Roman Giertych, obecna szefowa resortu Barbara Nowacka i przewodnicząca sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży Monika Rosa. Projekt ma opierać na rozwiązaniach wdrożonych w Australii, gdzie ograniczenia wiekowe dla użytkowników mediów społecznościowych już obowiązują. Podobne inicjatywy zapowiedziały już m.in. władze Francji i Danii.

Tyle że, po pierwsze, nie wiadomo, czy nawet koalicjanci KO w przyszłości - gdyby doszło do głosowania - ten projekt by poparli. Od początku wątpliwości co do jego sensu zgłaszają choćby niektórzy posłowie Konfederacji. Po drugie zaś - nawet gdyby takie prawo w przyszłości obowiązywało (niezależnie od zastosowanych konkretnych w nim rozwiązań), to nad sensem jego dumają też eksperci.

Na przykład cytowana przez portal „Gazety Prawnej" Dominika Bucholc, rzeczniczka prasowa KidsAlert, ma wątpliwości czy zakaz rzeczywiście da się egzekwować. - Technicznie to bardzo trudne. Istnieją VPN-y, konta zakładane na rodziców, aplikacje-klony czy zamknięte grupy na Discordzie, Telegramie i WhatsAppie, które de facto pełnią funkcję mediów społecznościowych. Dlatego sedno sprawy nie leży w samym zakazie, lecz w modelu weryfikacji wieku - mówi dla portalu.

Bucholc wskazuje też na dwa główne kierunki, które można by zastosować decydując się jednak na nowe prawo. Każdy jednak wiąże się od razu z pewnym politycznym wyborem. Pierwszy to przerzucenie odpowiedzialności za weryfikację wieku na platformy. Tutaj pytanie jednak brzmi, czy to globalne koncerny winny gromadzić wiedzę o obywatelach i decydować, jak ją weryfikować. Drugi oddaje sprawę weryfikacji wieku w ręce państwa, np. za pomocą aplikacji mObywatel. Zdaniem ekspertki jednak takie rozwiązanie miałoby sens jedynie przy spójnym zastosowaniu go przez wszystkie państwa w UE.

* * *

U pani Moniki w domu w Toruniu - stan oczekiwania. Niby wszyscy starają się żyć normalnie, ale jednak rodzice chcieliby wiedzieć, co z kontem Marysi na Instagramie wydarzyło się naprawdę. Może wyjaśni to policja.

- Świat, w którym teraz dorastają nasze dzieci, to istne szaleństwo -podsumowuje torunianka. Przy okazji sprawy jej Marysi dowiedziała się w szkole, że należy uważać bardzo na rosyjskojęzyczne media społecznościowe: dzieje się tam podobno o wiele gorzej, niż w tych dostępnych polskim nastolatkom, dzieciaki już i tam weszły. W szkole znają problem, bo mają sporo uczniow z Ukrainy....

Pani Monika podejrzewa zatem jedno: ciag dalszy rozmaitych problemów „z tymi socialami" to pewnie dopiero nastąpi.

PS Imiona matki i córki zostały w tekście zmienione.

eprasa.pl ab42b3e2ca

Express Bydgoski
Piątek, 30.01.2026

Dino podbiło Polskę. Pracowników już niekoniecznie

„Dinusie" wylewają żale na robotę u najbogatszego Polaka, ale „gdzie my na prowincji znajdziemy inną?" Związkowcy idą na wojnę z tajemniczym miliarderem

Agnieszka Domka-Rybka

Nie ma wątpliwości, że otwierająca w ostatnich latach rekordową liczbę sklepów sieć Dino zalicza aktualnie wizerunkową klapę, z jaką nie miała do czynienia od początku istnienia, czyli od 1999 roku. Wtedy powstał pierwszy Supermarket Dino - w wielkopolskim Krotoszynie. Dziś pod tą marką działa ponad trzy tysiące sklepów w całym kraju. W 2017 roku spółka zadebiutowała na Giełdzie Papierów Wartościowych. Będzie otwierać swoje stacje paliw. A tu taki dym...

Suche dane pokazują imponującą skalę biznesu - tylko w 2025 roku otwarto 245 nowych sklepów. Oczywiście, do tego dochodzą centra dystrybucyjne, których jest 11.

Ani Biedronka, ani Lidl (najwięksi konkurenci Dino) nie rozwijają się dziś w takim tempie.

Sklepy pod szyldem Dino mają swoje lokalizacje przede wszystkim w mniejszych miejscowościach lub na obrzeżach miast, ale od 20 stycznia zakupy mogą w nich robić np. również mieszkańcy Warszawy.

Obecność Dino w Wilanowie nie podoba się. Mieszkańcy stali się nawet obiektem licznych żartów przez to, jak części z nich nie przypadł do gustu pomysł, by w tej warszawskiej dzielnicy powstał „wiejski sklep". Najgłośniejsze były skargi mieszkańców, że budynek wygląda jak „kurnik" i kojarzy się z prowincjonalną zabudową.

W sieci zawrzało.

„Za mało prestiżowy na Wilanów?"; „Sklepowy parking niegodny Maserati, Lamborghini, Ferrari, Bugatti, Porsche?"; „Boli, że to polski sklep? - żartowali internauci.

FFOT. RADOSŁAW DIMITROW

Jak powiedział nam jeden z pracowników Dino, najmniej atmosferą w sklepach tej sieci przejmują się klienci, na których brak sieć nie może narzekać. Kolejki są jak zawsze

Właściciel Dino. Ktoś go widział?

W regionie Kujaw i Pomorza jest kilkadziesiąt sklepów Dino. Spotkamy je np. zarówno w niewielkim Rojewie w powiecie inowrocławskim, jak i w Bydgoszczy czy turystycznym Tleniu w Borach Tucholskich - wciąż ich przybywa.

W 2026 roku mają otworzyć się kolejne w: Grudziądzu, Inowrocławiu, Solcu Kujawskim i aż dwa w Świeciu.

Kto stoi za handlowym kolosem z ambicjami?

Sieć stworzył najbardziej tajemniczy biznesmen w naszym kraju, z Krotoszyna - Tomasz Biernacki; rocznik 1973.

Co o nim wiemy? Założyciel Dino w 2025 roku po raz kolejny zajął 1. miejsce na liście „100 Najbogatszych Polaków" tygodnika „Wprost", notując rekordowy majątek wyceniany na - bagatela! - 28 mld zł.

Jest to czwarty z rzędu rok, w którym ów cichy milioner, który słynie z unikania mediów i publicznych wystąpień, utrzymał pozycję lidera, powiększając swój kapitał i wyprzedzając owianych sławą w rankingach krezusów - Michała Sołowowa (23 mld zł) oraz Jerzego Staraka (18,8 mld zł).

I tu hit: 28 mld złotych Biernackiego to rekord w historii rankingu „Wprost"!

Źródło bogactwa miliardera z Krotoszyna? Sztuczna inteligencja podpowiada, że to większość udziałów w Dino, 51 proc., a pozostałe należą do udziałowców instytucjonalnych.

W pewnym momencie krążyły plotki, że wśród udziałowców jest ks. Tadeusz Rydzyk, ale w strukturze akcjonariatu nie pojawia się ani jego nazwisko, ani związane z nim Radio Maryja czy Fundacja Lege Veritatis.

Całkiem niedawno właściciel Dino ogłosił, że wchodzi w nowy biznes, czyli własne sieci stacji paliw. Będą powstawać przy istniejących supermarketach, żeby wykorzystać ich potencjał i logistykę. Spółka ma już zarejestrowany znak towarowy Dino Oil.

Pieniądz robi pieniądz.

Niestety, blask sukcesu przyćmiły doniesienia związkowców z OPZZ Konfederacja Pracy w Kauflandzie, Biedronce, Dino, ALDI i Rossmann - o warunkach pracy i płacy w tym supermarkecie.

Oprocentowana pożyczka zamiast socjalu?

Mleko rozlało się jakiś czas przed Świętami Bożego Narodzenia, kiedy to związkowcy z OPZZ zaalarmowali, że pracowników nie czeka w grudniu nic miłego poza trzema pracującymi niedzielami: „Zero Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych, mimo że jest obowiązkowy. A obok tego gigantyczne inwestycje, kolejne markety i rekordowe zyski Dino Polska. Tylko jedno się nie zmienia: pracownik wciąż traktowany jest jak koszt, nie jak fundament tego biznesu".

Napięcie rosło. OPZZ informowało, m.in. na swoim facebookowym profilu, że zatrudnieni zgłaszają jej niskie temperatury w sklepach (mniej niż 15 stopni C), zbyt małą liczbę osób na zmianach (trzy) i to, że marnie zarabiają (ok. płacy minimalnej).

Związkowcy zażądali: 900 zł podwyżki do wynagrodzenia zasadniczego, ZFŚS i zwiększenia zatrudnienia o 30 procent.

Głośna była np. sprawa, gdy pracownikom przed gwiazdką zamiast socjalu z ZFŚS zaproponowano pożyczki na kwoty do 8 tys. zł - oprocentowanej!

Gorąca dyskusja rozpętała się także po tym, jak związkowcy przekazali, że Dino potrąca pracownikom z wypłaty koszty naprawy sprzętu, typu uszkodzone mopy, i za zniszczoną odzież roboczą.

To nie koniec. W internecie pojawiły się zdjęcia posiłków regeneracyjnych (zup), które mają otrzymywać pracownicy magazynów. Wątpliwości wzbudziły jakość jedzenia oraz brak wskazania informacji o alergenach.

Miało dojść do rozmów na temat warunków pracy w Dino, ale OPZZ Konfederacja Pracy zakomunikowała, że zarząd się na nich nie pojawił i po zignorowaniu zaproszenia złożyła zawiadomienia do PIP o łamaniu praw pracowniczych oraz doniesienia do prokuratury w sprawie możliwego naruszenia przepisów ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, natomiast o wyznaczenie mediatora zwróciła się do Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej.

Związkowcy grożą strajkiem.

Tymczasem na forach pracownicy wylewają swoje żale.

„Nie pamiętam, aby jakikolwiek większy pracodawca tak unikał rozmów ze związkami, to jest chyba pierwszy taki przypadek. Cisza, cisza cisza, ani słowa, ani komentarza ze strony pracodawcy, coś mi tu nie pasuje".

„Dino wykorzystuje swoją uprzywilejowaną przewagę w mniejszych miejscowościach, gdzie poza sklepem i gminą nie ma innej pracy" .

„Mamy 12 stopni przy kasie w ten mróz. Farelki dodatkowe były, jak była inspekcja pracy, a potem je wyłączono".

„Te kasy naprzeciwko drzwi to porażka, po zmianie człowiek jest sztywny z zimna, co za architekt to wymyślił?"

„Trzy trzy osoby na zmianie w markecie to stanowczo za mało".

„Zabraniają nam brania dwóch tygodni urlopu w wakacje, więc jak rodzice spędzą czas z dziećmi? Nie wolno przynosić L4 przez Wielkanocą, majówką, 1 i 11 listopada. A wypłata? Nawet 4 tys. zł na rękę nie wyciągamy. W pomieszczeniach socjalnych zimno, a za wszystko, co się psuje, potrącają z pensji. Dosłownie za wszystko!"

„Jedyna rzecz, której boi się zarząd to, jakby wszyscy pracownicy np. o 8.00 odeszli od swych stanowisk i ogłosili strajk w całej Polsce. Druga wersja - wszyscy się zwalniają tego samego dnia i nie ma chętnych na ich miejsce, wtedy zarząd zacznie rozmawiać o podwyżkach".

„Zimno, niskie pensje, mało pracowników a wymagania ogromne, ponad ludzkie siły, najlepiej harować po 12 godzin dziennie. To, co się dzieje w tych sklepach, przechodzi ludzkie pojęcie, tylko nikt o tym nie mówi głośno, co wyprawia się od strony zaplecza" .

„Kupuję w tych sklepach i zawsze jest tam zimno, podziwiam że kobiety tam pracują".

Jednak są również takie głosy.

„Pracuję w Dino i fakt, są pewne niedociągnięcia i brak socjalu, ale mam wrażenie, że ten hałas to praca konkurencji, by zamknąć te sklepy, gdzie zawsze są świeże produkty i w miarę tanie. Wszyscy stracimy pracę, a na prowincji gdzie my znajdziemy lepszą pracę i czy w ogóle".

„To mi wygląda na nagonkę, jak byłem w Biedronce, widziałem, że panie też chodzą jak zombie, ich zmęczenie widać na kilometr. We wszystkich sieciach handlowych jest za mało pracowników na zmianach".

„Nagonka? To dlaczego skoro pracuję do 22.30, muszę zostać do 23.00, bo podłogę trzeba umyć. I tak codziennie, pół godziny pracy gratis".

„Idź do Biedry za parę złotych więcej i ciągnij 6 - 8 palet na zmianie plus rób nocki. Wtedy docenisz Dino".

„To prosta praca, ale ciężka. Nie ma dużo filozofii. To handel i żywność, więc towary wymagają specjalnego traktowania. Reszta to szczegóły. Zasady są restrykcyjne, ale ja się tym nie przejmuję. Robię swoje, mam prawo usiąść i coś zjeść w ramach kultury i współpracy z innymi Dinusiami. Jak komuś nie pasuje, to goodbye".

PIP prowadzi kontrole w Dino, ale też w Biedronce

Poprosiliśmy Dino o komentarz do tego artykułu, wysyłając pytania na kontakt dla prasy podany na stronie www, jednak - do tej pory - go nie otrzymaliśmy.

Co do kontroli PIP w sklepach tej sieci, niektóre media podają ogólnikowo, że Inspekcja wydała pierwsze zalecenia i nakazy. Jednak my poczekamy na pełny raport Głównego Inspektoratu Pracy, który ma zostać opublikowany po zakończeniu kontroli. Wtedy wrócimy do tematu.

Nam, jak dotychczas, PIP nie odpowiedziała, ale to nie pierwszy raz, gdy pytamy o kontrole w Dino.

Ostatnio tak odpowiedział nam Mateusz Rzemek, rzecznik PIP, czytamy m.in.: „Do Państwowej Inspekcji Pracy wpłynęło w 2025 r. 139 skarg na Dino Polska SA (sklepy Dino). Spośród nich rozpatrzono 137 (dwie sprawy są w toku). W 21 przypadkach potwierdzono zasadność zgłaszanych zarzutów, 85 skarg było niezasadnych, zaś w 31 przypadkach niemożliwe było potwierdzenie zasadności lub bezzasadności za pomocą dostępnych inspektorowi środków dowodowych lub przedmiot skarg leżał poza zakresem kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy. Spośród zgłoszonych skarg jedna (uznana za bezzasadną) dotyczyła nieutworzenia zakładowego funduszu świadczeń socjalnych. Warunków pracy dotyczyły 22 zgłoszenia, z których jedynie 9 uznano za zasadne".

Warto przy okazji dodać, że kontrole PIP trwają obecnie nie tylko w Dino, ale również np. w Biedronce, gdzie dotyczą zasad planowania i zmieniania grafików w okresie przedświątecznym, przy wydłużonym czasie pracy sklepów. Jak pisaliśmy, 22 grudnia klienci mogli robić zakupy od 6:00 aż do 1:00 w nocy, natomiast we wtorek, 23 grudnia, od 5:00 do 23:30.

Również w tym przypadku poczekamy na wyniki kontroli.

©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

ADRIATYK ZNÓW W CIECHOCINKU. WRACA WIZJA KURORTU Z LAT 30.

Decyzja zapadła. Za kilka lat zmieni się krajobraz wokół ciechocińskich tężni. To ma być powrót do czasów świetności kurortu z lat 30. Całkiem dosłownie

Adam Willma

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zjeżdżalnie były z betonu. Ta dla dorosłych miała ok. 5 m

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Basen miał 3 strefy: najpłytszą, dziecięcą (32 na 20 m), rekreacyjną (40 na 60 m) i sportową, najgłębszą (40 na 20 m)

W 1932 r. w Ciechocinku otwarto obiekt, który w zamyśle miał zastąpić Polakom morze. A nawet Morze Śródziemne. Ogromny basen solankowo-termalny, z plażami, zjeżdżalniami, skocznią i zapleczem gastronomicznym, zaprojektowano jako miejsce masowego wypoczynku. Takiego, z którego miały korzystać jednocześnie tysiące ludzi.

Zamiast Bałtyku

W realiach II Rzeczypospolitej „ciechocińskie morze" było projektem, który wielu przyjęło entuzjastycznie. Wyjazd nad Bałtyk nie był wtedy oczywistością. Ciechocinek, uzdrowisko z zapleczem solankowym, wydawał się idealnym miejscem, by spróbować stworzyć „morze" w środku lądu.

Basen powstał w latach 1930-1932 wg projektu Romualda Gutta i Aleksandra Bronisława Szniolisa. Budowa trwała około 1,5 roku, co - zważywszy na skalę przedsięwzięcia - było tempem szybkim nawet według dzisiejszych standardów.

Nie tylko basen

Cały kompleks zajmował około 7 ha i miał działać jak samodzielny organizm wypoczynkowy. Były tu piaszczyste plaże, boiska do gier, ogród jordanowski dla dzieci, pawilony na leżaki, rozległe tarasy i zaplecze gastronomiczne. Basen był sercem tego kompleksu.

Na tle innych obiektów z epoki założenie ciechocińskie wyróżniało się skalą. W latach 30. porównywano je do największych kąpielisk termalnych w Europie Zachodniej.

Centralnym punktem była ogromna niecka basenowa. Miała 100 metrów długości i 40 metrów szerokości, miejscami zwężała się do 32 metrów. Podzielono ją na trzy wyraźne strefy. Najpłytsza, dziecięca (32 na 20 metrów), za nią część środkowa, rekreacyjna (40 na 60 metrów). Najgłębsza - sportowa część basenu (40 na 20 metrów) miała do 3,5 metra głębokości.

Całość wykonano z żelbetu. Dno tworzyły potężne płyty zbrojone, każda o wymiarach 10 na 10 metrów i grubości 15 cm. Ściany zakończono przelewem, przez który nadmiar wody spływał do brodzika biegnącego wokół niecki.

Do basenu prowadziły szerokie, 4-metrowe schody w części płytkiej. Co 20 metrów w ścianach umieszczono drabiny z betonu i stali. Przy najgłębszej części stała 3-metrowa skocznia. Bez dodatkowych podpór - co w tamtym czasie uznawane było za techniczną ekstrawagancję.

Były oczywiście również zjeżdżalnie - także z betonu. Jedna, wysoka na około 5 metrów, przeznaczona była dla dorosłych, druga obsługiwała strefę dziecięcą. Wizualnie całość sprawiała wrażenie lekkiej i nowoczesnej, choć w rzeczywistości była masywną, żelbetową konstrukcją.

Solanka pod kontrolą

Jednym z najbardziej zaawansowanych elementów był system uzdatniania wody. Solanka trafiała do fontanny-odżelaziacza, gdzie była napowietrzana. W ten sposób wytrącane były związki żelaza. Następnie woda przechodziła przez filtry i dopiero wtedy kierowano ją do basenu. Na końcu mieszano ją z wodą słodką. Temperatura spadała wówczas do 22-24 stopni, a zasolenie osiągało 2,5-3 proc. - poziom zbliżony do Adriatyku. Nad fontanną, wspartą na pięciu filarach, znajdował się zbiornik, w którym woda była mieszana. A wszystko to tuż obok tężni, których zadaniem było zagęszczanie solanki do produkcji soli. W jednym miejscu funkcjonowały więc instalacje, które solankę rozcieńczały, i te, które ją zagęszczały.

Kawiarnia, tarasy, orkiestra

Basen nie był tylko miejscem kąpieli. Zapleczem społecznym był długi na 104 m budynek główny z kawiarnią, restauracją, szatniami i przebieralniami. W części środkowej, razem z tarasami, miał 54 metry szerokości.

W podziemiach działała kuchnia, zaplecze gospodarcze i kotłownia. Na wysokim parterze, wyniesionym o 1,5 m ponad teren, ulokowano restaurację z lożami i bufetami. Z tarasu prowadziły schody w kierunku basenu. Na piętrze znalazły się biura i balkon dla orkiestry, która nieodłącznie towarzyszyła rekreacji nad wodą.

Częścią zespołu był ogród jordanowski zaprojektowany przez Zygmunta Hellwiga. W jego centrum znajdował się niewielki brodzik. Były też place zabaw, piaskownice, tor do nauki jazdy na rowerze, tor łuczniczy i kwatery trawiaste. Obok kompleksu basenów funkcjonowały również boiska ziemne, tereny „ćwiczeń ruchowych" i piaszczyste plaże. Całość bardzo ciekawie prezentowała się z lotu ptaka - miała prosty, geometryczny układ, łatwy do odczytania i wygodny w użytkowaniu.

FOT. K-P URZĄD MARSZAŁKOWSKI

Odbudowa basenu (na zdjęciu jego wizualizacja) prowadzona ma być „w warunkach najwyższej ochrony zabytkowej"

Basen działał przez dziesięciolecia. Przetrwał wojnę i okres powojenny, pamięta go jeszcze pokolenie obecnych 40-latków. Obiekt zamknięto 15 września 2001 r. Powód: zły stan techniczny i wysokie koszty utrzymania. Po sprzedaży w prywatne ręce teren szybko popadł w ruinę. Kiedy został ponownie przejęty, trzeba było wywieźć z niego 25 ton śmieci.

Odbudowa pod ścisłą kontrolą

Odbudowa prowadzona ma być „w warunkach najwyższej ochrony zabytkowej", ponieważ zespół tężni, warzelni soli oraz parków tężniowego i zdrojowego ma status pomnika historii (w kraju jest 133 takich obiektów), a równolegle trwa procedura wpisu na listę UNESCO.

Restrykcyjne wymagania konserwatorskie dotyczą nie tylko wyglądu budynków, ale też materiałów, technologii wykonania, układu nawierzchni i formy zieleni. Największe kontrowersje budzi kwestia zastosowania podobnych rozwiązań technicznych jak w oryginalnej formie z lat 30. Betonowa niecka ma powstać w historycznym kształcie, z użyciem nowoczesnych uszczelnień i powłok ochronnych, ale bez zmiany formy. Nowe instalacje filtrujące i dezynfekujące mają zostać ukryte pod ziemią. Skocznia i zjeżdżalnie mają zostać rozebrane i wykonane od nowa, z zachowaniem dawnych proporcji. Do przedwojennej postaci, bez późniejszych dobudówek, wrócić ma budynek filtrów. Wstępnie zakłada się też możliwość budowy dodatkowych basenów o wyższym zasoleniu - do 15 i 30 proc.

Drzewa do wycięcia

Wytyczne konserwatora obejmują także otoczenie. Przed wojną teren był otwarty, niemal pozbawiony wysokich drzew. Dziś jest gęsto zalesiony. Plan zakłada usunięcie samosiewów i części drzew oraz przywrócenie niskiej zieleni (różaneczniki), rabat i trawników.

Większa elastyczność dotyczy wnętrz, gdzie planowane jest wprowadzenie funkcji, które mają zwiększyć atrakcyjność (i ograniczyć straty finansowe): sauny, fitness, przestrzenie edukacyjne. Wstępna koncepcja zakłada także stworzenie podziemnego muzeum geologicznego, pokazującego historię morza, strukturę geologiczną regionu i pochodzenie solanki - w formie interaktywnej, skierowanej do szkół i turystów.

Na ciepłe czasy

Basen będzie intensywnie użytkowany głównie wtedy, gdy temperatura powietrza przekroczy 25 stopni. Realny sezon to w praktyce trzy miesiące. Eksperci oszacowali liczbę osób odwiedzających strefę basenową na około 30 tys. rocznie.

Realizacja planowana jest w formule „zaprojektuj i wybuduj" - w ciągu 78 miesięcy. Całkowity koszt realizacji w bogatszym wariancie to blisko 140 milionów złotych (same tylko koszty projektowe sięgają niemal 9 mln). Roczny deficyt funkcjonowania samego basenu, przy zachowawczych założeniach, wynosi około 14 mln. ©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

– Jako jałmużnik Ojca Świętego staram się biec do tych, którzy się źle mają, i im pomagać. To nie oni mają przyjść do nas, ale my do nich. Tak robił Jezus, to jest Ewangelia, a ja staram się żyć logiką Ewangelii – mówi kardynał Konrad Krajewski. Przyznaje, że funkcja jałmużnika papieskiego całkowicie zmieniła jego życie. Niedawno za pomoc Ukrainie otrzymał medal od prezydenta Zełenskiego. Wydał też książkę-przesłanie: „Idź i czyń dobro". W rozmowie z Vatican News opowiada m.in. o tym, co powiedział mu Leon XIV, o nocy spędzonej z bezdomnymi, wydawaniu ogromnych kwot na pomoc potrzebującym i mądrych wskazówkach papieża Franciszka

Wojciech Rogacin, Vatican News

FOT. EAST NEWS

Kardynał Krajewski: Zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się

KARDYNAŁ KONRAD KRAJEWSKI: MIŁOŚĆ JEST „STUKNIĘTA"

Księże Kardynale, skąd ten tytuł książki: „Idź i czyń dobro"?
To jest przesłanie ewangeliczne. Może nie wypowiedziane bezpośrednio, ale kiedy czytamy Ewangelię, to tam przede wszystkim istnieje „dziś". Mówi się o czasie, który jest nam dany. Dziś nam jest dane, natomiast jutro dla nikogo z nas nie jest pewne. Więc jeżeli mam być dobry, to mam być dobry dziś. I dlatego, nie zwlekając, trzeba czynić dobro dziś, bo jutro już może nas nie być. Tu pobrzmiewają też słowa księdza Twardowskiego: Kochajmy dzisiaj ludzi, bo jutro ich może nie być. A kochać mamy wszystkich ludzi.

Z książki dowiadujemy się najwięcej o miłości do osób ubogich, bezdomnych, potrzebujących, dziś odrzuconych.
Ja staram się żyć logiką Ewangelii. To jest bardzo trudne – żyć Ewangelią bez komentarza, który na ogół ją rozwadnia. Mówi się w ten sposób: „Jezus powiedział, ale dzisiaj żyjemy w innym świecie, w innych okolicznościach", i tak dalej, i tak dalej. Nie, Ewangelia jest dzisiaj aktualna i jest na dzisiaj. Czytamy Marka – jak się zaczęła publiczna działalność Pana Jezusa? Tak, że spotyka trędowatego, spotyka sparaliżowanego, a następnie spotyka Mateusza, znienawidzonego celnika, i mówi: „Idź za mną". Najpierw spotyka się więc z tymi, którzy potrzebują pomocy, którzy są opuszczeni, zanurzeni w grzechu, zanurzeni w cierpieniu. Tak jest. Jezus idzie. On idzie jako lekarz. Lekarza potrzebują ci, którzy się źle mają. Więc idzie najpierw do nich. I tak próbowałem to realizować jako jałmużnik i staram się nadal – dopóki jestem jałmużnikiem w imieniu Ojca Świętego – że to my biegniemy do tych, którzy się źle mają, i to my im pomagamy. Papież Franciszek mówił: „Zostaw to biuro, zostaw biurko, wyjdź na ulicę i szukaj Jezusa zranionego". I to jest Ewangelia. To robił Jezus każdego dnia. Sam fakt, że to ludzie mają przychodzić po pomoc do nas, do urzędów, fundacji, to jeszcze nie Ewangelia w pełni. Ewangelia w pełni jest wtedy, kiedy my wychodzimy i szukamy. Myślę, że trafnie naszą Dykasterię określił papież Franciszek jako Pronto Soccorso, czyli Pogotowie Ratunkowe Miłosierdzia. To znaczy, że na wieść o tym, że coś się dzieje, biegniemy i szukamy, aby pomóc tym ludziom.

Ale czy musimy być w tym tak radykalni? Bo z Księdza książki wynika, jeśli ktoś ją tak na poważnie weźmie do siebie, że wręcz należałoby zmienić swoje życie.
Ale taka jest dokładnie Ewangelia. Jest bardzo radykalna. Do tego stopnia, że ta radykalność stawia wszystko na głowie, tak jak miłość. Proszę zauważyć: miłość nie tylko jest radykalna, ale „stuknięta". Jeśli miłość nie jest „stuknięta", to nie jest miłością, ponieważ ona kieruje się zupełnie innym prawem niż to, które my sobie ustalamy. Matka będzie kochać swoje dziecko, nawet jeśli ono jest w więzieniu. Taka jest miłość i Ewangelia, która wszystko stawia odwrotnie niż świat. Dlatego Jezus nam ciągle przypomina, że nie jesteśmy z tego świata, że nie można stać okrakiem – i w świecie, i w Ewangelii. Jeśli jesteśmy w Ewangelii, to na pewno jesteśmy też w świecie. Jeśli jesteśmy w świecie, to nie znaczy, że jesteśmy w środku Ewangelii.

Papież Franciszek, jak czytam w książce, powiedział na początku Księdza posługi jako jałmużnika: „Jeśli chcesz wiedzieć, czego potrzebują bezdomni, idź do nich, spędź z nimi noc i wtedy będziesz wiedział". Tak to wyglądało?
To wyglądało dokładnie tak, bo wszystkie te inicjatywy, które powstały, zostały sprowokowane przez papieża Franciszka. Ale papież tylko nadał kierunek, natomiast nie mówił, co to ma być i jak to ma być. Nam się może wydawać, że jak ja kupię bułkę i zaniosę ubogiemu na ulicę, to już jest pełne szczęście. Ale ja go nie zapytam, czy ma zęby, czy on tą bułkę może w ogóle zjeść. Czy on nie jest cukrzykiem. Czy on może jeść to, co ja mu daję. Natomiast gdy się usiądzie z bezdomnymi, nie trzeba wcale dużo mówić. To oni mówią, bo na ogół nikt ich nie słucha. To jest pierwsza rzecz. A druga, że dowiadujemy się rzeczy, o których byśmy nie myśleli. Na przykład na samym początku, kiedy zostałem jałmużnikiem i zacząłem ich słuchać, ci biedni mówili: „My nie mamy się gdzie załatwić". Nie ma w Rzymie otwartych ubikacji. Turyści, kiedy przyjeżdżają do Rzymu, idą do baru i – kupując kawę – mogą iść do łazienki. A oni do baru czy do restauracji nie mogą wejść. A publicznych toalet nie ma. Więc otworzyliśmy toalety dla nich. Nie mieli się gdzie wykąpać, więc otworzyliśmy natychmiast na Placu Świętego Piotra prysznice, gdzie 200 osób dziennie się kąpie. Jeśli już są umyci, to potrzebują bielizny świeżej. Jeśli już są umyci, przebrani, to dlaczego ich nie zbadać? Stąd powstał pomysł ambulatorium. Jeśli już są u nas umyci i zbadani, to dlaczego mieliby nie pójść do fryzjera? Bo najwięcej mają problemów właśnie z chorobami skóry, z włosami. Więc powstał od razu zakład fryzjerski dla nich. I w ten sposób, słuchając ich, wiedzieliśmy, co mamy robić.

Ale do tego też potrzeba ludzi chętnych, fryzjerów chociażby, czy lekarzy, którzy badają w laboratorium. Skąd oni się biorą?
Więc tak: zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się. Podam przykład. Pojechałem do jednego z marketów i wziąłem od razu 60 kg bananów – dwa olbrzymie pudła. Podszedłem do kasy z wózkiem i wtedy podchodzi do mnie jedna pani i mówi: „Ja wiem, dla kogo ksiądz te banany kupuje". Wyciągnęła kartę płatniczą i zapłaciła. To jest odpowiedź na pana pytanie. Takie jest dobro. Jeżeli ludzie wiedzą, co my robimy, to bardzo chętnie pomagają. Często chcą pomagać, a nie wiedzą jak. A my wiemy. Robimy dokładnie to, co robiłby Jezus, więc leczymy ludzi z bezdomności, próbujemy im przywrócić godność, a jednocześnie da-

eprasa.pl ab42b3e2ca

jemy im też posługę duchową, która jest bardzo ważna.

W jaki sposób?
Proszę zobaczyć, jak Jezus zareagował na paralityka spuszczonego przez dach do pomieszczenia, w którym przebywał. Zapytał, co jest łatwiej powiedzieć: „Wstań, idź, jesteś uzdrowiony", czy „Odpuszczają się twoje grzechy?". Łatwo jest powiedzieć „wstań, idź", bo przecież mamy pełne szpitale, tam się idzie po to, żeby odzyskać zdrowie. A konfesjonały wcale nie są takie pełne. Czyli o wiele trudniej jest przywracać godność człowieka, który ją otrzymał od Boga, niż wyleczyć człowieka. A te dwie rzeczy muszą iść w parze. Papież Franciszek bardzo często mnie pytał o to, czy zaspokajamy wszystkie potrzeby naszych biednych. To nie chodziło tylko o prysznice, o umycie się, dokumenty, ale pytał przede wszystkim, czy zapewniamy im pomoc duchową. Po pierwsze, czy ich słuchamy. Czy jesteśmy z nimi. Czy opowiadamy im o Jezusie.

Rozumiem, że opowiadacie.
Wie pan, kiedy jesteśmy z nimi, to oni sami pytają: „A dlaczego ty jesteś taki dobry dla nas?". Ja wtedy najczęściej odpowiadałem to, co mi przychodziło zupełnie spontanicznie. Robię to, co by zrobił Jezus. I to jest właśnie odpowiedź na tytuł tej książki: „Idź i czyń dobro". I jakiekolwiek by nie były pobudki czynienia dobra, dobro jest dobrem.

Mówi Ksiądz Kardynał kilkakrotnie na łamach książki: „Najpierw czyny, potem słowa". Dlaczego?
Jezus szedł i dotykał ludzi, uzdrawiał. Czyny są bardzo ważne. W dniu, w którym rozmawiam z panem, czytana jest Ewangelia o powołaniu Mateusza. Ta Ewangelia mówi, że nie ma świętego, który nie ma swojej kiepskiej przeszłości. Mateusz miał fatalną przeszłość. Znienawidzony był, żył z grzechu, z poboru pieniędzy. Ale każdy grzesznik ma swoją przyszłość. I to daje Jezus. Jeżeli idę i uklęknę przy kratkach konfesjonału i powiem Jezusowi o swojej przeszłości, to już jej nie ma. Grzechy są odpuszczone. On nie tylko przebacza grzechy, ale obdarza mnie pokojem i mówi: „Idź i bądź święty". To jest dzisiejsza Ewangelia. I jeżeli ja, wychodząc na ulicę, wprowadzę ją w czyn, wiedząc, że każdy z tych ludzi ma swoją przeszłość – ale Jezus nie męczy się Jego grzechami – to mój czyn pomaga temu człowiekowi przywracać godność.

Jesteście zawsze przygotowani, by pomagać?
Kiedyś była powódź w Rzymie i w jednej z dzielnic zalało bardzo dużą ilość domów. To się stało w sobotę i papież Franciszek do mnie zadzwonił. Mówi: „Weź pieniądze i jedź natychmiast i tym rodzinom zapłać za hotel, żeby miały gdzie przenocować". Ja mówię: „Ojcze Święty, ale jest sobota i banki są pozamykane". On na to: „To ty jesteś jałmużnikiem i nie masz pieniędzy do dyspozycji na miejscu? Jak to jest możliwe? To jest tak, jakby ktoś miał łódź, a wiosła by były zamknięte na sobotę i na niedzielę". Wtedy zrozumiałem, że nasza pomoc musi być zupełnie inna. Musimy być zawsze gotowi. Stąd zrodziło się to pojęcie pogotowia ratunkowego, które zawsze jest czynne.

Ksiądz Kardynał w książce bardzo często wspomina o wskazówkach, nawet ostrych przytykach papieża Franciszka...
Papież Franciszek był bardzo konkretny. To był człowiek, który w momencie, kiedy już został papieżem, miał ogromne doświadczenie życiowe i z tego skarbca swojego życia wyciągał rzeczy tylko istotne. Nie zajmował się narracją, tylko dawał konkretne rozwiązania. Pamiętam, jak pierwszy raz wysłał mnie na Lampedusę, kiedy przewrócił się statek i ponad 300 osób zginęło. Jak wychodziłem, to papież mnie jeszcze zawołał: „Konrad, Konrad, wróć. Najpierw idź do proboszcza i wszystkie swoje decyzje konsultuj z proboszczem". I tak było. Jak zajechałem na Lampedusę, to proboszcza zapytałem, czego ci ludzie najbardziej potrzebują. Ci, którzy ocaleli, potrzebowali zadzwonić do swoich domów, żeby im powiedzieć, że przeżyli. Więc we wszystkich barach wykupiliśmy karty telefoniczne i rozdaliśmy tym biednym ludziom. Oni w kolejkach stali do telefonów, żeby zadzwonić na chwilę i powiedzieć: „Żyję. Brat nie żyje, ale ja żyję". A mądrość papieża polegała na tym, że to nie ja robiłem zgodnie ze swoją logiką i myśleniem człowieka z Łodzi i z Polski, tylko zgodnie z jego wskazówkami. Jest słowo, które zawsze towarzyszy jezuitom: „rozeznanie". Najpierw rozeznanie, jaka jest rzeczywistość i dopiero decydowanie.

Co jeszcze papież mówił Księdzu Kardynałowi?
Kiedyś przyjechałem bardzo zmęczony wieczorem po całym dniu. Papież mnie wezwał telefonicznie, żebym przyszedł do niego. Mówię, że padam ze zmęczenia. On mówi: „To bardzo dobrze. Bardzo dobrze, że nie wiesz, jak dojść do łóżka. Tylko czy byłeś dzisiaj na adoracji Najświętszego Sakramentu? Bo jeśli nie byłeś na adoracji, to jesteś pracownikiem socjalnym, a jeśli byłeś na adoracji, to reprezentujesz Jezusa". To były takie wskazówki papieża Franciszka i mógłbym ich przytaczać tysiące. Nigdy od papieża nie wyszedłem, żeby nie udzielił mi jakichś rad.

Czy rzeczywiście, zgodnie ze wskazówkami Franciszka, spędzał Ksiądz noce z bezdomnymi?
Spałem oczywiście w noclegowniach. Nawet w Polsce. Kiedyś spałem u braci albertynów w jednym pokoju z trzema bezdomnymi. Była taka śmieszna sytuacja, którą też potem opowiadałem papieżowi, że kiedy poszedłem się umyć, wracam – wszyscy siedzą na łóżkach, mimo że światło było zgaszone. Jakby się bali, że kardynał będzie spał z nimi. No i położyliśmy się. Była tylko lampa krakowska, która oświetlała okno, okratowane zresztą. W pewnym momencie wstał jeden, który nie spał w piżamie, a był cały w tatuażach. Usiadł na tym łóżku i mówi: „Muszę coś powiedzieć księdzu". „Niech pan mówi". „Ja jeszcze nigdy w życiu z żadnym kardynałem nie spałem". Ja mu odpowiedziałem: „Ja też nie".

Czytam w książce, że nie wszystkim działalność Księdza Kardynała tutaj, w Rzymie, się podoba.
Ale nie musi się wszystkim podobać. Proszę zauważyć, że działalność Jezusa do tego stopnia się nie podobała, że właściwie po każdym jego przemówieniu wyprowadzano go za miasto lub za wieś i chciano go ukamienować. I to jest zrozumiałe. Nie wszystkim się podobało, że papież Franciszek zorganizował prysznice pod kolumnadą Berniniego przy Placu Świętego Piotra, gdzie od tylu wieków gwoździa wbić nie wolno, bo to jest tak szacowne miejsce kultury. Wtedy jeden z kardynałów mówił mi: „Zabieracie miejsce pielgrzymom. Dlaczego nie zrobicie tego na wzgórzu, tutaj niedaleko, gdzie są dość duże parki? W Watykanie jest tak ciasno. Nie ma miejsca". Wtedy mnie coś natchnęło i odpowiedziałem temu kardynałowi: „To w takim razie dlaczego ksiądz kardynał mieszka w Watykanie, skoro tam jest tyle miejsca?". Potem ten kardynał się zdenerwował i już na odchodne, kiedy zobaczył, jak wychodzi ktoś spod prysznica z kanapką, mówi: „Jeszcze tylko kawy tutaj brakuje.". A ja na to: „Naprawdę! Tak!". I poszedłem od razu kupiłem ciśnieniowy zaparzacz do kawy. I od tej pory przez tyle lat wszyscy biedni mają cafe latte i jaką chcą. My też rano po kąpieli chętnie zjemy ciastko, może usiądziemy przy kawie w szlafroku. Dlaczego bezdomni nie mają tego nie mieć? To nas może wkurzać, to nas może denerwować, ale takie jest przywracanie godności.

Ale te osoby, którym się pomaga, zwłaszcza bezdomne, one dalej prowadzą ten tryb życia. Pomagamy im, a jednak ich życie się nie zmienia. Jak to rozumieć, jak do tego podejść?
Ja się chyba z tysiąc razy już spowiadałem i bardzo często przychodzę z tymi samymi grzechami na nowo. I Pan Jezus moimi grzechami się nie męczy. Ja mam Go naśladować. Dlaczego mam się męczyć drugim człowiekiem, który na przykład nie może wyjść z bezdomności? Bo bezdomność staje się uzależnieniem i chorobą. My im pozwalamy spać pod kolumnadą Świętego Piotra. Mało tego, kupujemy im – co denerwuje niektórych – namioty. W tym miesiącu około 400 namiotów rozdaliśmy, aby zapewnić im jakąś intymność. Dlaczego mają spać zupełnie odsłonięci? My kiedy idziemy do sypialni, też zamykamy swoje drzwi. Więc przynajmniej tyle. Ale oni rano te wszystkie namioty składają i kolumnada jest dostępna dla turystów. To nie jest tak, że my ich zapraszamy do Watykanu, tylko oni tu czują się bezpiecznie. I myślę, że to dobrze o nas świadczy. Natomiast wszystkim proponujemy możliwość powrotu, choć nie robimy tego nachalnie. Oni zawsze wiedzą, że jeśli chcą wrócić do swojego kraju, do rodziny czy w inne miejsce, gdzie wydaje im się, że będzie lepiej, to my jesteśmy w stanie tego samego dnia wyrobić każdemu paszport. Mało tego – ubierzemy go, zdążymy pójść do fryzjera i tego samego dnia możemy go zawieźć na samolot. I na tym się nie kończy. Powiadomimy rodzinę albo miejscową pomoc charytatywną, żeby go odebrano z lotniska. Bardzo często są jednak tu tak długo, że już nie mają do kogo wrócić. Ich żony, dzieci się od nich odwróciły. Wiemy o tym, bo kiedy umierają, nikt nie chce odebrać ich ciała – tak daleko już zaszły sprawy. A one zachodzą daleko wtedy, kiedy nie ma przebaczenia. To jest to, o czym papież Franciszek mówił małżonkom, rodzinom, że możecie się kłócić cały dzień, nawet talerzami możecie rzucać, ale nie połóżcie się spać, jeśli sobie nie przebaczycie, bo potem wykopiecie tak wielki dół, że nie będziecie w stanie już żyć, pojednać się.

A jak Ksiądz Kardynał odpowiada na krytykę, że Kościół nie powinien być organizacją charytatywną?
To już słyszałem. My nie jesteśmy organizacją charytatywną. My czynimy to, co robiłby Jezus. A Jezus jest chyba najbardziej krytykowany na świecie i niechciany. Kiedy więc mam podjąć jakąkolwiek decyzję, to nie zastanawiam się, co napiszą w prasie, co będą mówili, tylko co by zrobił Jezus na moim miejscu – i to robię. A jeśli za to dostanę jakieś baty, to tylko potwierdza, że zrobiłem coś dobrego. Ojciec Święty Franciszek powiedział kiedyś: „Uważaj, jak wszyscy będą klaskali, bo jest to strasznie niebezpieczne dla ciebie. Lepiej niech o tobie mówią źle, a ty rób to, co robiłby Jezus".

Ksiądz Kardynał spotkał się z Leonem XIV. Na co zwrócił uwagę obecny papież?
Dotychczas był to okres Roku Jubileuszowego i Ojciec Święty wszedł w celebracje wydarzeń zaplanowanych przez papieża Franciszka. I właściwie teraz dopiero, sądzę, Ojciec Święty przedstawi nam własne akcenty i na to czekamy. Mnie Ojciec Święty powiedział, że kontynuujemy to, co było robione. Ale sądzę, że z czasem też nada temu jakiś własny charakter. Obrazowo przedstawię to tak. Mieliśmy niedawno konkurs muzyki Chopina i właściwie wszyscy grali te same utwory, ale każdy grał inaczej. Natomiast wszyscy musieli trzymać się nut. Więc my wszyscy trzymamy się Ewangelii. Ale ta interpretacja Ewangelii, kolory Ewangelii mogą być różne i czekamy właśnie na te kolory papieża Leona XIV.

Książka „Idź i czyń dobro" mnie się kojarzy z przewodnikiem duchowym. Ona wymaga pewnej zmiany podejścia, może zmiany życia. Czy kiedy Ksiądz Kardynał został jałmużnikiem, to również wymagało zmiany życia?
Zmieniło się bardzo to życie. Papież cały czas mówił, że musi być wszystko zgodne z logiką Ewangelii, że jak nie wiesz, co zrobić, a do twojej polskiej głowy (papież bardzo lubił ten zwrot, mówił go zawsze, uśmiechając się) nie przychodzi żadne rozwiązanie, to szukaj w Ewangelii sytuacji podobnej, w której jesteś, i zobacz, co by zrobił Jezus. Papież mnie nauczył żyć codzienną Ewangelią i rozwiązywać wszystkie swoje sprawy za pomocą logiki Ewangelii, nie logiki świata. Wiele razy mówił: „Idź przed Najświętszy Sakrament i pomódl się. Idź i pokaż się Panu Jezusowi, czy ty Mu się podobasz.". To zmieniło wszystko. Papież Franciszek miał takie bardzo proste przesłanie. Mówił: „Będziesz zarządzał wielką ilością pieniędzy". To są dziesiątki milionów euro, nieraz wydawane miesięcznie. I dodawał: „Nasze konto jest dobre, kiedy jest puste. A jeśli nie jest puste, to znaczy, że jesteś najbardziej leniwym Polakiem, jakiego znam". I to wystarczyło. Wiedziałem, że mam robić wszystko, żeby te pieniądze pomagały innym, a nie żeby te pieniądze były.

Działania jałmużnika i Dykasterii ds. Posługi Miłosierdzia są zakrojone na szeroką skalę, także poza Rzym. Pomoc płynie do Afryki, Azji, do Ukrainy i wielu innych krajów...
To wielka pomoc z inspiracji Ojca Świętego.

To oznacza dysponowanie ogromnymi kwotami, które trzeba umiejętnie wydawać. W jaki sposób pomoc na tak wielką skalę się organizuje?
Jakby przyszło myśleć o tym, to byśmy nie dali rady. Natomiast życie przynosi wiele rozwiązań. Chociażby obecnie w kilku krajach azjatyckich przeszedł tajfun, niszcząc wielką liczbę domów i statków. Rodziny rybackie nie mają z czego żyć. Takie sytuacje zgłaszają nam nuncjusze. A jeśli sami się dowiadujemy, to pytamy, czy możemy pomóc i w jakiś sposób. Nuncjusz mówi, że zostało zniszczonych sześćdziesiąt łodzi rybackich, potrzeba nowych silników. Silniki kosztują tyle i tyle. I my drogą dyplomatyczną jesteśmy w stanie w ciągu jednego, dwóch dni te pieniądze przesłać i uratować życie tylu rodzinom. To jest kropla w morzu, ale morze stworzone jest z kropel, więc im więcej tych kropel, tym bardziej to morze jest zachwycające.

A te pieniądze skąd pochodzą?
One pochodzą z ofiar za pergaminy, których dziesiątki tysięcy wysyłamy po całym świecie jako błogosławieństwa, i wszystko, co za nie przychodzi, jest rozdawane potrzebującym. Ludzie też widzą, co robimy, i dlatego wpłacają pieniądze. Zostawiają Ojcu Świętemu w testamencie lub przekazują za życia. Papież mi dawał do sprzedania samochody, które otrzymywał. Sprzedawaliśmy je za pięciokrotnie większą wartość niż miały. Dlatego, że ludzie wiedzieli, że te pieniądze pójdą do Gazy, na Ukrainę, na karetki, na leki, na szpitale w Afryce. Jedna z rodzin nam przekazała za życia papieża Franciszka 3 miliony euro na rzeczy sanitarne w najuboższych krajach Afryki, czyli np. na Madagaskar. I tam, za sprawą nuncjusza, powstało ambulatorium z tych pieniędzy. Jest to pomoc cały czas czyniona zgodnie z Ewangelią. Papież mi kilka razy powtarzał: „Pamiętaj, że gdzie są pieniądze, jest też diabeł, który tańczy. Jeśli będziesz robił to zgodnie z Ewangelią, to dobrze. Jeśli nie, to może się skończyć to więzieniem". Papież nie bał się takich stwierdzeń.

Czy mógłby Ksiądz Kardynał przekazać także poradę praktyczną, właśnie jak papież Franciszek, dla tych, którzy chcieliby coś zrobić dla innych?
Jako człowiek wierzący, jako chrześcijanin, jak nie wiesz, co zrobić, to pytaj się, co by zrobił Jezus na Twoim miejscu. A jak Ci do głowy nie przychodzi, co by zrobił Jezus, to poszukaj w Ewangelii podobnej sytuacji, a zobaczysz, że to będzie sytuacja najpiękniejsza – najpiękniejsze rozwiązanie w Twoim życiu.

eprasa.pl ab42b3e2ca

Express Bydgoski
Piątek, 30.01.2026

PRZEWORSK CZY WROCŁAW? WIELKA AWANTURA O OBRAZ

Ten obraz wygląda zjawiskowo. A i zjawiskowa jest jego historia. „Madonna z Dzieciątkiem" to dzieło, które zostało zrabowane przez Niemców w czasie II wojny światowej. Wrócił do Polski z Japonii w 2023 r.

Robert Migdał

Dzieło pojawiło się na chwilę w Nowym Jorku, by znów zapaść się pod ziemię, a kilka lat temu zostało wystawione na sprzedaż na aukcji w... Japonii. Na szczęście obraz udało się odzyskać i powrócił do Polski. Koniec historii? Zakończenie z happy endem? A gdzie tam! Tu się dopiero zaczyna prawdziwa akcja... Będzie walka o obraz? „Madonna z Dzieciątkiem" zostanie w Przeworsku czy przeprowadzi się do Wrocławia?

Autorstwo obrazu przypisywane jest włoskiemu artyście Alessandro Turchiemu (1578-1649). Jego powstanie datowane jest na koniec XVI lub początek XVII wieku.

Rok 1940. Obraz zostaje zagrabiony przez Niemców i wywieziony z Przeworska na Podkarpaciu. Ślad po nim ginie.

Koniec lat 90. XX wieku. Dzieło pojawia się na aukcji w Nowym Jorku.

I w końcu rok 2022, Tokio. „Madonna z Dzieciątkiem" znów jest wystawiona na sprzedaż przez japoński dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego reaguje i walczy o odzyskanie dzieła.

- Natychmiast nawiązaliśmy kontakt, jednak ze względu na okres pandemii był on utrudniony. Barierą okazała się też kwestia kulturowa i historyczna. Wszystko udało się jednak doprowadzić do szczęśliwego zakończenia - mówił w lipcu 2023 roku ówczesny minister kultury prof. Piotr Gliński.

Dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. - po zapoznaniu się z historią dzieła i jego losami - w porozumieniu z posiadaczem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem" zdecydował się zwrócić dzieło do Polski bez żadnych kosztów. Obraz został przekazany nad Wisłę.

FOT. PRZEMYSŁAW ŚLIWIŃSKI/INSTYTUT POLSKI W TOKIO

– Do połowy roku ma się wyjaśnić, czy cenny obraz „Madonna z Dzieciątkiem" pozostanie na stałe w muzeum w Przeworsku. Ministerstwo kultury jest „za", musi tylko przeprowadzić analizy prawne zawartych umów – poinformował „Nowiny" poseł Bartosz Romowicz (Polska 2050). Na zdjęciu obraz w Instytucie Polskim w Tokio

Ministerstwo zadecydowało wtedy, że „Madonna z Dzieciątkiem" trafi - co trzeba podkreślić, na stałe - do powstającego we Wrocławiu Muzeum Książąt Lubomirskich (tę inwestycję realizuje Zakład Narodowy im. Ossolińskich, spadkobierca - na mocy specjalnego porozumienia - zabytków należących wcześniej do Ossolineum.

Tymczasowo obraz trafił do muzeum w Przeworsku. Przypadek? Niekoniecznie, wszak tamtejsze muzeum mieści się w pałacu należącym kiedyś do rodu Lubomirskich - tych samych, dzięki którym Ossolineum we Lwowie wzbogaciło się o bezcenne dzieła sztuki (przeniesione po II wojnie światowej na Ziemie Odzyskane do Wrocławia).

W określeniach: „tymczasowo", „na chwilę", „w określonym czasie", „do 2027" - mieszkańcy Podkarpacia widzą problem. I to duży.

FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W 2022 roku, po ponad 80 latach od wywiezienia z Polski, obraz odnaleziono na aukcji w Tokio przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Akcja „Nowin"

„Nowiny" z Grupy Polska Press z Podkarpacia rozpoczęły akcję na rzecz pozostawienia obrazu w muzeum w Przeworsku. „Wierzymy, że dzięki poparciu mieszkańców wspólnie zrealizujemy ten cel" - pisze redakcja. „Madonna z Dzieciątkiem" jest jednym z najcenniejszych dzieł sztuki znajdujących się w polskich zbiorach. Na razie dzieło wystawiane jest w muzeum w Przeworsku i owo »na razie« budzi poważne obawy o jego przyszłość" - podsumowuje Piotr Samolewicz, dziennikarz „Nowin", w artykule „»Madonna z Dzieciątkiem« powinna zostać na Podkarpaciu".

Dyrektor tegoż muzeum, Łukasz Mróz, w przesłanym do „Nowin" oświadczeniu napisał, „że od początku zabiegał, aby obraz był użyczony do muzeum w Przeworsku na podstawie obowiązujących umów depozytowych i użyczenia długoterminowego. Obraz od 2 sierpnia 2023 roku eksponowany jest w Salonie Różowym Pałacu Lubomirskich (siedzibie muzeum) i pozostanie tam co najmniej do dnia 30 lipca 2027 roku. Dzieło jest dostępne dla zwiedzających w ramach stałej ekspozycji muzealnej". I dodaje: „Pozostawienie obrazu w Przeworsku znajduje uzasadnienie w jego ścisłym związku historycznym z Pałacem Lubomirskich oraz dziedzictwem Ordynacji Przeworskiej. Obraz znajduje się w dobrym stanie zachowania i jest eksponowany oraz zabezpieczony zgodnie z obowiązującymi standardami. Umowa użyczenia długoterminowego nie przesądza o przyszłym, stałym miejscu ekspozycji dzieła po jej zakończeniu, a ewentualne dalsze decyzje w tym zakresie pozostają w gestii właściciela i właściwych organów administracji publicznej".

Sejmik podkarpacki: obraz musi być u nas

19 stycznia 2026 roku muzeum zwróciło się z wnioskiem do starosty powiatu przeworskiego o kontynuowanie „działań i rozmów z właściwymi organami w celu stworzenia warunków do dalszej prezentacji obrazu w muzeum w Przeworsku".

Dodatkowo w ostatni poniedziałek - 26 stycznia - sejmik podkarpacki zdecydował, że „Madonna z Dzieciątkiem" powinna być na stałe - a nie tylko tymczasowo - pokazywana w Przeworsku.

- Umowa użyczenia tego obrazu podkarpackiemu muzeum jest zawarta do końca lipca 2027 roku. Po tym czasie minister może podjąć decyzję o przejęciu na własność obrazu przez Muzeum Książąt Lubomirskich, będącego integralną częścią Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu podlega ministrowi kultury i dziedzictwa narodowego i jest spadkobiercą lwowskiego Ossolineum, założonego także przez książąt Lubomirskich z Przeworska. Z rejestrów wynika, że ten obraz widnieje jako własność Muzeum Ossolińskich. Natomiast regułą muzealną jest to, aby obraz był tam eksponowany, skąd został zabrany. I obraz ten może wrócić do Przeworska. Komisja edukacji, kultury i kultury fizycznej wnosi, aby sejmik zaapelował do ministra o pozostawienie tego obrazu jako stałego depozytu w Muzeum Zespołu Pałacowo-Parkowego w Przeworsku - tłumaczyła „Nowinom" Ewa Draus, przewodnicząca komisji edukacji, kultury i kultury fizycznej podkarpackiego sejmiku.

Czy obraz - gdyby został na stałe w obecnym miejscu - będzie odpowiednio zabezpieczony?

Starosta powiatu przeworskiego Dariusz Łapa mówi „Nowinom", że obraz jest bezpieczny, ale żeby był jeszcze bezpieczniejszy, powiat zapewni dodatkowe pieniądze na ten cel. - Jeśli będą potrzebne dodatkowe środki na zabezpieczenie obrazu przed kradzieżą i przed pożarem całego obiektu, to my je znajdziemy, tak by dzieło było bezpieczne - mówi starosta.

Co na to Ossolineum?

„Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego" - informuje Ossolineum. I czeka na rozwój wypadków. Będzie wojna między Wrocławiem a Przeworskiem? O obraz? Zobaczymy, co w tej sprawie postanowi ministerstwo i jaka jest determinacja tamtejszych mieszkańców.

DZIEŁO BYŁO WYKONANE DLA NAS!

Oto stanowisko dyrekcji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich przesłane do „Gazety Wrocławskiej": „Obraz „Madonna z Dzieciątkiem", polska strata wojenna, zrabowany z Przeworska przez Niemców i odzyskany w 2023 r., trafił do Muzeum Książąt Lubomirskich – Oddziału Zakładu Narodowego im. Ossolińskich decyzją Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego jako depozyt Skarbu Państwa. Dzieło było prezentowane we Wrocławiu w 2024 r., w ramach wystawy jubileuszowej „Historia nie/oczywista. 200 lat Muzeum Książąt Lubomirskich", po której zakończeniu trafiło do Muzeum w Przeworsku, gdzie ma być wystawiane do czasu otwarcia wystawy stałej w Muzeum Książąt Lubomirskich. Obraz wpisany jest w jej scenariusz jako kontekst trudnej historii odzyskiwania polskich strat wojennych.
Zakład Narodowy im. Ossolińskich od lat współpracuje z Muzeum w Przeworsku, którego dyrektor, Łukasz Mróz, był – obok dyrektora Ossolineum – obecny podczas uroczystego przekazania obrazu na Zamku Królewskim w Warszawie 7 lipca 2023 r. Obie instytucje współdziałają na wielu polach, dążąc do upamiętnienia roli ordynatów przeworskich jako kuratorów literackich lwowskiego Ossolineum. Dyrekcja Ossolineum z uwagą śledzi dyskusję na temat obrazu „Madonna z Dzieciątkiem", jaka toczy się w podkarpackich mediach. Ossolineum stoi na stanowisku, że wszelkie decyzje w tej sprawie powinny być podejmowane na podstawie argumentów merytorycznych. Za pozostawieniem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem" w zbiorach Ossolineum przemawia np. fakt, że zapisy w dziewiętnastowiecznych dokumentach mogą wskazywać, że dzieło było przeznaczone do lwowskiego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego".

eprasa.pl ab42b3e2ca

TAJEMNICZE ZDARZENIA NA PRZEŁĘCZY DIATŁOWA

W nocy z 1 na 2 lutego 1959 r., na wschodnim stoku góry Chołatczachl na Uralu Północnym, w tajemniczych okolicznościach zginęło dziewięcioro uczestników studenckiej wyprawy, zwanej grupą Diatłowa. Sprawy nie wyjaśniono do dziś

Mariusz Grabowski

FOT. CC

Ratownicy dotarli na miejsce dopiero 26 lutego i znaleźli zapadnięty namiot. Dlaczego młodzi, doświadczeni turyści opuścili go bez ubrań w środku mroźnej nocy?

Sprawa do dziś budzi emocje i rodzi kolejne, czasem wręcz nieprawdopodobne hipotezy. Co ciekawe, Prokuratoria Generalna Federacji Rosyjskiej wciąż bada tragedię sprzed 66 lat. Jak poinformowano w 2019 r. „bierze pod uwagę" kilkadziesiąt istniejących wersji śmierci grupy.

Przyciągnąć uwagę

Emocje wokół wydarzeń od lat podsyca popkultura. Kilka przykładów: widzowie pokazanego w 2013 r., w horroru, a właściwie thrillera „Tragedia na Przełęczy Diatłowa" Renny'ego Harlina (scenariusz napisał Vokram Weet) mogli się np. dowiedzieć, że śmierć „Diatłowców" była wynikiem wszechogarniającego spisku, z gościnnym udziałem „sił nieludzkich", przerażających i mściwych.

Film Harlina, choć miejscami wręcz idiotyczny, wyświetlany był na europejskich festiwalach filmowych, m.in. Fantasy Filmfest w Niemczech oraz Night Visions w Finlandii. Pomimo mieszanych recenzji krytyków, „Tragedia..." została nawet wyróżniona nominacjami do dwóch nagród filmowych.

W tym samym roku opublikowano w Stanach książkę „Dead Mountain: The Untold True Story of the Dyatlov Pass Incident", w której autor - Donnie Eichar, amerykański producent filmowy - postawił hipotezę, że za opuszczenie namiotu w panice przez uczestników wyprawy odpowiedzialne były infradźwięki - fale akustyczne, których częstotliwość jest za niska, aby usłyszał je człowiek. Eichar za źródło owych fal uznał wiatr i ukształtowanie terenu.

Z kolei w książce Alice Lugen „Tragedia na Przełęczy Diatłowa. Historia bez końca" (wydanie polskie - 2024 r.) autorka snuje rozważania o biurokratycznym chaosie, zimnowojennej histerii i politycznych rozgrywkach wśród towarzyszy. Zamiast horroru z paranormalnym tłem dostajemy biurokratyczny thriller.

Na cześć partii

Nie znaczy to, że nie ma „poważnych" teorii na temat uralskich wydarzeń. Ale na początek tło historyczne. 23 stycznia 1959 r. grupa dziewięciu studentów i absolwentów Uralskiego Instytutu Politechnicznego w dawnym Swierdłowsku (dziś Jekaterynburg) wyruszyła na narciarską wyprawę w północną część Uralu. Towarzyszył jej 37-letni przewodnik Siemiona Zołotariowa. Celem wyprawy był szczyt Otorten.

Wszyscy uczestnicy ekspedycji mieli duże doświadczenie w podobnych wyprawach i byli przygotowani na niezwykle surowe warunki, jakie oczekiwały ich zimą w górach Uralu. Igor Diatłow - szef wyprawy - planował przyszłą wyprawę do Arktyki i traktował wypady podobne do wyprawy w okolice Otortenu jako przygotowanie do arktycznej podróży.

Co ciekawe: ekspedycja została zorganizowana z okazji XXI zjazdu KPZR, który odbywał się w Moskwie od 27 stycznia do 5 lutego 1959 r. Co ważne: trasa wyprawy liczyła ponad 300 kilometrów. Po opuszczeniu ostatnich zamieszkanych osad turyści poruszali się po ziemiach należących do ludu Mansów oraz terenach administracyjnie należących do Iwdełłagu, to jest sieci łagrów, podlegających pod miasto Iwdel.

40 kg na plecach

Młodzi ludzie otrzymali pozwolenie na wyjazd z klubu, który w tamtych czasach był instytucją nadzorującą tego rodzaju wyprawy. W ramach klubu sportowego działały sekcje turystyczne, których komisje przyznawały akredytacje, lub odrzucały takie projekty. Jeśli weryfikacja przeszła pozytywnie, grupa otrzymywała dofinansowanie, a po powrocie była zobligowana do złożenia raportu z wyprawy.

Realia wyprawy były dalekie od współczesnych. Nie było oznaczeń na szlakach, sprzętu do łączności ze światem, jednostek ratownictwa górskiego, a aktualne mapy, z których korzystali głównie wojskowi, były utajnione. Obliczono, że plecaki każdego z uczestników ekspedycji ważyły po 40 kg, zaś zrolowany namiot 20 kg. Ochraniacze chroniące przed chłodem, getry i maski na twarze uszyli sami.

Żaden z nich nie posiadał też specjalistycznego sprzętu sportowego. W latach 50. - 60. na górskie wyprawy zabierano kompas i ręcznie rysowane mapy, choć akurat turystyka była wtedy w Związku Radzieckim dyscypliną sportową nagradzaną medalami.

Co to było???

27 stycznia wyprawa wyruszyła w stronę góry Otorten. Następnego dnia jeden z uczestników - Jurij Judin zachorował i musiał zawrócić do Wiżaju. Okazał się jedynym członkiem wyprawy, który pozostał przy życiu. Na podstawie prowadzonego przez turystów dziennika wyprawy wiemy, że 28 stycznia poruszali się wzdłuż rzeki Łozwy, a 29 stycznia i 30 stycznia wzdłuż rzeki Auspii. 31 stycznia ekspedycja dotarła do granicy, gdzie zaczynał się las. Członkowie wyprawy zbudowali mały schron, gdzie pozostawili zapasy żywności na drogę powrotną, po czym kontynuowali podróż. Wieczorem 1 lutego dotarli na zbocze góry Chołatczachl (w języku Mansów „Martwej Góry"). Tam postanowili przeczekać nadciągającą burzę.

Potem stało się coś dziwnego. Zachowane ślady wskazywały, że członkowie ekspedycji nagle opuścili namiot. Pomimo że temperatura tamtej nocy wynosiła między −15 a −18 °C, część z nich była częściowo rozebrana, niektórzy byli boso bądź mieli założony tylko jeden but.

Co więcej: z przeprowadzonej ekspertyzy wynika, że namiot turystów został w dwóch miejscach przecięty nożem od wewnątrz. Od namiotu prowadziły ślady stóp, kierujące się w stronę przeciwnego brzegu przełęczy i odległego o półtora kilometra cedru na krawędzi lasu, jednak po 500 metrach ślady te zniknęły pod śniegiem.

A może hipotermia?

Członkowie ekipy poszukiwawczej z Uralskiego Instytutu Politechnicznego dotarli na miejsce obozu Diatłowców 26 lutego. Znaleźli ślady - nie byli zgodni, czy ślady zostały zostawione przez 8 czy 9 osób - a pod cedrem znaleziono ślady ogniska. Z drzewa obłamano gałęzie do wysokości 4 metrów, na korze znajdowały się ślady krwi i wyszarpanych tkanek miękkich.

Z niewyjaśnionych przyczyn ofiary ścięły nożem ok. 20 choinek i zaciągnęły je po ziemi do jaru, w głębi lasu, a następnie ułożyły je na ziemi w formie prostokąta. Rzeczy turystów znaleziono w namiocie oraz w śniegu, niedaleko od miejsc, w których odkryto zwłoki.

Badania ciał wskazały, że pięć osób zmarło z powodu hipotermii, czyli zamarznięcia. Jedna z osób miała lekko pękniętą czaszkę, inne poparzenia, jednak zdaniem anatomopatologów nie było to obrażenie zagrażające życiu. Cztery pozostałe ciała miały „poważne obrażenia", m.in. strzaskane czaszki i zmiażdżone klatki piersiowe.

50 lat ciszy

Śledztwa wokół tragedii (prowadziła je prokuratura w Swierdłowsku) były wielokrotnie umarzane i ponownie wznawiane. Ostatni protokół zamknięcia dochodzenia został sporządzony 28 maja 1959 r. Według oficjalnej wersji przyczyną śmierci członków wyprawy było „działanie potężnej siły".

Anna Matwiejewa, rosyjska dziennikarka i autorka reportażu śledczego „Przełęcz Diatłowa" twierdzi, że akta śledcze zostały w 1959 r. utajnione na 50 lat, co oznacza w praktyce, że do 2009 r. dostęp do nich nie był możliwy lub wymagał specjalnej zgody prokuratury. Powstaje pytanie: dlaczego?

Obecnie dokumenty śledcze sprawy „o śmierci turystów w rejonie góry Otorten" znajdują się w Państwowym Archiwum Obwodu Swierdłowskiego w Jekaterynburgu. Część dokumentów została sporządzona odręcznym pismem. W aktach znajdują się protokoły sporządzone przez śledczych, mapy, telegramy oraz protokoły zeznań świadków.

Mansowie i wojsko

Co wynika z akt? Rosyjscy badacze Jewgienij Bujanow i Borys Słobcow, którzy dokonali próby rekonstrukcji wydarzeń z 1959 r., czego owocem była w 2011 r. książka „Tajemnica śmierci grupy Diatłowa" dowodzą, że można brać pod uwagę cztery „poważne" wyjaśnienia. Odrzucili wszelkie teorie o zjawiskach paranormalnych, kosmitach, yeti, ukrywających się na Uralu nazistach i zemście KGB.

Wedle nich obóz Diatłowców mogli zaatakować Mansowie poirytowani faktem, że wędrowcy wkroczyli na ich tereny. Z drugiej jednak strony liczne przesłuchania Mansów prowadziły do wniosku, że miejscowy raczej lud nie wchodził w konflikty z turystami. Inną przyczyną tragedii mogło być przekonanie Diatłowa i jego ludzi, że z gór schodzi lawina. Lawiny nie było, ale - jak twierdzą Bujanow i Słobcow - nad obozowiskiem mógł w nocy przelecieć wojskowy odrzutowiec, a hałas silnika mógł być zinterpretowany jako huk schodzącej lawiny.

Idźmy dalej: członkowie innej ekspedycji, przebywającej w tym czasie 50 kilometrów na południe od przełęczy, opowiadali o dziwnych „pomarańczowych kulach", jakie widzieli na niebie na północ od swojej pozycji. Wyciągnięto zatem wniosek, że tragedia była efektem wojskowych eksperymentów lub ćwiczeń. Teoria ta została odrzucona przez wojskowych: wedle nich podobne teorie „miałyby być absurdalne".

Badacze wzięli także pod uwagę teorię, która pojawiła się pod koniec lat 90., że uczestnicy wyprawy padli ofiarą tzw. eskadronu śmierci, to jest żołnierzy, których zadaniem było chwytanie więźniów zbiegłych z uralskich łagrów. Teoria pobudza wyobraźnię, ale nie ma na nią żadnych dowodów.

„Deska śnieżna"

W 2019 r. rosyjskie władze, ponoć pod wpływem naukowców ogłosiły plany ponownego zbadania incydentu. Rok później ogłoszono raport, że śmierć wędrowców spowodowała „nieszczęśliwa kombinacja lawiny i słabej widoczności". Państwowa agencja prasowa RIA w lipcu 2020 r., oficjalne podała, że potok śnieżnych płyt, czyli zbitych kawałków lodu i zmrożonego, twardego śniegu, zaskoczył śpiące ofiary i zmusił je do szukania schronienia na pobliskim grzbiecie górskim.

Mając widoczność ograniczoną do kilkunastu metrów, wędrowcy zamarzli na śmierć, próbując przedostać się z powrotem do namiotu. Biorąc pod uwagę brak „kluczowych szczegółów naukowych" w oficjalnych ustaleniach, jak również notoryczny „brak przejrzystości" rosyjskiego rządu, wyjaśnienie to nie zdołało jednak uciszyć ludzkiej ciekawości.

Zwłaszcza że do tajemnicy z 1959 r. doszła kolejna: 5 sierpnia 1993 r. miał miejsce „incydent" w górach Chamar-Daban. 7-osobowa grupa turystów prowadzona przez doświadczoną instruktorkę Ludmiłę Korowinę, prawie w całości zginęła tragicznie i w nieznanych okolicznościach. Ze względu na zbieżność zdarzeń, wydarzenie to nazwano „Przełęczą Diatłowa Buriacji".

eprasa.pl ab42b3e2ca

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

40 urodziny Janusz Marciniaka w domu Kazimierza Deyny w San Diego

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Trofea w domu Kazimierza Deyny w San Diego

„MIAŁ ŁZY W OCZACH, CHCIAŁ WROCIĆ DO POLSKI, DO RODZINNEGO MIASTA”

To opowieść o wielkim talencie, sławie i tragicznym końcu. Pochodzący ze Starogardu Gdańskiego Kazimierz Deyna stał się symbolem potęgi polskiego futbolu. Rozumiał piłkę, jak mało kto. Na murawie brylował. W życiu, poza boiskiem mówiło się, że nie zawsze umiał sobie poradzić. Był małomówny, skryty, może nieśmiały i łatwo ulegał różnym pokusom...

Kinga Furtak

Wracał autostradą do domu w San Diego. Jechał szybko, zbyt szybko. Mówi się, że nie zauważył zaparkowanej na skrajnym pasie ciężarówki, która miała włączone światła awaryjne. Może zasnął za kierownicą... Jego dodge colt z impetem uderzył w pojazd. Kazimierz Deyna zginął na miejscu. Wiadomo, że w czasie, kiedy doszło do tragedii, borykał się z problemami w życiu prywatnym. Policja nie stwierdziła śladów hamowania. Był 1 września 1989 roku...

Był unikatowy

Mówili o nim „generał”, „dyrygent”, „król środkowego pola”. Wciąż jest uznawany za najlepszego polskiego piłkarza. Popularny „Kaka” urodził się w Starogardzie Gdańskim, w 1947 roku. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Miał ośmioro rodzeństwa. Ojciec pracował w mleczarni, a matka zajmowała się domem.

Jako mały chłopak, grał na podwórku w piłkę nożną, przykuł uwagę działaczy nieistniejącego już klubu Włókniarz Starogard Gdański. Trenerem, który w niego uwierzył i pozwolił dołączyć do drużyny, był Henryk Piotrowski. Tu rozpoczęła się jego historia

W kolejnych latach rozwijał sportowe skrzydła i wspinał się na sam szczyt.

Przez większość kariery Kazimierz Deyna był związany z Legią Warszawa, z którą zdobył dwa tytuły mistrza kraju w 1969 i 1970 r. oraz Puchar Polski w 1973. W 1970 r. stołeczny klub awansował do półfinału rozgrywek o Puchar Europy, którego dzisiejszym odpowiednikiem jest Liga Mistrzów.

Dzięki swojej grze w Legii stał się jej największą legendą. Żaden inny legionista nie doczekał się pomników.

Przez lata starały się o niego największe kluby europejskie: Real Madryt, AC Milan, Inter Mediolan, Bayern Monachium czy AS Monaco. Jednak władze PRL nie pozwalały mu na wyjazd z kraju do innego klubu. Udało się to w 1978 roku. Deyna trafił do angielskiego Manchesteru City. Gdy pojawiła się okazja transferu do Stanów Zjednoczonych, skorzystał z niej. Grał tam w barwach San Diego Sockers i rozpoczął swoje amerykańskie życie. Polonia trzymała się wtedy razem. Były spotkania, urodziny, wyjazdy.

- Spotkałem Mariolę Deynę na przyjęciu, na którym bawiła się Polonia – wspomina Janusz Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny. – Kazika wtedy nie było. Grał mecz na wyjeździe. Impreza się skończyła i okazało się, że nie ma nikogo, kto mógłby zawieźć Mariolę do domu. Zapytała, czy mogę jej pomóc. Zgodziłem się. Pod domem wymieniliśmy się numerami telefonów. Mariola zadzwoniła za tydzień. Zapytała, czy mógłbym odwieźć Kazika na lotnisko, bo leci na mecz. Zgodziłem się natychmiast, czekałem na moment, w którym mógłbym go poznać.

eprasa.pl ab42b3e2ca

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Janusz Marciniak, przyjaciel Kazimierza Deyny ze Stanów Zjednoczonych

FOT.ARCHIWUM PRYWATNE

Kazimierz Deyna z żoną Mariolą

Tak się zaczęła nasza znajomość. Coraz częściej odwoziłem go i odbierałem z lotniska. Po drodze zawsze kupował kwiaty dla Marioli. Zaczęliśmy spędzać więcej czasu, lubiliśmy rozmawiać. Nasza znajomość się zacieśniała. Kazik szczególnie lubił spędzać wolny czas na bajecznej wyspie Coronado. Jeździliśmy tam w trójkę z jego żoną. Spotykaliśmy się regularnie 2-3 razy w tygodniu. W dniu 40 urodzin zrobił mi wielką niespodziankę. Zaprosił do siebie do domu, a tam przygotował przyjęcie. Był tort, szampan i miła atmosfera. Wzruszyłem się... Kazik był gwiazdą, ale nie udawał gwiazdy. Nigdy nie stał się celebrytą. Był niesamowicie skromny. Między nami nawiązał się szczery kontakt od samego początku. Było zaufanie i szczerość. Tak, tam była po prostu prawdziwa szczerość... Kazik bardzo to cenił.

Wśród Polonii były osoby, które dzięki znajomości z krajanem chciały coś zyskać. Najczęściej były to darmowe wejściówki na mecz.

- Ja nie prosiłem o takie rzeczy - wspomina Janusz Marciniak . - Mówiłem Kazikowi, że sam kupię bilet. Później przestałem to robić, bo nalegał, by mi je sprezentować. Dał mi też swoją kartę wjazdową na parking przy stadionie (na wystawie w niedawno otwartym starogardzkim Centrum Deyny można zobaczyć kopię tej wjazdówki). Nasza znajomość trwała długie lata. Mieliśmy plany, by razem przyjechać do Polski odwiedzić rodzinne jego strony... Bardzo tego pragnął. Czuł swoje korzenie. Niestety, to się nie udało.

W rodzinie Deynów z czasem pojawił się kryzys. Stało się to w czasie, gdy został oszukany i stracił wszystkie pieniądze.

- Po meczach coraz częściej wracał do mojego domu - wspomina nasz rozmówca. - Na dwa tygodnie przed jego śmiercią widzieliśmy się po raz ostatni. Wyglądał już inaczej, inaczej też się zachowywał. Wiadomo było, że jest źle. Mówił prawdę, ale nie narzekał. Powiedział, że rozstał się z Mariolą. 1 września o 6 rano dostałem telefon od jego nowej partnerki. Powiedziała, że Kazik nie żyje...

- Kaziu zapisał piękną kartę w historii w futbolu. Na cztery dni przed jego śmiercią złożyłem mu propozycję, aby wrócił do kraju i dołączył do mojego sztabu w reprezentacji Polski. Było to w obecności ówczesnego prezesa związku Kazia Górskiego. Uważałem, że po tym, jak okradł go pan Miodonski, była potrzebna mu pomoc... - opowiada nam Andrzej Strejlau, który przez wiele lat współpracował z ikoną Legii. - Gdyby mnie posłuchał i wrócił do kraju, to by żył.

Upamiętnienie legendy

Prezydent miasta z gronem współpracowników zastanawiał się, w jaki sposób uhonorować Kazimierza Deynę. W Starogardzie Gdańskim była już ścieżka edukacyjna poświęcona piłkarzowi. Zaczyna się przy jego domu rodzinnym, który ozdobiony jest muralem z jego podobizną. A ostatnim miejscem na szlaku jest stadion miejski noszący imię Kazimierza Deyny. Jest tam również jego rzeźba, która „siedzi" na stadionowej trybunie. W mieście jest również jego rondo.

- Poseł Kazimierz Smoliński zaproponował, by powstało centrum imienia naszego znakomitego piłkarza, które byłoby poświęcone tej wybitnej postaci - wspominał Janusz Stankowiak podczas uroczystości otwarcia Centrum Deyny.

Od samego progu centrum można stajemy się świadkiem wielkiej historii i czujemy ją na własnej skórze. Przekraczając próg multimedialnej wystawy przenosimy się w czasie. Klubowa szatnia, gdzie wiszą koszulki wybitnego piłkarza i sam Deyna uśmiechnięty z ekranu szykujący się do sportowych rozgrywek. Z szatni wychodzimy wprost na boisko. Wita nas tłum kibiców Legi, którzy skandują swoją pieśń - „Deyna Kazimierz! Nie rusz Kazika, bo zginiesz" po tak energetycznym wstępie emocje wzrastają. Czuć, że to będzie wielka przygoda.

- Tu wracają wspomnienia z czasów młodości - mówi Marek Chabowski, który już pierwszego dnia po otwarciu odwiedził Centrum Edukacyjno-Sportowe im. Kazimierza Deyny. - Doskonale pamiętam moment, w którym poznałem tatę Kazimierza Deyny. Pracował wówczas w jednym zakładzie z moim ojcem. Któregoś dnia, obaj po pracy przyszli do naszego domu. Mieliśmy biało-czarny telewizor, którego Deynowie nie mieli. Siedziałem obok pana Franciszka, który z dumą patrzył na poczynania syna na boisku. Jak usłyszał słowa komentatora Jana Ciszewskiego, że Kaziu rządzi środkiem pola, to zakręciły mu się łzy w oczach. Kazika wszyscy kochali w Starogardzie - wspomina. - Dwa lata temu byłem w muzeum Ronaldo na Maderze. Obiekt ze Starogardu Gdańskiego jest również na wielkim poziomie, jestem pod wrażeniem, że coś takiego powstało w naszym mieście.

STARAŁY SIĘ O NIEGO NAJWIĘKSZE KLUBY EUROPEJSKIE. JEDNAK WŁADZE PRL NIE POZWALAŁY MU NA WYJAZD Z KRAJU DO INNEGO KLUBU

WŚRÓD POLONII BYŁY OSOBY, KTÓRE DZIĘKI ZNAJOMOŚCI Z KRAJANEM CHCIAŁY COŚ ZYSKAĆ. NAJCZĘŚCIEJ BYŁY TO DARMOWE WEJŚCIÓWKI NA MECZ

Te słowa potwierdzają również eksperci.

- Kilka lat temu dowiedziałem się, że w Starogardzie Gdańskim ma powstać muzeum poświęcone Deynie. Stwierdziłem, że pomogę przy realizacji tego przedsięwzięcia. Nasza współpraca trwała ponad dwa lata. Teraz wszędzie oszczędza się pieniądze i myślałem, że będzie to skromny obiekt. Ale to, co zobaczyłem w lipcu 2025 roku wprowadziło mnie w osłupienie. Muzeum wygląda imponująco - podkreśla Stefan Szczepłek guru dziennikarstwa sportowego, pisarz, komentator sportowy, historyk piłki nożnej. - Starogard Gdański nie jest wielkim miastem, a ma wielkie muzeum. Miejsce jest fenomenalne.

Wiele pamiątek w Centrum Deyny pochodzi od jego przyjaciela z San Diego - Janusza Marciniaka.

- Gdy tylko dowiedziałem się, że powstaje takie miejsce, to od razu wiedziałem, że chcę przekazać pamiątki. Są cenne i chcę, żeby przetrwały - przyznaje. - Wśród nich są koszulki, w których grał Kazik, proporczyki, zdjęcia. Centrum jest przepiękne. To światowa klasa! Jest tu po prostu wspaniale i trzeba chwalić się tym miejscem.

Jest też mnóstwo innych pamiątek również tych bardzo osobistych. Można tu zobaczyć pozew rozwodowy od jego żony Marioli.

Na wystawie znalazła się m.in. Brązowa Piłka redakcji „Kicker" za trzecie miejsce w plebiscycie na najlepszego piłkarza świata w 1974 roku, piłka z autografami Orłów Górskiego z mundialu 1974, buty Huragan oraz proporczyk Zakładowego Klubu Sportowego Włókniarz, w którym stawiał swoje pierwsze kroki. A to dopiero początek tej historii

Przestrzeń pełna wspomnień

Na parterze Centrum Deyny uwagę przyciąga wielofunkcyjna sala szkoleniowa - serce obiektu. To tu odbywać się będą spotkania, wykłady, szkolenia i zajęcia teoretyczne nie tylko członków Akademii Piłkarskiej Deyna. Obok znajduje się reprezentacyjny hol z częścią wystawienniczą i sklepikiem z pamiątkami sportowymi.

Piętro to miejsce na chwilę oddechu - klubokawiarnia zaprasza na kawę, a przestrzeń ekspozycyjna prowadzi wprost do świata Kazimierza Deyny. Multimedialna wystawa, uzupełniona unikatowymi pamiątkami, pozwala zanurzyć się w historii piłkarza, który rozsławił polski futbol na całym świecie.

To miejsce, które ma łączyć pokolenia: od najmłodszych adeptów piłki nożnej, przez kibiców, po mieszkańców szukających przestrzeni spotkań i inspiracji.

Ważnym elementem projektu Centrum Deyny jest Akademia Piłkarska Deyny, którą prezydent miasta powołał w październiku 2024 r. Z ideą jej powołania i celami, jakie stawiają sobie i swoim podopiecznym operatorzy Akademii, uczestnicy otwarcia Centrum Deyny zapoznali się poprzez krótką prezentację filmową.

Jak powiedział jeden z jej operatorów Karol Kolasiński - Akademia Deyny to nowoczesny klub sportowy, którego filarem jest marzenie Kazimierza Deyny o powrocie do Polski i założeniu szkółki piłkarskiej. Kazimierz Deyna symbolicznie wrócił do swojego rodzinnego miasta. Jego historia nigdy nie zginie.©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

Express Bydgoski
Piątek, 30.01.2026

Oglądaliście serial „Niebo” na HBO? Ten wywiad może was zaniepokoić – i bardzo dobrze. Bo sekty rzadko wchodzą w życie ludzi przez religię czy wielkie deklaracje wiary. Zaczynają delikatnie: od obietnicy sensu, poczucia przynależności, bezpieczeństwa i bycia „kimś ważnym”. O mechanizmach psychomanipulacji, o tym, dlaczego w sektę może wpaść niemal każdy z nas, oraz dlaczego osoby, którym udało się z niej odejść, zamiast wsparcia często spotykają się z pogardą, opowiada psychoterapeuta Dariusz Pietrek

Jolanta Tęcza-Ćwierz

SERIAL „NIEBO” TO NIE FIKCJA. SEKTY BYŁY, SĄ I BĘDĄ, A W CZASACH KRYZYSU KOŚCIOŁA MAJĄ IDEALNE WARUNKI DO DZIAŁANIA

Czy problem sekt w Polsce jest nadal aktualny?
Jak najbardziej. Co więcej, wydaje mi się, że przy obecnym gigantycznym kryzysie Kościoła, szczególnie rzymskokatolickiego, problem sekt będzie narastał.

Co ma do tego Kościół katolicki?
Człowiek ma w sobie potrzebę przynależności, duchowości, a często także religijności i rytuału. Sekty to oferują - przynajmniej w wersji „pseudo”, jako coś zastępczego. Dziś, gdy mówi się o Kościele czy księżach, bardzo szybko pojawia się temat pedofilii, bo to właśnie skandale dominują w przekazie. Tymczasem sekty często oficjalnie deklarują bardzo wysokie normy etyczno-moralne, a człowiek potrzebuje autorytetu. Dla wielu młodych ludzi Kościół nie jest żadną atrakcją. Autorytetem staje się streamer, youtuber, tiktoker, celebryta. W takiej rzeczywistości sekty mają wręcz idealne pole do działania. Co ważne, bardzo często nie posługują się językiem religijnym, zamiast tego sięgają po terminologię psychologiczną czy psychoterapeutyczną, używają określonych słów, kluczy i haseł.

A konkretnie? Jakie mechanizmy psychomanipulacji stosują sekty, by przyciągnąć i utrzymać nowych członków?
Na początku bardzo często jest to oferta zupełnie neutralna: zaproszenie na spotkanie, koncert, odczyt czy wykład. Nierzadko łączy się to z innym elementem, na przykład z tzw. metodą flirtu. Do mężczyzn podchodzą kobiety, zapraszają na wydarzenie, a przy okazji nawiązuje się rozmowa. Gdy do mężczyzny podchodzi atrakcyjna kobieta, uruchamia się tzw. efekt kogucenia: klatka do przodu, piórka w górę i opowiadanie kompletnych bzdur. Zresztą to działa również w drugą stronę. Potem pojawia się zaciekawienie: „Fajna osoba, może się spotkamy, pogadamy, co mi szkodzi, to przecież za darmo”. Wreszcie zaczyna się delikatne bombardowanie miłością: „Cieszymy się, że jesteś”, „To naprawdę świetna grupa ludzi”, „Rozmawiamy o ciekawych sprawach”. To nie wygląda tak, jak niektórzy sobie wyobrażają, że ktoś podaje rękę i mówi: „Cześć, mam na imię Darek, jestem werbownikiem do sekty i chciałbym cię zwerbować. Będziesz u nas wykorzystywany fizycznie, psychicznie i finansowo. Spotykamy się w piątek o 16 na Długiej w Krakowie”. To są metody subtelne. Nie porusza się tematów Boga, zbawienia czy potępienia. Jest otwartość, akceptacja, radość z tego, że jesteś.

W skrócie mówiąc, sekty wykorzystują nasze potrzeby emocjonalne, społeczne i duchowe.
A kto ich nie ma?

Wszyscy je mamy. Ale jak odróżnić zdrowe zaangażowanie religijne lub społeczne od manipulacji i izolacji charakterystycznych dla sekt?
Różnica między sektą a religią sprowadza się przede wszystkim do struktury władzy, stosunku do społeczeństwa i zakresu kontroli nad członkami. Religie są zazwyczaj otwarte, mają rozbudowaną hierarchię i są osadzone w tradycji. Sekty natomiast funkcjonują w sposób zamknięty, często koncentrują się wokół charyzmatycznego lidera, stosują manipulację - wzbudzanie poczucia winy, pranie mózgu - i dążą do izolowania swoich członków. Na początku komunikat bywa bardzo atrakcyjny: „Jesteśmy wyjątkową grupą. Mamy cel. Dążymy do Boga, prawdy, miłości. Jesteśmy dla siebie braćmi i siostrami”. A potem, bardzo powoli, metodą kropelkową, zaczyna się zmieniać doktrynę. Dochodzą nowe elementy, nowe rytuały. Miałem kiedyś pacjentkę, którą otrzeźwiła konkretna sytuacja. Ksiądz z katolickiej wspólnoty stworzył obrzęd przysięgi: na ołtarzu leżało Pismo Święte, ona położyła na nim rękę i miała przysięgać, że do końca życia będzie należeć do tej wspólnoty. I tu dotykamy kluczowej kwestii - wolności. W zdrowej wspólnocie nie muszę zrywać kontaktów z kimkolwiek, mogę prowadzić swoje życie, realizować różne aktywności. Nie muszę pracować w instytucji prowadzonej przez daną grupę. W sektach zdarzają się wyznaczane małżeństwa, nakazy odcinania się od rodziny, zwłaszcza jeśli ktoś jest niewierzący albo należy do innej wspólnoty. W normalnej wspólnocie w każdej chwili mogę odejść, bez krytyki i potępienia. Inaczej jest choćby u Świadków Jehowy, gdzie funkcjonuje wykluczenie. Osoba, która odchodzi, skazana jest na całkowity ostracyzm: nikt nie porozmawia z nią nawet na ulicy. A przecież w zdrowej relacji mogę przynależeć i w każdej chwili odejść. Mogę się spotykać, dyskutować, zadawać trudne pytania, czytać różną literaturę - i to jest właśnie poczucie wolności. Oczywiście to poczucie wolności można pozornie podtrzymywać, jednocześnie krok po kroku je odbierając. Jedna z metod werbunku nazywa się metodą salami. Dobre węgierskie salami najlepiej smakuje pokrojone w cieniutkie plasterki - im cieńsze, tym łatwiej je przełknąć. I dokładnie tak wygląda wkładanie komuś określonych treści do głowy.

Jak wygląda proces werbunku?
To nie jest proces masowy, tylko indywidualny. Werbownik nie musi znaleźć dziesięciu osób, jeśli znajdzie dwie, to już jest sukces. Przykładem był Kościół Zjednoczeniowy, który działał pod różnymi organizacjami fasadowymi, takimi jak Stowarzyszenie Rodzin na rzecz Pokoju Światowego czy Stowarzyszenie Studentów na rzecz Pokoju Światowego. Organizowali rozmaite spotkania, na które ludzie dostawali zaproszenia. Na przykład „wieczór japoński”: dwie Japonki, rzekomo z Uniwersytetu Tokijskiego - choć mam wątpliwości, czy kiedykolwiek były w Tokio - opowiadały o kulturze, tradycji, śpiewie. Przywiozły kimona, puściły japońską muzykę, ludzie zjedli sushi, porozmawiali. A potem uczestnicy dostawali zaproszenie na wyjazd do Glanowa na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, na tak zwany wieczór studencki. Z czym się pani kojarzy wieczór studencki?

Z imprezą.
Dokładnie. Grill, beczki z piwem, muzyka, zabawa. A na miejscu okazywało się, że nie ma ani grilla, ani piwa. Zamiast tego był wykład prowadzony przez „bardzo znaną osobę”. Tematy? Ekologia, rozwój wewnętrzny, rozwój osobowości, radykalne wybaczanie, medycyna totalna, medycyna niekonwencjonalna. Jeśli spośród kilku osób znalazła się jedna zainteresowana, słyszała: „Zostań. Mamy teraz szkolenie. Współpracujemy z twoją uczelnią, załatwimy usprawiedliwienie nieobecności”. I w ten sposób człowiek powoli wsiąkał.

Jak sekty wpływają na relacje rodzinne i społeczne takich osób?
Nadają życiu pseudosens. Proszę sobie wyobrazić codzienność: praca, w domu mąż, dziecko, którym trzeba się zająć, ugotować obiad, ogarnąć kolejne obowiązki. I nagle pojawia się ktoś, kto zaprasza na wykład, spotkanie albo koncert, gdzie mówi się o rzeczach „wyjątkowych”. A ludzie bardzo potrzebują poczucia wyjątkowości, chcą usłyszeć, że są kimś szczególnym. I wtedy ktoś mówi: „Jesteś wyjątkowa. Masz niesamowity dar. Ja to czuję - masz energię, masz moc. Możesz to robić. Możesz nam pomóc. Dzięki tobie życie wielu ludzi będzie wspaniałe”.

Słysząc to, też bym się nabrała.
Zawsze powtarzam: najważniejszym człowiekiem w twoim życiu jesteś ty. Nie mąż, nie dzieci, nie matka czy ojciec. Jezus Chrystus powiedział: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. Jeśli chcesz dobrze żyć, zacznij od siebie - zadbaj o swoje bezpieczeństwo, komfort, granice. Dopiero gdy potrafisz zadbać o siebie, będziesz umiała zadbać o innych.

I będę wtedy bezpieczniejsza, mniej podatna na te wszystkie czarujące słowa?
Tak, o ile jest to zdrowy mechanizm. Wtedy mam poczucie własnej wartości, wiem, kim jestem i co mam w sobie. Potrafię się bronić, bo nie boję

eprasa.pl ab42b3e2ca

Serial Niebo. Rok w piekle (Fot. Marcin Makowski / HBO Max)

się zadawać pytań. A tu pojawia się „mistrz", „guru", ktoś z piękną stroną internetową, organizujący obozy, wyjazdy, autor dwóch książek. Ktoś, kto „się zna" i posługuje się językiem, który nie do końca jest zrozumiały. Ale potrafi pociągnąć za sobą ludzi. A oni są w stanie zostawić wszystko, byle z nim być.

Brzmi tak prosto, że aż trudno uwierzyć, że działa.
Najprostsze narzędzia są najskuteczniejsze. Właśnie dlatego działają. Gdy ktoś już jest w takiej organizacji, uruchamia się kolejny mechanizm: czarno-biały podział świata. My i oni. Metoda jest banalnie prosta – polaryzacja. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Dam przykład. Świadkowie Jehowy mieli zakaz organizowania zgromadzeń, więc zaczęli urządzać manifestacje, twierdząc, że ogranicza się ich prawa. Wiedzieli, że wtedy musi zareagować policja. A gdy policja się pojawiała, pokazywali to jako prześladowanie „dla imienia Bożego", powołując się na Ewangelię: „Będziecie prześladowani dla imienia mojego". Proste, prawda?

Można się obronić? Jakie są metody profilaktyki wobec manipulacji sekt?
Manipulować można każdym. Jedynym realnym mechanizmem obrony jest wiedza, ale nie ta z internetu czy wygenerowana przez sztuczną inteligencję, tylko wiedza z książek pisanych przez fachowców. Często jestem zapraszany do szkół i pytam uczniów: „Czy was dałoby się wciągnąć do sekty?". Zwykle odpowiadają: „Nie, nigdy, bo ktoś musiałby mówić o Bogu". Wtedy pytam: „A czy można wami manipulować?". Odpowiadają, że tak. I wtedy mówię: „Właśnie dlatego można was wciągnąć do sekty, bo werbunek to forma manipulacji". Metod jest wiele, bo ludzie mają różne potrzeby i różne deficyty. Dlatego trzeba nauczyć się weryfikować, myśleć samodzielnie, a bez rzetelnej wiedzy po prostu się nie da.

Jak często spotyka się pan z osobami, które potrzebują pomocy po pobycie w sekcie albo w związku z próbą werbunku?
Odbieram miesięcznie około 10-15 telefonów w sprawie dorosłych osób zaangażowanych w tego typu grupy. Niestety, pomoc w takich przypadkach jest bardzo ograniczona. Dzwonią zaniepokojone rodziny, często rozgoryczone brakiem narzędzi prawnych pozwalających „wyciągnąć" bliskich z sekty. Wynika to z faktu, że są to osoby pełnoletnie, chronione obowiązującym prawem. Kiedy dzwoni do mnie matka i mówi: „Mój syn ma 32 lata, wszedł do takiej grupy, co ja mam zrobić?", odpowiadam wprost: to jest dorosły człowiek, to jego decyzja. W 1992 roku założyłem Śląskie Centrum Informacji o Sektach i Grupach Psychomanipulacyjnych w Katowicach. Gdy rozpoczęły się bardzo poważne prace nad ustawą o ochronie i przeciwdziałaniu prześladowaniom chrześcijan w kraju, a jednocześnie nie było żadnego realnego zainteresowania tą tematyką ze strony Kościoła, państwa czy prawa, doszedłem do wniosku, że nie chcę być utożsamiany z działalnością środowisk skrajnie prawicowych. Przez lata czułem się jak Don Kichot, pozbawiony jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz. W efekcie w 2022 roku podjąłem decyzję o zamknięciu Centrum.

I tak długo pan wytrzymał.
Może jestem uparty, a może kierowała mną chęć pomagania ludziom. Mimo że Centrum zostało zamknięte, nadal odbieram telefony i staram się pomagać, bo zwyczajnie nie ma dokąd tych ludzi odesłać. Ośrodki dominikańskie, które kiedyś działały w Polsce, w większości zostały zlikwidowane. Pracujący tam ludzie najpewniej mieli podobne poczucie co ja – że to walka z wiatrakami.

Skąd ten brak zainteresowania, skoro, jak pan mówi, sekty wciąż są realnym problemem?
Musiałoby wydarzyć się coś spektakularnego. Ktoś musiałby kogoś zabić, uprowadzić dziecko, musiałoby dojść do rytualnego samobójstwa. Jeśli jakiś temat staje się medialny, media rzucają się na niego jak hieny, bo da się na nim zarobić. Natomiast to, że ludzie tracą majątki, że rozpadają się małżeństwa, że matki porzucają małe dzieci, bo poznały jakiegoś guru – to już nikogo nie interesuje. Sam problem nie jest medialny – sekty były, są i będą. Na Śląsku w latach 1996-2002 mieliśmy potężną falę zainteresowania okultyzmem, ezoteryką, a zwłaszcza satanizmem. W 1996 roku nieżyjący już Roman Kostrzewski odprawił pierwszą czarną mszę na wieży Bismarcka w Jarocinie i zaczęła się moda na satanizm. Niektórzy księża ostrzegali przed tym zjawiskiem, ale temat naprawdę ruszył dopiero wtedy, gdy w Rudzie Śląskiej dwoje młodych ludzi w bestialski sposób zamordowało dwoje swoich przyjaciół podczas odprawiania rytu satanistycznego w bunkrach. Pentagram do dziś jest tam wymalowany na podłodze. Później pojawiło się larum wokół napływu różnych wspólnot hinduistycznych i buddyjskich: ruchu Hare Kryszna, Misji Czaitanii, działalności Ole Nydahla, który wprowadzał w Polsce buddyzm tybetański szkoły Karma Kagyu jako nauczyciel medytacji. Wytworzył się front, według którego wszystko, co niekatolickie, było sektą. Zielonoświątkowcy, baptyści, wolni chrześcijanie – wszyscy trafiali do jednego worka. Granice się otworzyły, rzeczywistość się zmieniła, zaczęli napływać ludzie i idee. A od tamtego mordu satanistycznego, który był niezwykle silnym akcentem, rozpoczęła się w pewnym sensie nagonka na wszystko, co niekatolickie. Dziś pracuję jako psychoterapeuta i nie jest tak, że obraziłem się na państwo, Kościół czy ludzi. Absolutnie nie. Po prostu doszedłem do wniosku, że ta formuła się wyczerpała, zwłaszcza że nikt nie udzielił mi pomocy w momencie, gdy ja i moja rodzina byliśmy prześladowani przez sektę. Zainteresowanie moją sytuacją wykazał redaktor „Gazety Wyborczej" Marcin Pietraszewski, a pomoc w kwestiach prawnych otrzymałem od księdza arcybiskupa Damiana Zimonia.

Jak w społeczeństwie postrzegani są byli członkowie sekt?
Alkoholik, który podjął leczenie, bywa postrzegany jak bohater, który odrzuca nałóg i zmienia swoje życie. Z narkomanem jest podobnie. Natomiast człowiek, który był w sekcie, najczęściej uchodzi za idiotę. Pojawia się myślenie: „Jak można było dać się wkręcić w takie bzdury? Trzeba być kompletnym debilem".

Ostatnio, za sprawą serialu HBO, głośno zrobiło się o sekcie „Niebo", opisanej przez Sebastiana Kellera. Czym się charakteryzowała?
Zbór Leczenia Duchem Świętym „Niebo" to wspólnota wyznaniowa działająca w Polsce od 1990 roku w Majdanie Kozłowieckim, kierowana przez Bogdana Kacmajora. Działy się w niej rzeczy dziwne i realnie niebezpieczne. Członkowie byli przekonani o swojej wyjątkowości i szczególnej bliskości z Bogiem. Nie szczepili się, nie wykonywali badań profilaktycznych, a ich dzieci nie chodziły do szkoły. Gdy policja próbowała wejść na teren wspólnoty, słyszała groźby, że wszyscy się spalą jak Gałąź Dawidowa. W „Niebie" fascynująca jest obsesja na punkcie imion. Nazwa sekty też nie wzięła się „z nieba", tylko od słów „Nie" i „Bo" – żony i męża. Ludzie nazywali się „Apartament nr 8" czy „I Śrubokręt Nie Pomoże". To najlepiej pokazuje, jak ogromny wpływ Kacmajor miał na tych ludzi. Ale takie historie nie są wyjątkiem. Podobne rzeczy działy się i dzieją w wielu sektach: narkotyzowanie, wykorzystywanie seksualne, uwodzenie, przejmowanie majątków...

Jak wygląda proces psychicznego „odczepiania się" od grupy, gdy ktoś już z niej wyszedł?
To temat co najmniej na trzytomową książkę. Po pierwsze, musi pojawić się kryzys, czyli pytania: dokąd ja idę, co się dzieje, o co w tym wszystkim chodzi. Człowiek zaczyna dostrzegać rozdźwięk między tym, co się mówi, a tym, co faktycznie się dzieje. Ktoś jest bliżej lidera, ktoś dalej, jedni mają przywileje, inni muszą robić więcej. Pojawia się krytycyzm. Dopóki ktoś jest zafascynowany i zauroczony, nic do niego nie dociera. Na tym etapie nie da się pomóc. To trochę jak z nieszczęśliwym zakochaniem, kiedy logika nie działa, a emocje buzują. Gdy przychodzi kryzys, pojawia się konflikt lojalności: „Ten człowiek prowadził mnie do Boga, do zbawienia, do pełni osobowości. To moi przyjaciele, spędziłem z nimi dwa lata. Zerwałem kontakt z rodziną, straciłem pieniądze, a teraz mam tak po prostu odejść? Pracę załatwili mi ludzie z tej wspólnoty, pomogli mi z mieszkaniem. Może to oni mają rację? Może mówią prawdę? A może to ja jestem pod wpływem szatana?". Wychodzenie z sekty to proces i absolutnie nie może być w nim presji ani poganiania. Człowiek musi sam dojść do tego, co się z nim dzieje, powoli, krok po kroku. W którymś momencie przychodzi do rodziny i mówi: „Byłem naiwny, łatwowierny, zaufałem tym ludziom. Przepraszam". I wtedy zaczyna się powolna odbudowa. Rodzina może zrobić bardzo dużo: nie zrywać kontaktu, nie obrażać się, ale też nie nawracać na siłę i nie deprecjonować tamtej grupy. To proces niezwykle delikatny.

I zapewne długotrwały.
Jeden ze znawców tematu powiedział kiedyś, że wychodzenie z sekty trwa tyle samo, co pobyt w niej. Nie do końca się z tym zgadzam, ale jedno jest pewne – to proces powolny i wymagający ogromnej cierpliwości. Pośpiech jest tu najgorszym doradcą.

CV

FOT. ARCHIWUM

Dariusz Pietrek
psychoterapeuta, założyciel i wieloletni szef Śląskiego Centrum Informacji o Sektach i Grupach Psychomanipulacyjnych, członek Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, specjalista terapii osób będących w sektach

eprasa.pl ab42b3e2ca

POLSKA *i* ŚWIAT

WARSZAWA

– Wniosek o uchylenie immunitetu posłowi PiS Antoniemu Macierewiczowi trafił we wtorek do Sejmu – potwierdził marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Chodzi o sprawę publicznego znieważenia przez nazwanie agentami rosyjskimi kierownictwa SKW podczas posiedzenia Sejmu we wrześniu 2025 r. Marszałek poinformował, że skierował wniosek do Biura Legislacyjnego oraz do Biura Ekspertyz i Oceny Skutków Regulacji.

„Inicjatywa w sprawie Rady Pokoju leży po stronie prezydenta Karola Nawrockiego

Radosław Sikorski, wicepremier, szef MSZ

KRÓTKO

USTKA

Areszt dla funkcjonariusza SOP

Sąd Rejonowy w Słupsku zastosował w czwartek tymczasowe aresztowanie na trzy miesiące wobec 44-letniego funkcjonariusza Służby Ochrony Państwa. Mężczyzna jest podejrzany o zabójstwo czteroletniej córki i usiłowanie zabójstwa czworga członków swojej rodziny: żony, syna i teściów.

Sędzia Ryszard Błencki na posiedzeniu bez udziału publiczności przychylił się do wniosku Prokuratury Okręgowej w Słupsku i zaaresztował na trzy miesiące 44-letniego Piotra K.

– Sąd uwzględnił nasze przesłanki, które wskazaliśmy we wniosku, w tym grożącą wysoką karę i wysoki stopień uprawdopodobnienia podejrzenia popełnienia zarzucanych mu zbrodni, jak również obawę matactwa i wpływania na przebieg postępowania – przekazała po wyjściu z posiedzenia aresztowego prowadząca śledztwo prokurator Magdalena Gadoś. Piotr K. zostanie osadzony w Areszcie Śledczym w Słupsku.
PAP

WARSZAWA

Spotkanie u prezydenta

Karol Nawrocki zaprosił przedstawicieli wszystkich klubów i kół parlamentarnych na spotkanie w Pałacu Prezydenckim. „Udało się poruszyć ważne sprawy dla państwa. Rozmawialiśmy m.in. o przyszłości przedsiębiorstw, cenach prądu, edukacji zdrowotnej" – powiedział po spotkaniu Grzegorz Płaczek z Konfederacji.

FOT. PAP/MARCIN OBARA

WARSZAWA

Kaczyński trafił do szpitala

Informacje o hospitalizacji Jarosława Kaczyńskiego potwierdził rzecznik PiS Rafał Bochenek. „Pan premier Jarosław Kaczyński przebywa w szpitalu na badaniach w związku z infekcją. Taki mamy w Polsce chorobowy czas. Zakładamy, że wszystko potrwa kilka dni. Zdarza się nawet naszemu liderowi. Przestrzegam przed nadmiernymi emocjami i nieuzasadnionymi wnioskami. Wszyscy działamy zgodnie z planem" – napisał na platformie X.

Poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk powiedział, że „stan prezesa może być poważniejszy". – Są też informacje o tym, że to może być nawet zapalenie płuc. Skoro znalazł się w szpitalu, to rozumiem, że to wygląda na poważną sprawę –mówił w Polskim Radiu 24.

Wiceminister rolnictwa: Każdy pies będzie zaczipowany

Adam Kielar
Warszawa

W tym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk w całym kraju – zapowiedział w czwartek główny lekarz weterynarii Paweł Meyer. Ma dotyczyć m.in. nadzoru nad placówkami.

W czwartek (29 stycznia) w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi w Warszawie przedstawiono wyniki kontroli przeprowadzonych w schroniskach dla zwierząt. W konferencji uczestniczą: główny lekarz weterynarii Paweł Meyer oraz wiceministrowie: Jacek Czerniak (MRiRW) i Tomasz Szymański (MSWiA).

Jak podkreślił Meyer, wykonano 368 kontroli, dwie jeszcze są realizowane, a w 40 miejscach stwierdzono nieprawidłowości. Zapowiedział także audyt wszystkich schronisk w Polsce.

- W tym celu w bieżącym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk, całego nadzoru nad schroniskami we wszystkich województwach w całym kraju i będzie on obejmował wymagania w tym zakresie, jak również pozwoli nam ocenić system nadzoru i procedury nadzoru dotyczące tego zagadnienia – powiedział.

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Jacek Czerniak i Paweł Meyer podsumowali kontrole przeprowadzone w schroniskach dla zwierząt

Zamknięte schronisko w Sobolewie

W ostatnim czasie szerokim echem w mediach odbiła się sprawa schroniska dla zwierząt w Bytomiu (woj. śląskie). Dochodzenie w sprawie znęcania się nad zwierzętami w tej placówce prowadzi mysłowicka policja pod nadzorem tamtejszej prokuratury.

W sobotę, po ponownej kontroli, zamknięte zostało schronisko dla zwierząt w Sobolewie na Mazowszu. O tej placówce zrobiło się głośno, gdy pojawiły się tam znane osoby, w tym wokalistka Doda.

Policja w schroniskach

Podczas konferencji prasowej dotyczącej kontroli przeprowadzonych w schroniskach dla zwierząt wiceszef MSWiA Tomasz Szymański przekazał w czwartek, że w 125 interwencjach policji w schroniskach dla zwierząt przeprowadzonych od początku br. wzięło udział blisko 490 funkcjonariuszy.

Zaapelował do organizacji społecznych i osób prywatnych, które wiedzą o nieprawidłowościach w schroniskach, by zgłaszały te informacje zarówno głównemu lekarzowi weterynarii, jak i Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji.

- Dobrostan zwierząt oraz funkcjonowanie ich w należytych warunkach są dla nas priorytetem. Mówimy stanowcze „nie" patoschroniskom – podkreślił.

Szymański poinformował również, że w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego będą analizowane wystąpienia pokontrolne. - Przeanalizujemy zalecenia i wystąpimy do jednostek samorządu terytorialnego, (...) żeby wdrożyć jak najlepsze rozwiązania – zadeklarował.

Każdy pies będzie zaczipowany

Wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Jacek Czerniak zapowiedział wprowadzenie jednolitego systemu, w którym każdy pies będzie zaczipowany.

- Każdy pies będzie zaczipowany i zarejestrowany – podkreślił. Dodał, że w systemie znajdą się podstawowe informacje dotyczące właściciela zwierzęcia.

- Jeżeli właściciel psa nagle podejmie decyzję, żeby tego psa gdzieś zostawić – oby nigdy tak się nie działo – to system niezwłocznie sprawdzi, do kogo należał. W ten sposób ograniczymy w jakimś zakresie bezdomność zwierząt – powiedział.

Zapowiedział, że w przypadku psów system będzie obligatoryjny, zaś w przypadku kotów – fakultatywny. - Obowiązkowo rejestrowane będą też zwierzęta znajdujące się w schroniskach – dodał. PAP

Czy Zbigniew Ziobro wkrótce straci swoją dietę parlamentarną?

oprac. Anna Nagel
Warszawa

Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty skierował do komisji regulaminowej wniosek ws. nieobecności posła PiS Zbigniewa Ziobry na posiedzeniach Sejmu.

Zbigniew Ziobro – były minister sprawiedliwości i prokurator generalny, obecnie poseł PiS – nie pojawia się od jakiegoś czasu na posiedzeniach Sejmu i obecnie przebywa na Węgrzech, gdzie uzyskał azyl polityczny. 28 bm. minął 7-dniowy termin możliwości usprawiedliwienia nieobecności. To nie wpłynęło, więc marszałek Sejmu przesłał szefowi sejmowej komisji regulaminowej Jarosławowi Urbaniakowi (KO) informację o nieusprawiedliwionych nieobecnościach Ziobry. Przypomniał, że Komisja ma obowiązek rozpoznać jego wniosek i zająć stanowisko: może zwrócić posłowi uwagę, udzielić upomnienia lub nagany.

- Gdy komisja przedstawi mi stanowisko, pan Ziobro będzie miał czas na odwołanie się od tej decyzji - powiedział marszałek. Zapowiedział, że jeżeli Ziobro się nie odwoła, on przedstawi Prezydium Sejmu projekt uchwały o utracie diety parlamentarnej i obniżeniu uposażenia poselskiego do jednej dziesiątej wysokości, czyli 1350 zł brutto miesięcznie.

Uposażenie poselskie wynosi 13 467,92 zł brutto, a dieta parlamentarna 4208,73 zł brutto. PAP

Express BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl ab42b3e2ca

DROBNE

Nieruchomości

INNE

POKOJE na wynajem - różne wielkości tel. 789 789 776

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT na dowód 781026833

Praca

ZATRUDNIĘ

OCHRONA z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

SZUKAM kierowcy kat. B., zbiórka odzieży używanej, ok. Stuttgartt. Zapewniam zakwaterowanie. Praca co drugi miesiąc na zmianę. Wynagrodzenie 2200 euro na rękę. Możliwość pracy po godzinach. Niemcy, tel. 0049 1778306707

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

INSTALACYJNE

E Elektroawaria 24h 793555537 instalacje pomiary, ekspres, tanio!

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA" tel. 52/372-04-04

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągnik, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń, bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **przetargi**

nasze komunikaty.pl

REKLAMA 0011456637

Zieleń Miejska
Zakład Pogrzebowy
UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011471040

„Zabrałeś, Boże, to najcenniejsze - serce Matki"

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 27 stycznia 2026 r. odeszła od nas
Kochana Mama, Teściowa, Babcia i Prababcia

ś†p

Anita Łobodzińska

lat 84

Pogrzeb z Mszą św., poprzedzony modlitwą różańcową, odbędzie się w sobotę, 31 stycznia 2026 r. o godz. 10.30 na cmentarzu parafialnym przy Al. Kardynała Wyszyńskiego 56 - Bielawki w Bydgoszczy.

Pogrążeni w smutku
Syn z Rodziną

0011469916

Z ogromnym żalem i smutkiem żegnamy

ŚP

przyjaciółkę, koleżankę, członkinię Zarządu Fundacji "SENSORIUM"

Beatę Drągowską

cudowną kobietę wspierającą osoby w potrzebie oraz zwierzęta

Mamie, mężowi i synowi, bratankowi i całej rodzinie

składamy serdeczne wyrazy współczucia
Terapeuci, rodzice i podopieczni Fundacji "SENSORIUM"

0011471140

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 28.01.2026 r. odszedł w Bogu
nasz kochany Mąż, Teść i Dziadek

ś†p

Henryk Seifert

lat 83

Pogrzeb poprzedzony mszą św. żałobną odbędzie się dnia 2.02.2026 r. o godz. 12.00 na cmentarzu Nowofarnym przy ul. Artyleryjskiej.

W smutku pogrążona
Żona z Rodziną

0011470027

„Żyłeś dla nas, Kochałeś nas wszystkich"

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 25.01.2026 r. zmarł
Mój ukochany Mąż,
nasz kochany Tata, Teść i Dziadek

ś†p

Hieronim Donarski

lat 88

Pogrzeb poprzedzony mszą św. żałobną odbędzie się dnia 31.01.2026 r. o godz. 11.00 w kościele parafialnym Dąbrówka Nowa, gmina Sicienko.

W smutku pogrążona
Rodzina

0011470715

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich"

Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy,
że w dniu 27 stycznia 2026 r. odeszła od nas
Nasza Kochana
Żona, Siostra, Ciocia, Bratowa, Kuzynka i Matka Chrzestna

ś†p

Irena Grodzka

Osoba o wielkim sercu, pełna ciepła, dobroci i życzliwości.
Msza święta żałobna poprzedzona różańcem odprawiona zostanie
w dniu 31 stycznia 2026 r. (sobota) o godzinie 9.00
w Kościele p.w. MB Zwycięskiej przy ul. Głowackiego w Bydgoszczy.
Ceremonia pogrzebowa po mszy świętej na cmentarzu parafialnym Bielawki przy ul. Wyszyńskiego.
Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci.
Pogrążona w żałobie
Rodzina

0011470006

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 27.01.2026 r. odeszła od nas
ukochana Mama, Teściowa, Babcia, Prababcia i Praprababcia

ś†p

Zofia Tyszkiewicz

lat 96

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się w sobotę 31 stycznia 2026 roku o godz. 10.00
w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Rodzina

eprasa.pl ab42b3e2ca

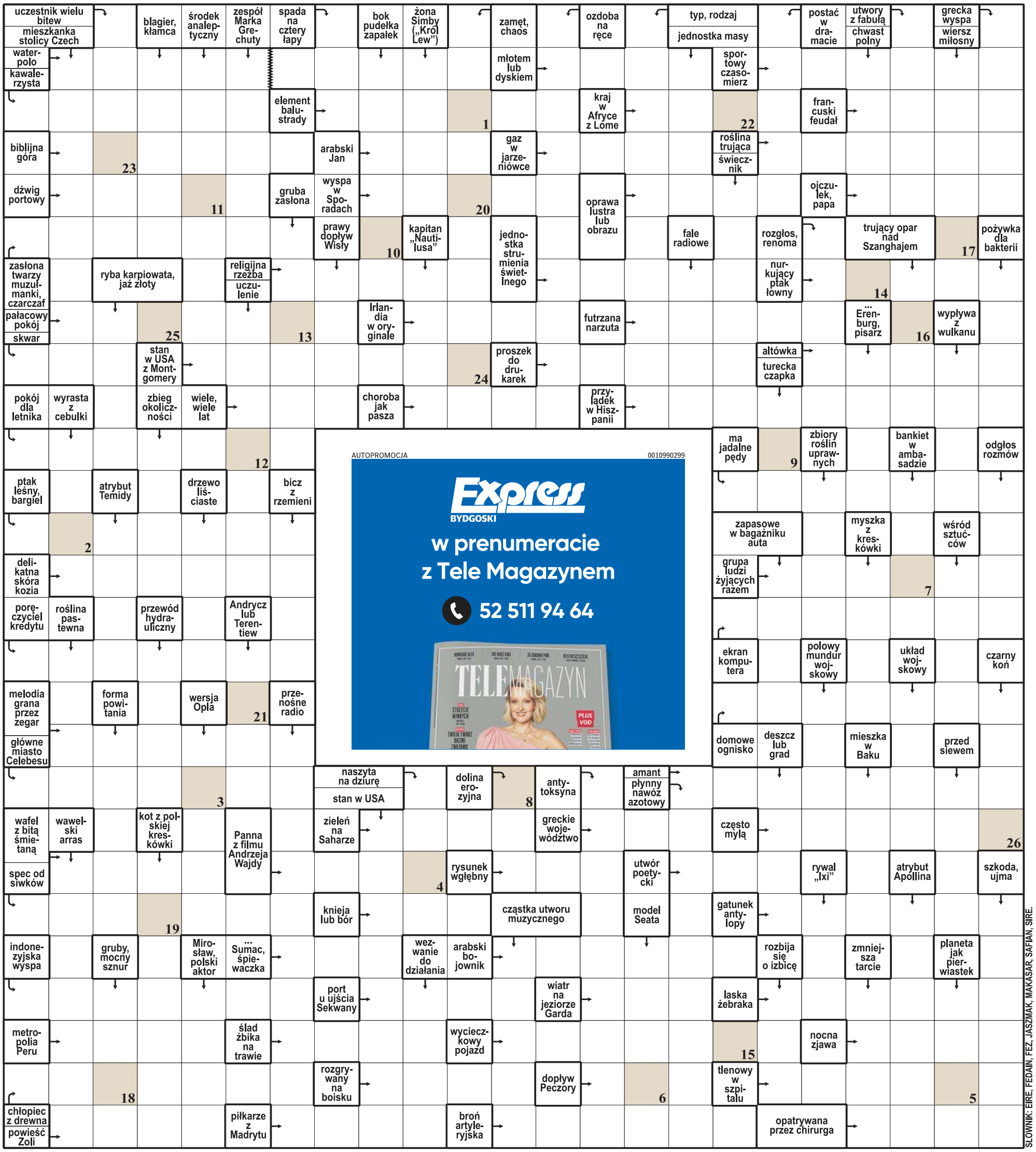

AUTOPROMOCJA 0010990299

Express BYDGOSKI

w prenumeracie z Tele Magazynem

52 511 94 64

TELEMAGAZYN

SŁOWNIK: EIRE, FEDAIN, FEZ, JASZMAK, MAKASAR, SAFIAN, SIRE.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie.

ROZWIĄZANIE: LOS TASUJE KARTY, A MY NIMI GRAMY.

eprasa.pl ab42b3e2ca

Główka bramkarza na wagę awansu w ostatniej akcji meczu

Dariusz Knopik, JJ
redakcja@polskapress.pl

LIGA MISTRZÓW. **Ostatnia kolejka Ligi Mistrzów była pasjonująca. Akcja zmieniała się jak w kalejdoskopie, a kulminacja była w końcówce. Nie obyło się bez niespodzianek.**

Apogeum emocji było w Lizbonie gdzie Benfica rywalizowała z Realem Madryt. Gospodarze przed rozpoczęciem zmagań byli poza fazą barażową, do której kwalifikowały się zespoły z miejsc 9-24. Z kolei Real zajmował 3. lokatę i wystarczał mu remis żeby zostać w ósemce i mieć zapewnione miejsce w 1/8 finału.

Wszystkie inne mecze już się zakończyły. Benfica wygrywała 3:2, ale brakowało jej jednego gola, by awansować na upragnione 24. miejsce. Zawodnikom Królewskich puszczały nerwy. Czerwone kartki otrzymali Raul Asencio i Rodrygo. W ostatniej akcji gospodarze mieli rzut wolny. Piłkę dograł Fredrik Aursnes, a celną główką popisał się Anatolij Trubin. Estadio da Luz oszalało ze szczęścia.

Warto dodać, że dwa gole strzelił 21-letni Andreas Schjelderup, rzut karny w doliczonym czasie pierwszej połowy wykorzystał Vangelis Pavlidis. Dla Realu oba gole strzelił niezawodny Kylian Mbappe, który ma już 13 trafień na koncie i zdecydowanie przewodzi w klasyfikacji strzelców.

Smutek także w drugim madryckim klubie. Atletico przegrało u siebie z Bodo/Glinmt 1:2 i także będzie musiało grać w barażach podobnie jak Real.

FOT. PAP/EPA

Decydujący moment meczu Benfica - Real. Bramkarz Anatolij Trubin zdobywa bramkę głową. Za chwilę Ukrainiec utonie w rękach szczęśliwych kolegów z zespołu

A ekipa z Norwegii po zwycięstwach nad Manchesterem City i teraz Atletico zapewniło sobie awans do baraży.

Podział punktów

Wiele obiecywano sobie po meczu Paris Saint-Germain - Newcastle. Obie przed meczem były w ósemce, ale musiały wygrać, by się w niej utrzymać. Padł remis 1:1, który nie satysfakcjonował żadnej ze stron.

Skorzystała z tego Barcelona, która pokonała Kopenhagę 4:1, mimo że przegrywała do przerwy. Przełom nastąpił tuż po wznowieniu gry. Lewandowski znakomicie odnalazł się w polu karnym po podaniu Lamine'a Yamala i z najbliższej odległości skierował piłkę do pustej bramki, doprowadzając do wyrównania. Dla kapitana reprezentacji Polski było to już 107. trafienie w Lidze Mistrzów oraz gol strzelony 40. różnemu rywalowi w historii jego występów w tych elitarnych rozgrywkach. Lewandowski wywalczył też rzut karny. A na listę strzelców mógł wpisać się wcześniej, lecz w pierwszej połowie przegrał pojedynek z bramkarzem Dominikiem Kotarskim.

- W pierwszej połowie na stronę, na którą graliśmy, wiał bardzo silny wiatr. Pewnie w telewizji nie było tego widać, ale piłka strasznie wariowała. Chciałem uderzyć wyżej, ale obawiałem się, że wiatr zniesie futbolówkę. Pewnie źle to rozwiązałem. Gdybym strzelił bliżej słupka, piłka wpadłaby do bramki. Szkoda tej sytuacji, powinienem ją wykorzystać - tłumaczył po meczu w rozmowie z Canal+ Sport.

Dodajmy, że Wojciech Szczęsny był rezerwowym w Barcelonie.

Korzystali z potknięć

Z potknięć Realu, PSG i Newcastle skorzystały Sporting Lizbona i Manchester City. Mistrzowie Portugalii wygrali na wyjeździe z Athletikiem Bilbao 3:2. Gola na wagę awansu strzelił w doliczonym czasie gry Alisson Santos. Z kolei Obywatele pokonali Galatasaray Stambuł 2:0.

Miejsce w ósemce utrzymali Arsenal, Bayern Monachium, Liverpool i Tottenham. Dwa pierwsze zespoły były tego pewne już przed ostatnimi meczami. Podkreślamy, że Arsenal pokonując ostatni w tabeli Kajrat Ałmaty 3:2 skończył tą fazę rozgrywek z kompletem punktów. Bayern utrzymał pozycję wicelidera po zwycięstwie nad PSV Eindhoven 2:1.

Na trzecie miejsce awansował Liverpool, który rozbił Karabach Agdam 6:0. Dodajmy, że Mateusz Kochalski mimo wpuszczenia tuzina goli uchronił swój zespół przed wyższą porażką i był najlepszy w Karabachu.

Totenham także awansował w tabeli po tym jak pokonał na wyjeździe słaby Eintracht Frankfurt n/Menem 2:0.

Piotr Zieliński z Interu Mediolan zagrał 74 minuty na wyjeździe z Borussią Dortmund. Dodajmy, że mistrzowie Włoch wygrali 2:0.

Nicola Zalewski z Atalanty Bergamo tym razem nie dostał szansy gry w meczu przeciwko Union Saint-Gilloise przegranym 0:1.

Losowanie par barażowych o 1/8 finału w piątek o godz. 12. Transmisja w Canal+ 360. ©℗

Wyniki 8. kolejki: Ajax Amsterdam - Olympiakos Pireus 1:2, Arsenal - Kajrat Ałmaty 3:2, Athletic Bilbao - Sporting Lizbona 2:3, Atletico Madryt - Bodo/Glimt 1:2, Barcelona - Kopenhaga 4:1, Bayer Leverkusen - Villarreal 3:0, Benfica Lizbona - Real Madryt 4:2, Borussia Dortmund - Inter Mediolan 0:2, Club Brugge - Olympique Marsylia 3:0, Eintracht Frankfurt n/Menem - Tottenham 0:2, Liverpool - Karabach Agdam 6:0, Manchester City - Galatasaray Stambuł 2:0, Napoli - Chelsea 2:3, PSV Eindhoven - Bayern Monachium 1:2, Pafos - Slavia Praga 4:1, PSG - Newcastle 1:1, Union Saint-Gilloise - Atalanta Bergamo 1:0, Monaco - Juventus Turyn 0:0.

1.	Arsenal	8	24	23-4
2.	Bayern Monachium	8	21	22-8
3.	Liverpool FC	8	18	20-8
4.	Tottenham Hotspur	8	17	17-7
5.	FC Barcelona	8	16	22-14
6.	Chelsea	8	16	17-10
7.	Sporting Lizbona	8	16	17-11
8.	Manchester City	8	16	16-9
9.	Real Madryt	8	15	21-12
10.	Inter Mediolan	8	15	15-7
11.	Paris Saint-Germain	8	14	21-11
12.	Newcastle United	8	14	17-7
13.	Juventus Turyn	8	13	14-10
14.	Atletico Madryt	8	13	17-15
15.	Atalanta Bergamo	8	13	10-11
16.	Bayer Leverkusen	8	12	13-14
17.	Borussia Dortmund	8	11	19-17
18.	Olympiakos Pireus	8	11	10-14
19.	Club Brugge KV	8	10	15-15
20.	Galatasaray Stambuł	8	10	9-11
21.	AS Monaco	8	10	8-14
22.	Karabach Agdam	8	10	13-20
23.	FK Bodø/Glimt	8	9	14-15
24.	Benfica Lizbona	8	9	10-12
25.	Olympique Marsylia	8	9	11-14
26.	Páfos FC	8	9	8-11
27.	Union Saint-Gilloise	8	9	8-17
28.	PSV Eindhoven	8	8	16-16
29.	Athletic Bilbao	8	8	9-14
30.	SSC Napoli	8	8	9-15
31.	FC Kopenhaga	8	8	12-21
32.	Ajax Amsterdam	8	6	8-21
33.	Eintracht Frankfurt	8	4	10-22
34.	Slavia Praga	8	3	5-19
35.	Villarreal CF	8	1	5-18
36.	Kajrat Ałmaty	8	1	7-22

Awans do 1/8 finału: Arsenal, Bayern, Liverpool, Tottenham, Barcelona, Chelsea, Sporting, Manchester City.

Rozstawienie przed losowaniem baraży: Real /Inter - Bodo/Benfica, PSG/Newcastle - Monaco/Karabach, Juventus/Atletico - Brugge/Galatasaray, Atalanta/Bayer - Borussia/Olympiakos.

50 sztafet na 50 dni do mistrzostw świata

Magdalena Zimna
magdalena.zimna@polskapress.pl

LEKKOATLETYKA. **Pięćdziesiąt dni zostało to lekkoatletycznych Halowych Mistrzostw Świata w Toruniu. W promocję imprezy włącza się cały region.**

To już końcowe odliczanie do najważniejszej imprezy sportowej tego roku na Kujawach i Pomorzu. HMŚ zaplanowane są na 20-22 marca, a najlepsi lekkoatleci z całego świata rywalizować będą w Arenie Toruń. - Jestem przekonany, że nasi lekkoatleci znakomicie przygotują się do startu, by przed własną publicznością pokazać, że są w stanie rywalizować z najlepszymi na świecie - mówi Krzysztof Wolsztyński, dyrektor mistrzostw i wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki.

Miejscem rozgrywania mistrzostw będzie Toruń, ale imprezy towarzyszące odbywać się mają w całym regionie. Każdego dnia, aż do rozpoczęcia imprezy, we wszystkich powiatach województwa zaplanowano eventy sportowe.

- Nadchodzące mistrzostwa są świetną okazją do promowania aktywnego stylu życia - podkreślał marszałek województwa Piotr Całbecki na konferencji prasowej. - W piątek w szkole podstawowej w Sadkach zainaugurujemy nasz cykl „50 sztafet Kujaw i Pomorza", w ramach którego przez 50 dni, codziennie w innej gminie, będą odbywały się różnorodne aktywności sportowe i integracyjne adresowane do wszystkich: dzieci, młodzieży, dorosłych i całych rodzin. Zależy nam też na tym, by najbliższe dni łączyły się z budowaniem wspólnoty i radością ze wspólnego przeżywania zbliżającego się święta sportu. Wspólnie tworzymy te mistrzostwa - dodał.

A do grona ambasadorów HMŚ mistrzostw dołączył kolejny wybitny polski lekkoatleta, związany z Kujawami i Pomorzem. Od teraz - razem z Adrianną Sułek-Schubert i Piotrem Liskiem - mistrzostwa promować będzie Paweł Wojciechowski. 36-letni tyczkarz w swojej karierze wywalczył m.in. tytuł mistrza świata (2011 r.) oraz brązowy medal mistrzostw świata (2015), a także wicemistrzostwo Europy (2014) i halowe mistrzostwo Europy (2019). Wojciechowski urodził się w Bydgoszczy i od początku kariery związany był z regionem Kujaw i Pomorza.

- Jestem bardzo dumny z faktu, że mogę przyczynić się do promocji i organizacji halowych mistrzostw świata w moim regionie. Dla Kujaw i Pomorza to bez wątpienia wyjątkowa chwila, bo choć mieliśmy sporo wielkich lekkoatletycznych imprez, choćby rangi mistrzostw Europy w hali, czy znakomitych mityngów, jak Orlen Copernicus Cup, gdzie Armand Duplantis pobił swój pierwszy rekord świata, to jednak imprezy rangi halowych mistrzostw świata jeszcze nie było - mówił Wojciechowski.

Trwa sprzedaż biletów na HMŚ, ale zostało ich już niewiele. - Są sesje, na które już nie ma biletów, ale wciąż można zapewnić sobie możliwość uczestnictwa w tym sportowym święcie - informował Wolsztyński.

W sumie do sprzedaży trafiło niespełna 3 tys. biletów na każdą z sesji. Wejściówki można kupić na stronie eBilet.pl. Hala jest podzielona na trzy kategorie, a najtańsze wejściówki kosztują 100 zł. Zawody w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń rozpoczną się 20.03. Poranne sesje będą rozpoczynać się każdego dnia o g. 10.05, popołudniowe o g. 18.35 w piątek i sobotę oraz o 17.40 w niedzielę.

Uczczą pamięć świetnego sprintera oraz trenera

Dariusz Knopik
redakcja@polskapress.pl

LEKKA ATLETYKA. **W niedzielę o godz. 14 w Kujawsko - Pomorskiej Arenie Toruń rozpocznie się 48. memoriał Grzegorza Duneckiego organizowany przez Miejski Klub Lekkoatletyczny.**

Jedną z gwiazd imprezy będzie Anna Matuszewicz, czołowa skoczkini w dal, zawodniczka MKL. Innym przedstawicielem klubu gospodarzy będzie Adrian Brzeziński. W sumie w zawodach weźmie udział około 600 lekkoatletek i lekkoatletów. W programie zawodów są biegi na 60 m, 60 m przez płotki, 200 m. 400 m, 800 m, i 1500 m oraz skok wzwyż, a także skok w dal.

- Oprócz Polaków na starcie zobaczymy przedstawicieli Szwecji, Kataru czy Włoch - zapowiada Maciej Michalski, prezes MKL Toruń. - Dzięki współpracy z Urzędem Miasta i prezydentem Pawłem Gulewskim to lekko atletyczne święto zapoczątkuje współpracę z najnowszym miastem partnerskim Torunia, włoską Ferrarą. Podczas zawodów będziemy gościć 18 zawodników , którzy reprezentują tamtejszy klub Atletica Estense. Jako MKL Toruń mamy w planach rewizytę w okresie letnim - dodaje.

Przypomnijmy, że Grzegorz Dunecki urodził się w Kuźniecku 24 września 1915 roku. Był zawodnikiem Pomorzanina Toruń w latach 1937-49. Uprawiał głównie sprinty, ale także biegi przez płotki oraz pięciobój. Był wielokrotnym medalista mistrzostw Polski. Po zakończeniu kariery pracował w klubie jako trener. Zmarł 13 listopada 1959 roku. ©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA
Sparingowa sobota drużyn z regionu
Plan sobotnich gier sparingowych: Zawisza Bydgoszcz - Sokół Kleczew (godz. 12, boisko przy ul. Gdańskiej), Elana Toruń - Wisła II Płock (godz. 12, boisko pod balonem Przy Skarpie), Wda Świecie - Chemik Bydgoszcz (godz. 12, stadion przy ul. Sienkiewicza), Pogoń Grodzisk Mazowiecki - Olimpia Grudziądz (godz. 13, boisko pod balonem w Skierniewicach); niedziela: Mławianka Mława - Tłuchowia Tłuchowo.

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

HOKEJ HALOWY
Brąz dla Gąsawy
W ostatnim meczu rozgrywek o mistrzostwo Polski juniorek starszych, w decydującym o srebrnym medalu, UKS Swarzędz pokonał LKS Gąsawa 9:3. Złoto wywalczyła AZS Politechnika Poznańska. **(szcz)**

Wszyscy do poprawki. Najwyższy czas na wygrane i poprawę miejsca w tabeli

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Przed nami kolejny weekend z meczami ligowymi drużyn z regionu na każdym szczeblu rozgrywkowym.**

W Orlen Basket Lidze czas na 18. kolejkę. W niej Anwil Włocławek zagra na wyjeździe z Arką Gdynia (sobota, godz. 17.30, Polsat Sport 2), a Arriva Lotto Twarde Pierniki Toruń także w delegacji zmierzą się z Legią Warszawa (sobota, godz. 12.30, You Tube OBL).

Oba zespoły spisują się dużo poniżej oczekiwań i możliwości. Włocławianie to aktualnie dziewiąty zespół w stawce z bilansem 9-8. Z kolei Twarde Pierniki to dopiero 13. lokata i bilans 6-11.

W Anwilu trwają zmiany personalne. Rozwiązano kontrakt z Nijalem Pearsonem. Jego następcą został Trevon Allen. W opinii klubu to gracz „łączący umiejętności strzeleckie z wszechstronnością na pozycjach obwodowych". Allen ma 27 lat. W sezonie 2020/21 grał w Polsce w SKS Starogard Gdański. Potem występował w drugoligowych klubach włoskich, a także w Rumunii i Grecji. W tym sezonie był graczem kosowskiego Golden Eagle Ylii.

Przed oboma zespołami trudne zadanie. Anwil zagra z trzecią Arką, która legitymuje się bilansem 12-5. Z kolei Legia zajmuje piątą lokatę, a jej bilans to 11-6. Jednak w końcu trzeba się przełamać i zacząć marsz w górę tabeli, bo aktualna sytuacja nikogo nie zadowala.

Przypomnijmy, że w pierwszej rundzie Anwil przegrał z Arką 98:108, a Twarde Pierniki uległy Legii 67:82.

W 1. Lidze mężczyzn 22. kolejka. W niej pauzuje Enea Abramczyk Astoria Bydgoszcz. Z kolei KSK Qemetica Noteć Inowrocław zagra na wyjeździe z Basketem Poznań (sobota, godz. 15, emocje.tv.).

W Noteci humory są złe. Wszystko z powodu porażki u siebie z ostatnimi Żubrami Białystok. Na razie zmiana trenera niewiele pomogła. Pod wodzą Krzysztofa Szubargi była sensacyjna wygrana na prowadzącym ŁKS Łódź, ale potem były już trzy porażki. Noteć aktualnie zajmuje 14. lokatę z bilansem 6-14. Ich najbliższy rywal to ósma drużyna z bilansem 10-10. Czas na zwycięstwo, bo sytuacja jest coraz trudniejsza i trzeba bronić się przed spadkiem.

W Orlen Basket Lidze Kobiet także 18. kolejka. W niej Artego Bydgoszcz podejmie Isands Wichoś Jelenia Góra (sobota, godz. 16, emocje.tv). Z kolei Energa Toruń swój mecz z KSSSE Enea AJP Gorzów Wielkopolski rozegra dopiero w poniedziałek o godz. 19.

Bydgoszczanki są zdecydowanymi faworytkami w spotkaniu z beniaminkiem, który do tej pory przegrał wszystkie mecze i to bardzo wyraźnie. Dodajmy, że w pierwszej rundzie Artego zwyciężyło w Jeleniej Górze 75:66. ©℗

FOT. LUCYNA NENOW

Włocławianie niespodziewanie przegrali na wyjeździe z GTK Gliwice. Jak pójdzie im w Gdyni z Arką?

KRÓTKO

FOT. AGNIESZKA BIELECKA

HOKEJ
Tylko jeden mecz KH Energa i trzyletni kontrakt dla lidera
KH Energa Toruń w weekend zagra tylko jedno spotkanie w Tauron Hokej Lidze. W piątek o godz. 18 Stalowe Pierniki zagrają na wyjeździe z Cracovią. To 40. kolejka. Nie dojdzie do niedzielnego meczu z STS Sanok, ponieważ rywale wycofali się z rozgrywek. Po niedzielnej kolejce nastąpi prawie dwutygodniowa przerwa na mecze reprezentacji. Potem dokończenie fazy zasadniczej i cztery mecze do końca. KH Energa aktualnie zajmuje szóste miejsce w tabeli. Do piątego JKH GKS Jastrzębie traci trzy punkty. Tak więc cały czas jest realna szansa na poprawienie lokaty.
Toruński klub ogłosił, że przedłużył na trzy sezony kontrakt z Rusłanem Baszyrowem (na zdjęciu), który w KH Energa gra od 2023 roku. **(dk)**

HOKEJ HALOWY
Ekipy z Pałuk walczą o medale
W weekend turniej finałowy o mistrzostwo Polski, w którym wystąpią dwie ekipy z Pałuk. W sobotnich półfinałach LKS Rogowo zagra z AZS Politechniką Poznań (godz. 16), a LKS Gąsawa zmierzy się z Wartą Poznań (godz. 18). W niedzielę o godz. 14 przegrani z soboty zagrają o brązowe medale, a zwycięzcy o godz. 16 zagrają o mistrzostwo Polski. **(dk)**

LOTTO
ŚRODA, 28.01
Multi Multi, godz. 22.00
5, 14, 17, 18, 30, 34, 36, 37, 39, 42, 46, 48, 49, 54, 55, 56, [60], 63, 68, 76
Kaskada, godz. 22.00
4, 7, 10, 13, 14, 16, 17, 19, 20, 22, 23, 24
Mini Lotto
3, 19, 28, 35, 41
Ekstra Pensja
2, 4, 9, 18, 22 - 4
Ekstra Premia
6, 15, 16, 21, 30 - 2
CZWARTEK, 29.01
Multi Multi, godz. 14.00
4, 12, 18, 20, 21, 23, 31, 34, 40, 42, 45, [53], 54, 57, 64, 68, 73, 74, 78, 80
Kaskada, godz. 14.00
1, 7, 9, 10, 11, 15, 16, 18, 21, 22, 23, 24

Szykują się wyjątkowe derby na Motoarenie

Magdalena Zimna
magdalena.zimna@polskapress.pl

ŻUŻEL. **Adrian Miedziński i Grzegorz Walasek chcą oficjalnie pożegnać się z torem i z kibicami.**

Jeden z najlepszych wychowanków toruńskiego klubu, również zawodnik Polonii Bydgoszcz, zakończenie kariery ogłosił już pod koniec 2024 r. Decyzja poprzedzona była m.in. wypadkiem w meczu ligowym w 2022 r., w którym żużlowiec doznał poważnych obrażeń mózgu. Po przerwie na leczenie i rehabilitację, Miedziński podejmował jeszcze próby powrotu do żużla, ale nie były udane. Zrobił za to kurs instruktora, pomagał innym zawodnikom w parku maszyn. A potem ogłosił swoją decyzję.

- Nie da się tak łatwo powiedzieć „kończymy" po tylu latach, w serduchu to wciąż siedzi, ale muszę sobie z tym wszystkim poradzić - mówił.

Teraz Miedziński będzie chciał oficjalnie pożegnać się nie tylko z torem, ale też z kibicami i szykuje turniej. O szczegółach jeszcze oficjalnie nie mówi, ale wstępnie wiadomo, że zawody miałyby odbyć się 27 marca na toruńskiej Motoarenie. Formuła zawodów ma być derbowa - na torze zmierzyć się mają drużyny z Torunia i Bydgoszczy.

5 kwietnia z kolei odbędzie się Turniej Pożegnalny Grzegorza Walaska. Wychowanek Falubazu (był też zawodnikiem Polonii i KS Toruń) zorganizuje go w Zielonej Górze. Jak poinformował klub, zaproszenia przyjęli zawodnicy ze ścisłego topu; „zarówno przyjaciele z toru, z którymi Greg zdobywał medale, jak i rywale, z którymi toczył zacięte boje przez dekady". Lista startowa zostanie opublikowana za kilka dni.

- To dla mnie ważny dzień. Chcę, by ten turniej był świętem kibiców, bo to dla nich jeździłem przez te wszystkie lata. Stawka będzie mocna, a ja obiecuję, że po raz ostatni dam z siebie wszystko - zapewnił Walasek.

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI

Adrian Miedziński chce pożegnać się z kibicami z Torunia, Bydgoszczy i regionu

Zwycięstwa są bardzo potrzebne

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

SIATKÓWKA. **Czas na kolejne ligowe mecze z udziałem Pałacu, Sokoła, Aniołów i BKS.**

Ostatnie mecze nie były udane dla Metalkasu Pałacu Bydgoszcz i Sokoła & Hagric Mogilno. W weekend szansa na poprawę wyników i miejsca w tabeli. Bydgoszczanki w sobotę o godz. 17.30 zagrają na wyjeździe z BKS Bielsko-Biała (transmisja w Polsacie Sport 1), a Sokół tego samego dnia o godz. 19 podejmie ŁKS Łódź (Polsat Sport 3). Łatwo o zwycięstwa nie będzie bo rywalki są wyżej notowane. Pałac to aktualnie siódmy zespół w tabeli (18 pkt.), a ich rywalki to czwarty zespół w stawce (26). Z kolei Sokół to dziesiąta drużyna (13), a ŁKS zajmuje piątą lokatę (25). Celem zespołów z Bydgoszczy i Mogilna jest zajęcie miejsca w pierwszej ósemce, co zagwarantuje prawo gry w play offie.

W PLS 1. Lidze 21. kolejka. Prowadzące w rozgrywkach CUK Anioły Toruń zagrają na wyjeździe z BBTS Bielsko-Biała. To hitowe spotkanie tej serii gier, bo czwarty zespół podejmuje lidera. Różnica między nimi to osiem punktów. Dodajmy, że Anioły mają tyle samo „oczek" co drugi GKS Katowice. Mecz w piątek o godz. 19 (polsat box go).

Broniący się przed spadkiem BKS Bydgoszcz podejmie Astrę Nowa Sól. Mecz w sobotę o godz. 18 w Łuczniczce. To będzie pierwsze spotkanie w Bydgoszczy od ponad miesiąca. To bardzo ważny mecz, bo obie drużyny dzielą trzy miejsca w tabeli i pięć punktów. Jest więc o co grać. ©℗

eprasa.pl ab42b3e2ca